PRZERAŻAJĄCA HISTORIA AMONA GÖTHA,
KOMENDANTA OBOZU KONCENTRACYJNEGO.

KAT Z PŁASZOWA

MAX CZORNYJ

FILIA

MAX
CZORNYJ

KAT Z PŁASZOWA

FILIA

Pamięci mojej kochanej Babci Marianny

Der Mensch ist etwas, das überwunden werden soll.
(„Człowiek jest czymś, co powinno być pokonanym”.)
Friedrich Nietzsche, *Tako rzecze Zaratustra*

Już nie ma ciebie, moje dziecię,
smak życia został ci nieznany.
A my więzieni w naszym świecie
w starości długiej usychamy.

Króciutki oddech, wzrok się mruży,
tak krótko byłeś pośród ludzi.
Dużo zaznałeś i niedużo
i już się nigdy nie obudzisz.

Może w tym tchnieniu i spojrzeniu
zbiegły się wszystkie świata strony
i życie całe w objawieniu,
któreś opuścił przerażony.

Może, gdy życie nasze w męce
dogasać zacznie dnia pewnego,
pojmiemy jedno: że nie więcej
nasz świat się różnił od twojego.

Herman Hesse, *Na śmierć małego dziecka,*
tłum. Jan Koprowski

„Przez moment byłem bogiem…”

1.

Jestem bogiem. Jestem panem życia i śmierci. Urządzam świat według własnego uznania oraz widzimisię. Stwarzam go na nowo, obracając wniwecz dzieło tego judeochrześcijańskiego bóstwa o dwóch twarzach – miłosiernej oraz karzącej, schizofrenika, który zaczął dobrze, ogniem i mieczem, by skończyć na krzyżu. O tak, interesuję się religią. Moja matka była szaloną dewotką.

Spoglądam w niebo i mrużę oczy. Przez nagie gałęzie drzew przedzierają się promienie ostrego zimowego słońca. Nad okolicą, upiornie kracząc, krąży stado wron, gdzieś w oddali ujadają psy. Moje ogary są głodne, lecz dziś może czekać je prawdziwa uczta. Rozsmakowały się w ludzkim mięsie.

Mrugam, gdyż przez gęste kłęby dymu łzawią mi oczy. Przenoszę wzrok na stos drewna, na którym ułożonych jest kilkaset rozkładających się ciał. Po wielu miesiącach wywleczono je z grobów i ułożono na tym pogrzebowym stosie. Rytuały śmierci zmieniają się wraz z potrzebami. Towarzyszący im odór jest jednak niezmiennie taki sam.

Dwunastu żydowskich więźniów oblewa benzyną kolejny stos. Pracują szybko, wiedząc, że maruderów czeka kula albo szubienica. Nawet nie zerkają na zwłoki. Być może brzydzą się obłażącymi z szarofioletowej skóry czaszkami, odsłoniętymi kośćmi oraz łyskającymi bielą zębami. Może nie podoba im się, że przy przenoszeniu trupy rozpadają się, zgniłe kończyny odpadają od

korpusów, a głowy od karków. Dziwią ich włosy, które rzekomo wyrosły na łysych czerepach, i niepołamane, długie paznokcie. Ponuro zerkają na strzępy ubrań, które zastąpiły całuny pogrzebowe.

– Co za smród. – Macham dłonią, by rozgonić omiatający mnie kłąb dymu.

– Żydzi cuchną najbardziej – rzuca mój ordynans, po czym wybucha śmiechem.

Mierzę go ponurym, karcącym spojrzeniem. Zaciskam usta i lekko pochylam głowę.

– Coś ty powiedział? – pytam, spoglądając mu prosto w oczy, a chłopak pokornie spuszcza wzrok. – Nie masz szacunku do śmierci?

– To Żydzi, ale ja… Panie komendancie…

– Coś powiedział? – powtarzam pytanie.

– Że… – Ordynans prostuje się i ledwie słyszalnie cedzi słowa: – Żydzi cuchną najbardziej…

Robi krok w tył, jakby bał się, że go uderzę lub zastrzelę. Unoszę dłoń, a on odruchowo mruży oczy. Wtedy chwytam go za ramię i delikatnie zaciskam palce. Również wybucham śmiechem.

– Masz zupełną rację, chłopcze! Do tego podsunąłeś mi pomysł. – Odrywam dłoń od jego ramienia i pstrykam palcami. – Zorganizujemy zawody w rozpoznawaniu, czyje truchło palimy? Co wy na to?

Wiodę wzrokiem po towarzystwie. Mój ordynans, dwóch adiutantów, kilku strażników obozowych oraz lekarz. Wszyscy kiwają głowami i wydymają usta w nerwowych uśmiechach. Kątem oka dostrzegam, że w moją stronę ze spuszczoną głową podchodzi jeden z więźniów.

– Płoną już wszystkie stosy – melduje służalczym tonem. – Zgodnie z rozkazem, panie komendancie.

Odwracam się do niego i z uznaniem kiwam głową. Osiemnastu chudych jak patyki więźniów wykonało swoją pracę wręcz błyskawicznie. Mógłbym bić im brawo. Zapadnięte policzki, puste

spojrzenia, niemal niedostrzegalny zarost na policzkach, a mimo to tkwi w nich wielka chęć życia oraz przetrwania. Powinienem to docenić.

– Bardzo dobrze – kwituję lakonicznie.

Następnie skinieniem dłoni zwracam uwagę dowódcy oddziału strażników.

– Zastrzelcie ich – rzucam. – A potem spalcie tak, jak oni spalili swoich poprzedników.

Przedstawienie skończone. Czas wracać do pracy. Wydaje mi się jednak, że powinienem opowiedzieć wam tę historię od początku. Będziecie zafascynowani.

2.

Moi rodzice mówili, że byłem upartym osłem, ale ja po prostu zawsze widziałem konkretne cele. Szedłem tam, gdzie wydawało mi się, że powinienem iść. Nie były to wybory łatwe ani nieprzemyślane. Nie opierałem się na podstawowym kryterium ludzi słabych – na konformizmie oraz na poszukiwaniu ciepła i wygód. Ojciec nie powinien się temu dziwić, w końcu to on zaszczepił we mnie ideały, takie jak: honor, wierność, braterstwo. W domu wisiały dwa portrety kajzera, których nie zdjęto nawet po wojnie.

Pewnie niewiele was interesują moje pierwsze lata, prawda? Wolelibyście przejść do konkretów, do swądu palonych ciał oraz do czaszek rozgniatanych kolbami karabinów. Czy nie jesteście wyzutymi z emocji bestiami, że pragniecie zobaczyć to wszystko oczyma wyobraźni? A może czerpiecie z tego jakieś specjalne wrażenia, może ta historia dostarcza wam bodźców, co dawałoby wam jeszcze ciekawsze świadectwo? Ciekawsze – to słowo klucz. Daleki jestem bowiem od etycznych osądów.

Wydaje mi się, że wszystko może mieć jednak znaczenie i chronologia będzie naprawdę istotna. Dla psychiatrów lub analityków albo po prostu dla słuchaczy tej historii. Na szczęście raz na zawsze zakończyliśmy czasy, gdy badaniem umysłu zajmowali się cholerni Żydzi. Freud, Jung i wielu innych pokrewnych im trucicieli rozumów oraz dusz.

Urodziłem się w Wiedniu, 11 grudnia 1908 roku, jako jedyne dziecko Berthy i Amona Franzów. Rodzice prowadzili niewielkie wydawnictwo, które prosperowało na tyle dobrze, że nigdy niczego nam nie brakowało. Na kilku fotografiach uwieczniono lśniące auto, w którym siedzę na kolanach ojca, a szofer pozuje z wielką korbą do rozruchu motoru.

Mieliśmy dwie gosposie oraz psy. Mieszkanie nie ociekało złotem, lecz stanowiło typowe lokum statecznego austro-węgierskiego mieszczaństwa. W niedzielę regularnie chodziliśmy do kościoła oraz jedliśmy obiad na wykrochmalonym obrusie. W piątki matka często zarządzała ścisły post, do którego mój ojciec stosował się niezbyt chętnie i który łamałem wraz z nim, co było naszym wielkim sekretem. Podczas rzekomej przechadzki na Prater zachodziliśmy do Griechenbeisa lub Heuringera. Ojciec ostentacyjnie zamawiał sznycel, sięgał po „Wiener Zeitung" i zapalał cygaro. Ja miałem prawo siedzieć u jego boku, co samo przez się stanowiło ogromne wyróżnienie. Byliśmy sobie naprawdę bliscy.

Piątkowe posty doskwierały mi szczególnie wtedy, gdy ojciec wyjeżdżał w sprawach zawodowych do innych miast. Czasem nie było go po wiele dni lub nawet tygodni, więc matka przejmowała rządy absolutne nad domem. Jej ręka była twarda, dyscyplina surowa, a wymagania przesadne jak dla kilkuletniego chłopca, który chce się bawić i wiele śmiać. Myślę, że to właśnie przez nią znienawidziłem naukę oraz to, co dziś nazywamy „mieszczańskim stylem życia". Zarządzone przez matkę przenosiny do szkoły

katolickiej pod Wiedniem mogły jedynie pogorszyć sprawę. Mimo niechybnej awantury, gdy tylko uzyskałem pełnoletność, postanowiłem porzucić sztubę. Po oznajmieniu mojej decyzji ojciec cały spurpurowiał i zaczął nerwowo szarpać wąsa.

– Co zamierzasz robić w życiu? – Zagryzł zęby, po czym spojrzał na mnie spode łba. – Liczysz, że przejmiesz nasz interes? Nie przepracowałeś w nim ani godziny i nie masz o niczym pojęcia, w takim razie…

Chyba po raz pierwszy w życiu wszedłem ojcu w zdanie. Uśmiechnąłem się i oznajmiłem z całkowitą szczerością:

– Wstąpiłem do młodzieżówki partii faszystowskiej.

Nie dodałem, że odkryłem w niej swój nowy świat.

3.

Przez kilka lat dorabiałem to tu, to tam, niezmiennie licząc na wsparcie ojca. Wydawnictwo nawet po upadku monarchii przynosiło niezły zysk, a rodzice, jak to rodzice, nie mogli odmówić paru groszy jedynemu dziecku. Nie spoglądajcie na mnie jak na wyrodnego syna. Pomagałem im, ile mogłem i na ile pozwalała mi działalność partyjna.

Niezmiennie żałowałem, że Hitlerowi w Monachium nie udało się dokonać tego, co Mussolini zrobił w Rzymie. Nie rokowało to dobrze dla ruchu pangermańskiego i stawiało faszystów austriackich w słabym świetle. Marginalizowano nas i wykpiwano. W gazetach raz po raz pojawiały się żartobliwe pamflety na „niemcofilów” oraz poplecznikόw łysego duce. Ktoś, z kogo inni się śmieją, musi zrobić naprawdę wiele, by w końcu potraktowano go poważnie. Zapamiętajcie te słowa.

– Wysadźmy budynek parlamentu.

To zdanie, które padło z ust Heinricha Laudera, najstarszego z przywódców naszego ruchu, w pierwszej chwili odebraliśmy jako żart. W kilkanaście osób tłoczyliśmy się wtedy w dusznym, ciasnym mieszkaniu na poddaszu jednej z wiedeńskich kamienic. Lauder pozostał śmiertelnie poważny. Jego usta nawet nie drgnęły w reakcji na szmer, który przemknął po pomieszczeniu. Dopiero po chwili, naśladując Mussoliniego, założył ręce na piersi i pokiwał głową.

– Jesteście oddani sprawie czy tylko wiele gadacie? – zapytał, mrużąc oczy. – A może są wśród nas kapusie?

Nagle zaczęliśmy bacznie się sobie wzajemnie przyglądać. Nie, wśród nas nie było ani tchórzy, ani kapusiów.

W ciągu tygodnia dzięki kontaktom z rozmaitymi środowiskami kryminalnymi udało się nam zdobyć kilka kilogramów materiałów wybuchowych. Po kolejnych paru dniach mieliśmy opracowany plan wysadzenia parlamentu oraz spisany manifest polityczny, który zamierzaliśmy kolportować w całym mieście.

Akcja rozpoczęła się wiosennego, słonecznego ranka. Pamiętam, że powietrze było przejrzyste, a na bruku skrzyła się wilgoć. Po błękitnym niebie nie sunęła nawet pojedyncza chmura i przyjemnie byłoby wyrwać się na wędrówkę po górach. Zawsze je bardzo lubiłem.

Nie mam pojęcia, dlaczego nie działaliśmy w nocy. Zdaje się, że Lauder chciał podkreślić to, jak bardzo pewni siebie się czujemy, i dodać wszystkiemu element ostentacji. Raz na zawsze mieliśmy skończyć z żartobliwym wizerunkiem wykreowanym w prasie.

Młody Otto Weisser wysiadł z dorożki i podszedł w stronę strażników. Obserwowaliśmy go z auta, które na uruchomionym silniku stało ulicę dalej. Nasz plan zakładał nie tyle wysadzenie parlamentu, co obrzucenie go ładunkami przypominającymi granaty. Mieliśmy zrobić to z najmniejszej odległości, wprost z samochodu.

– Zagaduje ich! – Lauder zatarł dłonie. – Szykujcie się.

– Ruszamy, gdy tylko odejdą na bok – dodał Pilche.

Weissner miał zadanie zainteresować czymś strażników i odciągnąć ich na bok, aby nie powstrzymali rozpędzonego auta. Plan wydawał się zuchwały, lecz zamierzaliśmy uniknąć ofiar. Nie było wśród nas chętnych na męczenników.

– Idą. – Pilche dotknął skrzynki, w której trzymaliśmy część ładunków. Otworzył wieko i rozdał granaty naszej trójce. – Pamiętajcie, żeby rzucać w okna. W pewnym momencie zwolnię, wtedy musicie być czujni i natychmiast działać.

Lauder i ja jedynie skinęliśmy głowami. Drżały nam ręce i baliśmy się, że mówiąc, zdradzimy, jakie targają nami emocje.

– Ruszamy!

Pilche położył dłonie na kierownicy, lecz nie dodał gazu. Przez moment zastanawiałem się, co się stało, obawiałem się nawet, że zepsuł się motor. Dopiero po kilku sekundach zobaczyłem w lusterku żandarmów.

– Wyłazić! Rzućcie to!

Ostre krzyki nie budziły wątpliwości, że zostaliśmy zdradzeni. Stukot podkutych butów oraz przeładowywanych karabinów rozsadzał mi mózg. Uniosłem dłonie, gdy tuż przy aucie stanął smukły oficer ze szczeciniastym wąsem.

– Cholerni wywrotowcy – wycedził, mierząc do mnie z pistoletu. – Takie tałatajstwo należy zabijać na miejscu.

Pot ciurkiem płynął mi po twarzy. Serce waliło w piersi tak mocno, że niemal gruchotało o żebra. Zrobiło mi się potwornie duszno.

– Proszę… – wyszeptałem.

Wtedy oficer nacisnął spust.

4.

Okazało się, że ktoś był znajomym kogoś, kto również miał pewne znajomości… Wiecie, jak to działa. W każdym razie upozorowana egzekucja była najgorszym, co mnie wtedy spotkało. Materiały wybuchowe znikły, nikt nie puścił pary z gęby, słowem nie istniały żadne dowody na to, że braliśmy udział w spisku przeciw legalnie wybranym władzom państwowym. Prokuratura nie mogła nic zrobić.

– Zostaje pan uniewinniony od przedstawionych zarzutów… – Sędzia wycedził te słowa, po czym ostentacyjnie zdjął z nosa łukowate binokle w starym stylu. Odchrząknął. – Charakter czynu oraz zebrany materiał dowodowy…

Machnął dłonią, jakby umknęła mu myśl. Przez chwilę wymownie mi się przyglądał, wreszcie poprawił się w krześle. Był to stary, pulchny Żyd z podwójnym podbródkiem i wielkim nosem. Nienawidził mnie, choć nie mógł wydać wyroku skazującego. Uśmiechnąłem się szeroko.

– Czy mogę już wyjść? – zapytałem, rozprostowując ramiona. – Rozumiem, że jestem wolny?

Sędzia nie odpowiedział. Uniósł wysoko głowę i sapnął. Stojący obok mnie Pilche zarżał ze śmiechu. Niewiele brakowało, a wpadlibyśmy sobie z radości w objęcia. W tamtej chwili czułem się doskonale bezkarny i nietykalny. Państwo, system, Żydzi… Nikt nie mógł mi nic zrobić, choćbym poważył się na prawdziwy zamach. Nagle gazety przestały pisać o nas jako o niegroźnych chuliganach. Żartobliwy ton zamienił się w wyraz pełen lęku albo, co było znacznie wymowniejsze, w milczenie. Najgorsze obawy uderzają tak głęboko, że nie potrafi się o nich ani mówić, ani pisać.

– To chyba znaczyło, że możemy już iść. – Pilche wymownie klepnął mnie w ramię i ostentacyjnie ruszył w stronę strażnika. Ten nawet nie drgnął. Wydawało mi się, że kojarzę go z któregoś z naszych tajemnych zebrań.

– Do widzenia.

– Do zobaczenia – wymamrotał sędzia, co chyba miało zabrzmieć jak groźba.

Wydawało mi się, że świat nagle stanął przede mną otworem i nic już nie pojawi się na przeszkodzie w marszu naszej partii ku zwycięstwu. Myliłem się i w jednym, i w drugim. Prawdziwa walka była dopiero przed nami.

5.

Nikt nie zalegalizował naszych działań. Po chwilowym strachu gazety znów zaczęły z nas kpić, a wszystkie cele wydawały się tak samo odległe, jak przed miesiącami. Dziesiątki naszych towarzyszy gniły w więzieniach i nikt nie mógł im pomóc. Zdaje się, że tylko cudem uniknąłem dłuższej odsiadki. Cudem albo dzięki wstawiennictwu znajomych ojca. Krew jest krwią i choć ojciec nienawidził rodzącego się narodowego socjalizmu, dla mnie zawsze zrobiłby wszystko.

– Powinieneś się ustatkować – powiedział pewnego dnia, gdy zaszedłem do wydawnictwa. Położył dłoń na moim ramieniu, co było rzadkim wyrazem emocji i spojrzał mi głęboko w oczy. – Musimy porozmawiać jak ojciec z synem.

– O czym chciałbyś porozmawiać? – zapytałem hardo, po czym dorzuciłem: – Tato.

– Dobrze wiesz. Masz prawie trzydzieści lat…

– Co z tego?

– Musisz się w końcu ustatkować. To, co robisz, nie zaprowadzi cię donikąd, a ja nie będę mógł cię przez całe życie wyciągać z tarapatów.

Wtedy zyskałem pewność, kto mi pomógł ostatnim razem. I wiecie co? Wcale nie poczułem ulgi ani zadowolenia. To było raczej jak cios wymierzony prosto w policzek, który kazał mi przejrzeć na oczy.

Byłem nikim. Ruch, który wydawał mi się potężny, miał mniej do zaoferowania niż podstarzały właściciel lokalnego wydawnictwa.

– Synu, chciałbym cię przedstawić. To Olga, pomaga mi w kontaktach z rozmaitymi tłumaczami…

Słowa ojca wyrwały mnie z odrętwienia. Spojrzałem na dwudziestokilkuletnią blondynkę z niebieskimi oczami i zaróżowionymi policzkami. Dziewczyna trzymała kilka teczek oraz skoroszyt. Była dość niska, ale jej kształty nie umknęły mojej uwadze.

Przywitaliśmy się i wtedy ojciec szeroko się uśmiechnął.

– Wiecie co? Chodźmy na kawę. Mamy na tyle ładny dzień, że szkoda marnować go na siedzenie w ciemnym biurze…

Nigdy wcześniej nie posądziłbym go o podobne podejście. Zresztą od razu wyczułem prawdziwe intencje, które stały się aż nader oczywiste, gdy ojciec zaczął rozwodzić się nad tym, jak długo zna rodziców Olgi i jacy to wspaniali ludzie. Byli to typowi mieszczanie, osadzeni w tradycji Austro-Węgier oraz Kościoła katolickiego. Właściwie tacy sami jak moi staruszkowie.

Spotkanie przy kawie trwało znacznie dłużej, niż było trzeba, aby opróżnić niewielką filiżankę i talerzyk ciasta. Ojciec od zachwytów nad rodzicami przeszedł do zachwytów nad córką. Olga pracowała w wydawnictwie od kilku tygodni, a efekty jej pracy miały być już doskonale widoczne. Dziewczyna przysłuchiwała się temu z zażenowaniem, lecz ojciec nie zamierzał zmienić tematu. Przez cały czas porozumiewawczo się do niej uśmiechałem, dając do zrozumienia, że doskonale rozumiem jej zmieszanie.

Są momenty, gdy wszystko zdaje się całkowicie od nas niezależne. Jakby życie przepływało niczym rzeka, pociągając nas w swoim nurcie. Nie mamy na to żadnego wpływu, nie mogąc stanąć mu na przekór i oprzeć się prądowi. Jeżeli tak jest, to znaczy, że jesteśmy po prostu zbyt słabi. W tamtym czasie jeszcze nie zdawałem sobie z tego

sprawy i, poddając się biegowi wydarzeń oraz sugestiom rodziców, w styczniu trzydziestego czwartego roku wziąłem z Olgą ślub. Dzięki niej miałem trafić na dobrą drogę. Wkrótce okazało się, że te nadzieje nie przystawały do rzeczywistości.

6.

Życie szczęśliwego małżonka jest zazwyczaj spokojne i nudne. Powtarzano mi to wiele razy, ale mam całe mnóstwo argumentów, że to nieprawda. Przyszłość niebawem miała przynieść całe mnóstwo dramatycznych wydarzeń, lecz nawet wtedy, w pierwszej połowie roku trzydziestego czwartego, a więc świeżo po ślubie, nie potrafiłem skupić się na życiu statecznego mieszczanina. Owszem, wydawnictwo i współpraca z rodzicami przynosiły stały dochód, jednak ja pragnąłem czegoś więcej.

– Zabijemy ich wszystkich. W-s-z-y-s-t-k-i-c-h, rozumiesz?

Heinrich Lauder spojrzał mi prosto w oczy. Z pewnością nie brakowało mu determinacji, którą w ostatnich tygodniach straciło wielu członków naszego ruchu.

– Zabijemy? – zapytałem nieco oszołomiony. – Czy nie lepiej w przyszłości ich aresztować?

– Członków władz nie można aresztować, bo szybko stają się bohaterami. Zza krat są bardziej niebezpieczni, niż gnijąc w grobach.

Język Laudera jak zawsze był plastyczny i mocny. Nie miałem wątpliwości, że wie, o czym mówi, i nie rzuca słów na wiatr. Razem z nami kilkunastu członków partii zjawiło się na tajnej odprawie w podwiedeńskim lesie. Dla większości droga działania była już tylko jedna, lecz ja miałem wątpliwości. Właśnie wtedy Otto Ulke trafił w ich sedno. Ten wielki, nalany mężczyzna z krótkimi włosami i wyłupiastymi oczami znał chyba wszystkich austriackich

kryminalistów. Położył dłoń na moim ramieniu, po czym mocno zacisnął palce. Bez problemu mógłby zmiażdżyć mi kości.

– Wahasz się, bo masz dokąd wracać. Ciepłe mieszkanko, żona, rodzinny interes… – Sapnął i rozejrzał się, sprawdzając, czy ktoś jeszcze go słucha. Swym niskim, dźwięcznym tonem zwrócił uwagę większości obecnych. – Kilka milionów z nas nie ma takiej szansy. Rozumiesz?

– Czy to powód, aby mordować? – wahałem się.

– Jeśli my nie damy sygnału, nie zrobi tego już nikt.

– On ma rację – wtrącił się Lauder. – Bez zdecydowanych działań czeka nas stulecie rozkładu.

– Ale… – starałem się oponować, lecz Ulke musiał się już wcześniej naradzić z resztą chłopaków.

– Jesteś z nami czy nie? – zapytał cierpko. – Nie ma trzeciej możliwości.

Zagryzłem wargi i powoli wciągnąłem powietrze. Pachniało rozkładającymi się w słonecznym dniu liśćmi oraz ziemią. Zastanawiałem się tylko chwilę.

– Jestem z wami – oznajmiłem zdecydowanym tonem. – Oczywiście, że tak.

Nie pomyślcie, że staram się teraz siebie wybielić. Że chcę, abyście mnie lepiej zrozumieli albo wzięli w obronę. Nic z tych rzeczy. Od początku ślepo wierzyłem w narodowy socjalizm, ale jednocześnie w tamtym dniu kalkulowałem jak każdy z was. Dopiero po wstąpieniu na Olimp stajemy się bogami i bohaterami. Wyzbywamy się wahań oraz dylematów. Działamy i mordujemy z lodowatą obojętnością niczym Zeus, Atena lub Hera. Wcześniej czeka nas mozolna wspinaczka pod górę i tylko głupcy nie oglądają się za siebie. A ja nie byłem głupcem.

– Każdy, kto jest przeciw nam, jutro zginie.

Te słowa Laudera najlepiej zapowiadały nadchodzący wielki dzień. Był dwudziesty piąty lipca trzydziestego czwartego roku. Niebawem znów miało stać się o nas głośno. Niemcy w Rzeszy nie powinni dłużej czekać na pokaz naszej gotowości do zjednoczenia. Chcieliśmy zorganizować Adolfowi Hitlerowi gościnne powitanie.

– Do roboty, chłopaki – wycedził Pilche. – Każdy wie, co ma robić.

Owszem. Znałem swoje zadania aż nazbyt dobrze. A te już zawsze miałem wykonywać z żelazną konsekwencją.

7.
25 lipca 1934 r.

Od samego świtu siedziałem w punkcie łączności znajdującym się o przecznicę od siedziby rządu. Na zmianę popijałem wino i kawę. Wtedy na rauszu była chyba większość z nas. Mimo to nikt nie zdradzał zadowolenia i pomieszczenie przesiąknięte było smrodem oczekiwania oraz niecierpliwości. Wszystkie emocje mają swój zapach, a z perspektywy lat wiem, że najwyrazistszy jest zapach strachu.

Od kilkunastu minut w mieście rozlegały się pojedyncze krzyki i strzały, mimo to musieliśmy czekać. Wreszcie około dziewiątej odezwał się dzwonek radioodbiornika, który obsługiwałem. Podniosłem słuchawkę, po czym podałem ją Lauderowi. Ten przez chwilę trzymał ją w dłoni. Wtem mlasnął i z namaszczeniem przyłożył ją do ucha.

– Melduj – rzucił krótko.

Przez minutę lub dwie słuchał, wreszcie z kamienną twarzą odłożył słuchawkę na widełki. W pomieszczeniu panowała cisza tak głęboka, że niemal eksplodowała. Każdy z nas utkwił w nim spojrzenie pełne wyczekiwania.

– Kanclerz Engelbert Dollfuß jest ciężko ranny – oznajmił cierpko. – Chyba nie dadzą rady go uratować.

Ktoś głośno wypuścił powietrze, a ktoś inny zaczął klaskać. Jednak na twarzy Laudera nie pojawił się nawet cień uśmiechu. Jego rysy były napięte i na czole zaskrzył się pot.

– Jednak udało się im ewakuować ministrów – rzucił po kilkusekundowej przerwie. – Uciekli prawdopodobnie niemal wszyscy.

Oklaski natychmiast ucichły.

– Co takiego?! – Pilche wyglądał, jakby zdzielono go po gębie. – Jakim cudem?

– Ktoś musiał ich ostrzec.

– Niech to szlag! W takim razie nie mamy ani chwili do stracenia…

Twarze Pilchego oraz reszty zdradzały, że właściwie już straciliśmy zbyt wiele czasu.

– Amon… – Lauder spojrzał na mnie spode łba. – Łącz nas z Berlinem. To nasza jedyna szansa…

– Przecież miałem to zrobić dopiero, gdy wypełnimy podstawowe cele…

– Łącz nas, natychmiast!

Lauder pohamował krzyk, dopiero gdy znacząco zacisnąłem usta. Byłem gotów dać mu po gębie, gdyby próbował mnie obrazić. Przez chwilę mierzyliśmy się wzrokiem.

– Panowie…

Nie wiem, kto wypowiedział to słowo, ale nagle drgnąłem, opanowałem wściekłość i sięgnąłem do aparatu. Obróciłem korbkę, czekając na połączenie.

– To nasza jedyna szansa… – powtórzył Lauder. – Inaczej za chwilę wszyscy skończymy na szubienicach.

8.

Nie wiem, jakie układy Lauder miał z Berlinem i czy góra partii nazistowskiej w Austrii w ogóle przewidziała taki obrót wydarzeń. Jeszcze przed paroma godzinami wydawało się pewne, że w razie jakichkolwiek perturbacji Hitler wyśle na granicę czołgi, tymczasem teraz pojawiła się plotka, że Mussolini kategorycznie zażądał od niego nieingerowania w wewnętrzne sprawy Austrii.

Usiłowałem nawiązać łączność z berlińskim kontaktem, lecz ciągle zrywało połączenie. Lauder zaczął się nerwowo przechadzać po mieszkaniu. Za oknem przegalopował konny patrol. Nikt z nich nie przypuszczał, że jesteśmy tak blisko budynków rządowych, ale w każdej chwili ktoś mógł nas sypnąć. Demonstracja, na którą miały ściągnąć tłumy, zebrała ledwie kilkaset osób.

Nagle otworzyły się drzwi do drugiego pomieszczenia i do środka wpadł łącznik z naszymi biurami krajowymi. Był to młody, ciemnowłosy chłopak z ponurym wyrazem twarzy.

– Ministrowie zebrali się na posiedzeniu kryzysowym – oznajmił bez ogródek.

Lauder i Pilche jednocześnie zaklęli.

– To pewne? – zapytał ktoś stojący za moimi plecami.

– Mój informator twierdzi, że tak. Podobno nikt się nie wyłamał.

– Wobec tego pozostaje tylko czekać na Berlin…

– A co, do cholery, robimy? – warknął Lauder, po czym stanął krok ode mnie. – No, Amon, ile to jeszcze potrwa?

W tym samym momencie usłyszałem podwójne kliknięcie, oznaczające, że za moment powinno się udać nawiązać połączenie. Przytknąłem palec do ust i podałem słuchawkę Lauderowi.

– Powodzenia… – wyszeptałem niemal bezgłośnie.

Wtem kilkanaście metrów od kamienicy, w której byliśmy, wybuchł granat. Szyby w oknach zabrzęczały, potem zapadła krótka cisza, a następnie wybił się z niej rozpaczliwy krzyk. Obróciłem się, aby

zamknąć uchylone okno. Było gorąco i duszno, lecz lepiej, aby Berlin nie słyszał tego, co działo się na podwórzu.

Heinrich zatykał palcem lewe ucho, a do prawego z całej siły przyciskał słuchawkę. Kiwał głową, jakby osobiście przed kimś składał raport. Nagle wyprostował się i wściekle cisnął słuchawkę na aparat. Powiódł wokół spojrzeniem zwierzęcia zagonionego w pułapkę.

– Berlin odmawia pomocy – oznajmił łamiącym się głosem. – Mamy radzić sobie sami.

Te słowa sprawiły, że w pomieszczeniu ponownie zapanowała kompletna cisza. Powietrze zdawało się drżeć, a upał gwałtownie stężał.

Chwilę później usłyszeliśmy dudnienie kroków na schodach i nagle trzasnęły drzwi. Do mieszkania wpadli rządowi żołnierze.

9.

Mógłbym przysiąc, że oficer z krótkim wąsem to ten sam, który zatrzymał mnie przed kilkoma laty. Postarzał się, jego rysy stężały, a policzki się zapadły, lecz miał to samo przenikliwe spojrzenie chmurnych oczu. W dłoni trzymał pistolet i nie budziło wątpliwości, że jeśli się poruszymy, zacznie strzelać. Jego czterech towarzyszy mierzyło w nas z mauserów.

Lauder pobiegł do drugiego pomieszczenia, lecz po chwili zrozumiałem, że żołnierze pojawili się również na parterze pod oknami. Ciemnowłosy łącznik telepał się ze strachu w rogu pomieszczenia. Pilche stał kilka metrów ode mnie z plikiem dokumentów pod pachą. Usłyszawszy kroki na schodach, rzucił się, by je zniszczyć, lecz ledwie zdążył je wyjąć z aktówki.

„Tchórzliwe sukinsyny”, przemknęło mi przez myśl. Wyprostowałem się i patrząc prosto w oczy oficera, zrobiłem kilka kroków w jego stronę. Byłem co najmniej o głowę wyższy oraz znacznie postawniejszy od niego.

– Stój!

– Kapitanie… – wyszeptałem porozumiewawczym tonem. – Widzę, że jest pan inteligentnym człowiekiem.

– Powiedziałem: stój!

Zatrzymałem się o dwa kroki od niego. Pochyliłem głowę i zdobyłem się na uśmiech.

– Wie pan, że dziś lub za kilka miesięcy dojdziemy do władzy – mówiłem spokojnie i cicho. – My się nie poddajemy.

– Zamknij się.

– Niech pan posłucha. Przelaliśmy już dość austriackiej krwi, ale nie zawahamy się przelać jej jeszcze więcej. – Opanowałem drżenie dłoni i zacisnąłem pięści. – W samym Wiedniu jest nas kilkaset tysięcy. Mamy listy wrogów oraz sympatyków komunistów.

Kapitan łypnął okiem w stronę żołnierzy. Wydaje mi się, że oceniał, czy przysłuchują się temu, co mówię. W wyrazie jego twarzy dostrzegłem niepewność, a może nawet strach. Wiedział, że mogę mieć rację. Zrobiłem jeszcze krok w jego stronę. Tym razem nie oponował.

– Jeśli teraz nas aresztujecie, za miesiąc lub dwa i tak wyjdziemy na wolność – ciągnąłem z przekonaniem. – Wtedy osobiście pana zabiję. A jeśli – znacząco uniosłem palec – jeśli nas zastrzelicie, zostaniemy pomszczeni.

Pilche, który stał w przeciwnym rogu pomieszczenia, nie słyszał moich słów. Nagle kątem oka dostrzegłem, że rzuca na podłogę dokumenty. Kartki rozwiały się w powietrzu, a on w tym samym momencie sięgnął za pasek spodni. Nim ktokolwiek zareagował,

wyciągnął stary rewolwer i wystrzelił. Huk wystrzału sprawił, że odruchowo zamknąłem oczy.

10.

To, co zarejestrowałem w następnych sekundach, wydawało się trwać całymi godzinami. Mój umysł śledził rzeczywistość w jakimś zwolnionym, poszatkowanym tempie.

Pilche wyprężył się, jednak pistolet wypadł mu z dłoni. Byłem pewny, że któryś z żołnierzy został postrzelony, lecz ci niezmiennie mierzyli z karabinów w jego pierś. W powietrzu wciąż wirowały kartki papieru.

Po sekundzie lub dwóch Pilche opuścił głowę i momentalnie, jakby przełączono jakiś guzik, zwalił się na kolana. Dopiero wtedy zobaczyłem, że brakuje części jego czaszki. Nad lewym oczodołem zionęła ciemna, krwawa wyrwa, w której widać było fragment mózgu. Pukiel włosów sterczał na strzępie skóry zwieszającym się nad uchem. Powieka zatrzepotała w przyśpieszonym rytmie i oko utkwiło we mnie zdziwione spojrzenie. Jednocześnie po policzku ciurkiem popłynęła strużka krwi, która zaczęła broczyć podłogę. Wtedy Pilche z łoskotem zwalił się prosto na twarz.

– Szlag… – wycedził jeden z żołnierzy.

Kapitan przygryzł wargę i przeniósł wzrok z trupa na mnie. Powstrzymałem się, by samemu nie zakląć. Udało mi się zachować możliwie obojętny wyraz twarzy.

– On był jednym z nas – wyszeptałem. – Jego również pomścimy. Zastrzeliliście go z zimną krwią, gdy się poddawał.

– Ale…

– Aby ta wersja nie poniosła się po Wiedniu, musicie zastrzelić nas jednego po drugim.

Ostatnie zdanie wypowiedziałem tak, by słyszeli mnie wszyscy w pomieszczeniu. Odwróciłem się, by nie spoglądać dłużej na ciało Pilchego, wstrząsane agonalnymi dreszczami. Z jego ust dobywało się okropne rzężenie, jakby poderżnięto mu gardło.

– Na miejsce każdego z nas pojawi się dwóch kolejnych – ciągnąłem, patrząc prosto w oczy kapitana. – Hitler prędzej czy później nakaże wojskom wkroczyć do Austrii.

– Dość…

Ton kapitana zdradzał, że moje słowa wywierały należyte wrażenie. Nagle jeden z jego żołnierzy opuścił karabin i stanął w postawie na baczność. Po chwili drugi zrobił to samo.

– Cholerni zdrajcy! – Kapitan zacisnął palce na rękojeści pistoletu, ale go nie uniósł. Pokiwał głową, po czym cofnął się w stronę drzwi. – Niech mi będzie zapamiętane, że właśnie to zrobiłem.

Oficer ostentacyjnie odwrócił się i przykucnął przy zwłokach Pilchego. Jego żołnierze nie zareagowali, gdy po kolei opuszczaliśmy mieszkanie.

11.

Zapamiętajcie ten moment. Zaciśnięte zęby, pot zbierający się na kołnierzyku koszuli, serce walące w nienaturalnie szybkim tempie. Nigdy nie chciałem być takim człowiekiem. Nawet w momencie, gdy kilku towarzyszy poklepywało mnie po plecach, byłem na siebie wściekły. Nie bałem się śmierci ani aresztowania, więc dlaczego drgnęły we mnie jakiekolwiek emocje? Słowo daję, że stało się to po raz ostatni.

Przecież mogłem być spokojnym wydawcą, który przejąłby po rodzicach całkiem dobrze prosperujący interes. Mogłem wieść naprawdę spokojne życie i nie mieć żadnych problemów. Jednak nie

potrzebowałem spokoju, a problem widziałem aż nazbyt widocznie, aby przejść obojętnie. Marksiści i Żydzi zatruwali Austrię swoją kłamliwą, tchórzliwą propagandą. Starali się zamordować wszelkie ideały tego świata i stworzyć go zgodnie ze swoją niszczycielską wizją. Walka klas oraz narodów? Równość w nicości? To nie mógł być mój świat.

Regularnie chodziłem na demonstracje i dumnie nosiłem partyjny mundur. Zdaje się, że nawet mój ojciec rozumiał, że w idealnym świecie komunistów jego wydawnictwo zostałoby natychmiast zamknięte. Był wrogiem ludu. Miał zbyt ładne mieszkanie, zbyt wiele pieniędzy i, co może najgorsze, zbyt wielkopańską krew.

– Widziałeś, co ci szaleńcy zrobili na Ukrainie? – zagadnął któregoś razu, gdy siedzieliśmy przy stole. – Z cynicznym uśmiechem mordują swój własny naród…

– Naród? – Matka przeżegnała się. – Oni chyba nie znają takiego pojęcia.

– Lud…

Odchrząknąłem i chwyciłem dłoń mojej żony. Oboje rodzice, zaskoczeni, zdali sobie sprawę, że nie brnę w tę dyskusję. Zamilkli, po czym wbili we mnie zdziwione spojrzenia.

– Mamo, tato… – Uroczyście wzniosłem kieliszek wina. – Olga jest w ciąży. Będziemy mieli dziecko.

Wtedy po raz pierwszy od lat na twarzach rodziców dostrzegłem wyraz dumy i zadowolenia. Do tej pory nie rozumiem, jak można się cieszyć z faktu, że na świat sprowadza się kolejną śmierć. W końcu wszystko, co żywe, musi umrzeć, czyż nie?

12.

Boże, jaki byłem szczęśliwy. Wszystkie teorie, wszystkie myśli i wyobrażenia stały się nieistotne. Gdy zobaczyłem krew swojej krwi, gdy spojrzałem w oczy, o których mówiono, że patrzą na świat tak samo jak ja, po raz pierwszy naprawdę się zakochałem. Po raz pierwszy zrozumiałem, czym jest miłość i że istnieją uczucia silniejsze od matematycznych kalkulacji, co się opłaca.

– Będzie się nazywał Peter, po swoim dziadku – oznajmiłem, trzymając uśmiechającego się, pulchnego noworodka. – I tak jak on przeżyje co najmniej dziewięćdziesiąt lat.

Nie wiem, dlaczego w tamtym momencie pomyślałem o umieraniu. Bo przeżycie dziewięćdziesięciu lat to przecież kwestia umierania chwilę później, niż każe statystyka, ale zdaje się, nikt nie zwrócił na to uwagi. Wyczerpana porodem Olga wbiła we mnie jedynie pełne uczucia spojrzenie. Oddałem dziecko przybyłej do naszego mieszkania pielęgniarce i chwyciłem dłoń żony. Nigdy nie dotykałem jej w ten sposób. Nasze palce nigdy nie splatały się w tak zgodnym rytmie.

– Kochanie… – wyszeptałem.

Przez kolejne minuty uśmiechaliśmy się do siebie, patrząc, jak pielęgniarka przewija i ubiera noworodka. Dziecko nie płakało, lecz cichutko gaworzyło. Poruszało maleńkimi rączkami i zaciskało piąstki. Patrzyło na mnie.

– Peter… – wyszeptałem, patrząc synowi w zamglone oczy.

Odpowiedział mi uśmiech wilgotnych, kształtnych warg.

Wtedy chyba jedyny raz w życiu zrozumiałem, czym mogą być łzy szczęścia. Ukradkiem palcem otarłem oczy.

13.

– Pomyśleliśmy, że lepiej będzie pana wezwać, doktorze. Nie wiem, co jest z małym…

Może byliśmy nadopiekuńczymi rodzicami, ale skoro mój ojciec miał kilku znajomych lekarzy, postanowiliśmy to wykorzystać. Większość z nich była Żydami, co ojcu w ogóle nie przeszkadzało, a i mnie w tamtym momencie nie robiło różnicy.

Właściwie objawy nie były bardzo niepokojące, lecz woleliśmy dmuchać na zimne. Peter był wyjątkowo spokojnym i grzecznym dzieckiem, więc zmiany były tym bardziej dostrzegalne. Może po prostu dorastał? Miał już siedem miesięcy i tył w oczach. Przypominał krągłego kluska z wyjątkowo czujnym, przeszywającym spojrzeniem błękitnych oczu. W tamtym czasie jednak spoglądał dziwnie smutno i sennie.

– Nie wiem, co z nim – mówiłem, prowadząc lekarza z przedpokoju do małego pokoiku. – Czy niemowlętom zawsze bije tak szybko serce? Zdaje się, że wcześniej nie zwróciłem na to uwagi.

Lekarz jedynie westchnął. Usiadł na łóżeczku przy Peterze, po czym otworzył swoją skórzaną torbę.

– Poza tym jest nienaturalnie blady i od kilku dni dużo płacze – dodała Olga. – Dotąd był naprawdę spokojny.

– I często odchyla główkę.

– Oddycha jakby przez usta.

Lekarz pokiwał głową i przez chwilę grzebał w torbie. Wyciągnął z niej stetoskop oraz jakiś drugi, metalowy przedmiot.

– Panie Göth, muszę go teraz osłuchać – odezwał się, podciągając chłopcu koszulkę. – Potem wykonam kolejny test. Proszę mi pomóc.

Weinberg albo Goldblum, nie pamiętam już, jak się nazywał, obrócił chłopca plecami do siebie i delikatnie pochylił go do przodu. Peter zakaszlał i zaczął się wiercić. Mimo to lekarz sprawnie nad nim zapanował, po czym przez kilka minut w milczeniu go badał.

– Jak długo utrzymują się te objawy? – zapytał, odkładając słuchawki.

Spojrzeliśmy na siebie z Olgą. Wzruszyłem ramionami i przeszedłem wzdłuż pokoju.

– Trzy, może cztery dni. Raczej trzy, choć mogliśmy czegoś nie zauważyć.

– Czy chłopiec miał gorączkę?

Zadając to pytanie, lekarz strzepnął termometr i wsunął go Peterowi pod pachę.

– Nie wiem… Nie pomyśleliśmy, żeby sprawdzić.

– Czy to coś groźnego?

Doktor nie odpowiedział na pytanie Olgi, lecz przykładał ucho do pleców naszego syna. Po chwili wyprostował się, zerknął na termometr, po czym wstał z łóżka. Położył Petera pod koc i okrył go delikatnie. Nasz synek zakaszlał. Na jego niemal białych policzkach rumieniły się czerwone wypieki. Duże, ufne oczy wbijały w nas kochające spojrzenie. Chłopiec poruszył się, ale nie miał siły się obrócić.

Lekarz skinął do mnie głową, dając znać, żebym odszedł z nim na bok. Przeszliśmy do przedpokoju, gdzie zapiął teczkę i spojrzał na mnie spode łba. Pukle czarnych włosów opadały mu na czoło.

– Obawiam się, że to dyfteryt – oznajmił oschłym, naukowym tonem. – Więcej będziemy wiedzieć dziś wieczorem lub jutro, w zależności od rozwoju choroby.

Powstrzymałem przekleństwo. Opanowałem się i odwróciłem plecami do pokoju, byle tylko nie patrzeć na żonę.

– Co możemy zrobić? – zapytałem szeptem. – Przepisze pan jakieś lekarstwa?

Żyd pokręcił głową. Utkwił we mnie spojrzenie ciemnych, okrągłych oczu.

– Obawiam się, że nic nie możemy zrobić.

– Ale jak to? Nie ma na to żadnych lekarstw? Musi sam wyzdrowieć?

– Tak.

– I wyzdrowieje?

– Tego nie mogę panu zagwarantować.

Ponownie bezgłośnie zakląłem.

– Wszystko powinno się wyjaśnić w ciągu najbliższych godzin – dodał Żyd.

14.

Byłem wściekły na niemoc nauki i żydowskiego lekarza. Weinberg albo Goldblum zachodził do nas jeszcze kilkukrotnie, by nadzorować rozwój wydarzeń. Mierzył Peterowi temperaturę, podał jakieś specyfiki i kazał czekać. Tymczasem mały zdawał się z godziny na godzinę opadać z sił. Wieczorem już się niemal nie ruszał ani nie płakał. Z jego ust dobywał się jedynie cichy świst.

– Musimy posłać po innego lekarza… Pieprzony Żyd!

Z całej siły uderzyłem dłonią w oparcie kuchennego krzesła. Pohamowałem emocje i odwróciłem się do Olgi.

– Ci Żydzi nie znają się na tym, co robią. Nie wiem, skąd mój ojciec go wytrzasnął.

– Wiesz, że jest dobry. – Olga splotła dłonie na piersi i spuściła głowę. Oczy miała opuchnięte, a rysy twarzy stężałe. – Wiesz, że robi, co może.

– Nic nie robi, w tym rzecz!

– Bo musimy czekać.

– Na? – Parsknąłem. – Na pomoc Boga? Na cud? A może mamy paść na kolana i walić czołami w podłogę?

– Nie bluźnij.

– Pieprzę Boga. Rozumiesz?

Te słowa sprawiły, że Olga wybuchnęła płaczem, a ja głęboko nabrałem powietrze. Wróciłem do pokoiku i usiadłem przy łóżeczku Petera. Przez kolejne trzy godziny wpatrywałem się w jego nadzwyczaj spokojną, jak na okoliczności, twarzyczkę. Miał lekko rozchylone usta, przymknięte oczy i niespokojny oddech. Momentami zapadał w sen, lecz zdawało mi się, że przez większość czasu czuwał, choć nie miał siły się poruszyć.

Olga co kilka minut przychodziła do mnie, siadała przy nas, próbowała podać malcowi przepisany przez lekarza syrop, po czym bez słowa odchodziła do kuchni. Nie była w stanie patrzeć na cierpienie chłopca. Co rusz słyszałem zza ściany jej przerywany rozpaczliwy płacz. Czasem zdawało mi się, że zastępowała go cicha modlitwa.

Tuż przed północą ponownie odwiedził nas doktor. Osłuchał Petera i położył dłoń na moim ramieniu. Wzdrygnąłem się, po czym gwałtownie podniosłem.

– Proszę stąd wyjść – wycedziłem przez zęby. – Natychmiast.

Lekarz przez chwilę patrzył mi w oczy, wreszcie założył na głowę kapelusz i ruszył do drzwi. Gdy te zamknęły się z cichym trzaśnięciem, zawróciłem do łóżeczka. Po drodze dostrzegłem, że Olga zasnęła na krześle.

Cicho przeszedłem obok i usiadłem przy Peterze. Chłopiec oddychał już bardzo cicho, w nierównym tempie. Gdy jego oddech ustał, odruchowo zerknąłem na cyferblat zegarka. Była dokładnie za siedem pierwsza nad ranem. Odczekałem jeszcze pięć albo dziesięć minut. Wreszcie podniosłem się z fotela, zakryłem ciało naszego syna kocem, po czym bez słowa wyszedłem z saloniku.

– Umarł – oznajmiłem na tyle głośno, by Olga się obudziła. – Teraz musisz się zająć organizacją pogrzebu.

Nie zważając na spazm płaczu za plecami, skierowałem się do drugiego łóżka.

Byłem wyczerpany.

15.

Nie pojawiłem się na pogrzebie Petera. Nie wierzyłem w Boga ani w Szatana. Mój syn umarł i nie trafił do żadnego innego wymiaru, lecz osunął się w nicość. Takie jest życie i nic nie możemy na to poradzić. Nawet jeśli wmawiałem sobie, że właśnie w to wierzę, udało mi się to doskonale. Nie uroniłem nawet jednej łzy.

– To twoja wina – wycedziłem, patrząc gniewnie na Olgę. – Twoja i tego żydowskiego konowała.

Siedzieliśmy przy stole w kuchni i piliśmy wino. To znaczy ja je popijałem, a moja żona gładziła dłonią kieliszek. Spojrzała na mnie, nic nie rozumiejąc.

– Może chciałabyś wznieść toast? Może jego śmierć jest ci na rękę, co?

– Ale…

– Zamknij się.

Poderwałem się z krzesła i pchnąłem kieliszek tak, że ten upadł na stół. Czerwony płyn wylał się na drewniany blat. Czułem, że alkohol pulsuje mi w żyłach i plącze myśli. Nie spałem od dwóch dni, wlewając w siebie, co tylko popadnie. Koniak, spirytus, wino… To nie miało żadnego znaczenia. Chciałem po prostu zasnąć.

– Nie dbałaś o niego – ciągnąłem gniewną tyradę. – Zajmował ci zbyt wiele czasu i nigdy go nie kochałaś. Wolałabyś się bawić…

Olga podniosła się od stołu, po czym stanęła o krok ode mnie. Zacisnęła usta, powstrzymując szloch. Jej wargi zadrżały i pociągnęła nosem. Obserwowałem, jak łzy napływają do jej błękitnych, zaczerwienionych oczu. Peter odziedziczył je po matce, ale

teraz było to już zupełnie nieistotne. Mimo to na moment zatopiłem się w jej spojrzeniu, jakbym przywoływał obraz syna.

– Nie mów tak – zaprotestowała łamiącym się głosem. – Jesteś pijany.

– A ty nie mów mi, co mam robić.

– Amon, proszę cię, połóż się do łóżka i odpocznij.

Nie mogłem oderwać wzroku od jej oczu. Od oczu mojego kochanego Petera. Drżały mi dłonie, a myśli kłębiły się, mącąc rzeczywistość. Przeczesałem palcami włosy i kpiąco parsknąłem.

– Zamordowałaś go – szepnąłem, nachylając się ku twarzy żony. – Nie zauważyłaś, że od kilku dni gorączkuje i więcej płacze. To twoja cholerna wina.

– Amon!

Krzyknęła, lecz nie potrafiła powiedzieć nic więcej. Głos uwiązł jej w gardle i wybuchnęła rozpaczliwym, bezsilnym płaczem. Wtedy chwyciłem jej podbródek i ponownie spojrzałem prosto w jej oczy. Miałem przed sobą twarz martwego Petera, który spoglądał na mnie z wyrzutem. Uniosłem dłoń i uderzyłem ją w policzek tak, że się zatoczyła. By nie upaść, chwyciła się rogu szafki.

– Ty też powinnaś umrzeć – rzuciłem na odchodne. – Dobre matki odchodzą wraz ze swoimi dziećmi.

16.

Nie mogłem patrzeć na Olgę. W jej twarzy widziałem twarz Petera i za każdym razem powodowało to ukłucie w głębi serca. Nie potrafiłem zapanować nad nieracjonalnością tego uczucia. Coraz częściej sięgałem po wina lub destylaty, ale nawet one nie przynosiły ukojenia. Rzeczywistość mogła się chwiać lub wirować, lecz

pozostawała niezmiennie tak samo szara i obca. Przynajmniej znów mogłem sypiać.

Rozwiedliśmy się w marcu trzydziestego szóstego. Nie robiliśmy sobie wyrzutów, po prostu zakończyliśmy wspólny etap życia z postanowieniem, że uczynimy wszystko, by nie spotkać się nigdy więcej. W końcu nie łączyło nas już zupełnie nic poza mało znaczącą przeszłością.

– Jeśli zobaczysz mnie na ulicy, nigdy, ale to nigdy nie podchodź w moją stronę.

To były moje ostatnie słowa skierowane do Olgi. Wieczorem, tego samego dnia, podarłem i spaliłem wszystkie nasze zdjęcia, włącznie z tymi kilkoma, na których był nasz syn. Już nigdy nie chciałem powrócić do tamtych czasów. Wymazywałem je z umysłu, pragnąc, aby nie pozostały nawet wspomnieniem. Tego jednak nie mogłem zrobić, choć teraz myślę o tym z całkowitą obojętnością. Czas przynosi zapomnienie.

Przez kolejny rok pracowałem w wydawnictwie rodziców. Właściwie udawałem, że pracuję, a oni udawali, że doceniają moje rzekome wysiłki. Niemal się nie odzywaliśmy. Byłem wściekły, że próbowali ułożyć mi życie, a w konsekwencji zmarnowali mi cały jego kawał. Olga? To był ich cholerny wymysł, tak samo jak ten żydowski lekarzyna, który pozwolił umrzeć mojemu synowi. Zostawmy to.

Działalność naszej partii została ponownie zdelegalizowana, jednak nikt nie zwracał uwagi na nieoficjalne spotkania, demonstracje i zjazdy. Nikt nie karał za partyjne mundury ani hitlerowskie pozdrowienia czynione na ulicy. Podświadomie każdy żandarm i policjant wiedział, że wkroczenie Niemców do Austrii to tylko kwestia czasu. Już teraz byliśmy panami, choć jeszcze nie mieliśmy właściwej władzy. Mimo to z dnia na dzień rósł strach przed nami, ludzie schodzili nam z drogi, a niektórzy mundurowi ukradkiem

salutowali. Wiedeń kipiał, lecz jak zwykle nikt zdawał się tego nie zauważać.

Na początku trzydziestego siódmego zostałem Oberscharführerem SS. Był to istotny awans i uczciłem go trzydniowym rautem w moim mieszkaniu. Wraz ze mną świętowali najważniejsi narodowi socjaliści Austrii. Lauder wygłosił wspaniałą mowę ku pamięci Pilchego, a nastroje jeszcze nigdy nie były tak dobre. Czuliśmy, że lada tydzień lub lada miesiąc stanie się to, o czym wszyscy marzyliśmy. Anschluss zbliżał się wielkimi krokami. Musieliśmy być gotowi, aby godnie powitać Adolfa Hitlera i sprawnie przejąć władzę. To był cel nas wszystkich.

Jednak ja… Ja zawsze pragnąłem osiągnąć znacznie więcej. Chciałem być panem życia i śmierci, więc musiałem wdrapać się na same szczyty. Nie obawiając się upadku.

17.

Dwunastego marca trzydziestego ósmego Niemcy wkroczyli do Austrii. Stało się to, na co wszyscy czekali. Możesz nie uwierzyć w te nieprzebrane tłumy wiwatujących ludzi i na kwiaty rzucane pod koła przejeżdżających pojazdów ze swastykami na proporczykach, jednak tak właśnie było.

Austria wracała do macierzy i opierała się temu jedynie grupka Żydów oraz komunistów, co często wychodziło na jedno. Ludzie ci siali ferment i żyli z fermentu. Ich ponure twarze były wyrazem naszego największego tryumfu. Nic nie sprawiało mi takiej przyjemności, jak płaczliwe tony rzucane w zaułkach lub z zabitych deskami okien. Ci krzykacze byli tak żałośni, że jako wzór upadku nie powinni być nawet aresztowani. Stanowili najlepszy przykład, że to, co się wydarzyło, jest tryumfem cywilizacji nad dekadencją. Tryumfem

jasności nad marksistowską ciemnością oraz żydowskim zabobonem. Zwycięstwem, które musiało przyjść mimo wcześniejszych niepowodzeń oraz ran zadawanych nam przez wrogów; wrogów spychanych teraz na margines historii…

Przez blisko trzy kwadranse mówiłem o tym na zebraniu partii, oficjalnie witając przybyłych z Rzeszy oficjeli. Nigdy wcześniej moje słowa nie wywołały takiego entuzjazmu, a oklaski nie rozbrzmiewały tak długo.

Gdy w euforii zbiegałem z niewielkiego podestu, Lauder nachylił się ku mnie i chwycił moje ramię.

– Wkrótce awansujesz – wyszeptał. – Wszyscy są pod ogromnym wrażeniem.

Nic nie odpowiedziałem. Oczarowany podniosłą atmosferą chłonąłem kolejne sekundy, a gdy wiec dobiegł końca, niemal niepostrzeżenie się wymknąłem. Czasem lepiej jest zniknąć i pozwolić wydarzeniom biec mimochodem niż stawać im na drodze. Wiedziałem, że wszyscy będą o mnie mówić, więc nie chciałem swoją obecnością krępować tych rozmów.

– Zamierzam świętować w gronie rodziny – oznajmiłem Lauderowi.

Wiedziałem, że moi rodzice nie są szczęśliwi z rozwoju wydarzeń i wolałem, żeby nikt inny o tym nie wiedział. Nikt nie powinien nawet mieć cienia wątpliwości co do ich oddania ideologii narodowego socjalizmu. Myślicie, że się o nich obawiałem? Może trochę, ale przede wszystkim obawiałem się o swoją karierę i o to, by ich defetyzm nie stanął jej na drodze.

Jednak tego dnia matka nie pojawiła się przy stole. Wymówiła się złym samopoczuciem i zamknęła się w sypialni. Butelka reńskiego wina, którą postawiłem na blacie, stanowiła wymowny wyraz zwycięstwa. Przypieczętowałem nim swoją wyższość nad poprzednim pokoleniem.

– Widzisz, ojcze, to ja miałem rację. – Uśmiechnąłem się i przełknąłem kęs mięsa. – Wiedziałem, że wszystko musi się tak potoczyć.

Ojciec zmarszczył czoło i jak nie on, grzebał jedynie widelcem w talerzu.

– Życzę ci, żeby tak właśnie było.

– Czy tak nie jest? Wyjrzyj za okno, zobacz flagi ze swastyką i wiwatujące tłumy. No? A może nagle zacząłeś niedowidzieć?

Uśmiechnął się blado i bez przekonania uniósł kieliszek. Wino zachlupotało.

– Racja to stan trwalszy niż chwila lub kilka miesięcy. Rozumiesz?

– Nie sądzę, żeby w tym czasie coś się zmieniło.

– A za rok lub pięć? Wierzysz w tysiąc lat?

Wzruszyłem ramionami.

– Za tysiąc lat nas nie będzie, więc mało mnie to interesuje.

Trąciliśmy się kieliszkami, szkło brzęknęło, a ojciec, wciąż ponuro się uśmiechając, przeniósł spojrzenie w stronę okna.

– Proszę, nie pojawiaj się więcej w moim mieszkaniu w tym mundurze – wyszeptał, nawet na mnie nie patrząc. – Zrób to dla matki.

Gwałtownie odsunąłem się od stołu i wstałem z krzesła. Wsłuchując się w skrzypienie desek podłogowych, ruszyłem do wyjścia. Już nigdy nie pojawiłem się w tym mieszkaniu. Przeszłość zawsze należy zostawiać za sobą.

18.

Annę Geiger poznałem w Innsbrucku. Była drobną, lecz atletycznie zbudowaną kobietą o spojrzeniu pełnym pasji. Po raz pierwszy spotkaliśmy się, gdy niemal wpadła na mnie, pędząc na swoim

czarnym motocyklu, w skórzanym kombinezonie oraz kasku z goglami. Do tego nosiła czarne oficerki i oliwkowe bryczesy, zupełnie jakby motocykl był jej wierzchowcem. Zatrzymała się z piskiem opon ledwie kilkadziesiąt centymetrów ode mnie. Była przekonana, że się wścieknę i zacznę ją rugać, i już zamierzała się tłumaczyć, gdy przytknąłem palec do ust.

– Zrekompensujesz mi to, jeśli pójdziemy na kawę – powiedziałem obojętnym tonem.

Często wspominała te słowa, które stały się werbalnym początkiem naszej znajomości. Zgodziła się niemal od razu, wyraźnie przestraszona tym, że o mały włos nie zrobiła mi krzywdy. Kwadrans później siedzieliśmy przy stoliku w jednej z tych małych, tłocznych innsbruckich kawiarni, w których wciąż grana jest góralska muzyka.

Takie były nasze początki. Przez kolejne dni spotykaliśmy się regularnie, aż wreszcie nadszedł czas mojego powrotu do Wiednia, a Anne musiała zostać w Innsbrucku.

– Przyjadę w piątek wieczorem lub w sobotę rano – oznajmiłem, wsiadając do pociągu.

I wiecie co? Dotrzymałem słowa, a przez kolejne trzy miesiące nasza znajomość rozwijała się w kolejnych hotelach, gdzie rezerwowałem noclegi w weekendy. Anne kompletnie zawróciła mi w głowie i byłem pod wrażeniem tego, z jaką pasją możemy się kochać. Bogobojnej Oldze zawsze brakowało swobody oraz odwagi. Natomiast Anne…

Dość powiedzieć, że poczyniłem wobec niej konkretne plany. Byłem przekonany, że zostaliśmy stworzeni wyłącznie dla siebie i że tylko razem możemy być szczęśliwi. Zapomniałem o Oldze, o poprzednim małżeństwie, o kłótniach oraz wszelkich innych naturalnych konsekwencjach oddania się mężczyzny kobiecie bądź kobiety mężczyźnie…

Do hotelu przyjechałem chłodnym, wczesnym rankiem, gdy nad Innsbruckiem wisiały chmury, a ulice zajęła mgła. W pokoju

znalazłem się tuż po siódmej i zająłem się rozpakowywaniem rzeczy. Nie poinformowałem Anne o godzinie przybycia ani o tym, żeby w ogóle się mnie spodziewała. Chciałem zaskoczyć ją w jej własnym wynajmowanym mieszkaniu w jednym z tych charakterystycznych drewnianych domków rozsianych u samego podnóża Alp.

Około dziewiątej byłem gotowy do wyjścia. Wcześniej postanowiłem zejść na śniadanie oraz na filiżankę kawy. W momencie, gdy pojawiłem się na dole, podszedł do mnie ubrany w uniform recepcjonista. Z urzędową sztywnością podał mi bilecik wsunięty w niewielką kopertę.

– Co to? – zapytałem oschle.

– Korespondencja do pana, panie Göth. Nadeszła telegrafem przed kilkoma minutami z oznaczeniem „pilne”.

Zerknąłem na kopertę i wyciągnąłem z niej kartonik. Wcześniej wsunąłem recepcjoniście kilka drobnych monet, po czym odwróciłem się do okna. Wiadomość została nadana przez ojca bezpośrednio po otwarciu poczty. Była krótka, składało się na nią jedynie kilka zdań.

Twoja matka umarła dziś w nocy. Wracaj do domu. Pogrzeb. Telefon.

Przeczytałem wiadomość dwukrotnie, domyślając się, że ojciec pragnął, bym skontaktował się z nim telefonicznie. W hotelu, w którym się zatrzymywałem, nie było aparatu, co musiało opóźniać wymianę informacji.

Powoli wypuściłem powietrze. Złożyłem kartkę na pół i cisnąłem ją w stronę śmietnika. To, co się stało matce, nie miało żadnego znaczenia. Nie interesowało mnie.

Sięgnąłem do kieszeni i wyciągnąłem z niej złoty pierścionek. Tamtego dnia zamierzałem się oświadczyć. Nic nie mogło mi stanąć na przeszkodzie[1]. Nie mogła przeszkodzić mi nawet śmierć.

19.

Ślubu udzielił nam Standartenführer Hans Weisel, mój przełożony i dowódca struktur partyjnych w Wiedniu. Nalegałem, by ceremonia przebiegała zgodnie z rytuałem SS. W ramach przygotowań oficjalnie wystąpiłem ze struktur Kościoła katolickiego, czym przynajmniej nie mogłem już skrzywdzić matki. Ojciec zdawał się pogodzony z losem, w ramach prezentu ślubnego przepisał na mnie połowę udziałów w wydawnictwie. Zrozumiał, że narodowy socjalizm nie wiąże się z masowymi mordami na ulicach i że można na nim zarobić. Zaczęliśmy wydawać książki o tematyce politycznej, historycznej oraz albumy militarne. Interes kręcił się jak nigdy dotąd. Można powiedzieć, że byliśmy bogaci.

Uroczystość ślubna odbyła się w jednym z alpejskich zamków, które przekształcono na świątynię odradzającego się obrządku germańskiego. Salę przyozdobiono gałązkami jodłowymi, a na podwyższeniu w kamiennej misie płonął ogień. Po złożeniu przysięgi i wymienieniu obrączek Wiesel oficjalnie przyjął Anne w poczet żon członków SS. Wręczono nam ozdobny egzemplarz *Mein Kampf* oraz dwa gliniane dzbany symbolizujące zalecenie skromnego życia. W trakcie przewożenia prezentów do naszego mieszkania gdzieś się zawieruszyły, co zapewne dla niektórych mogłoby być całkiem wymowne…

Na balu zjawiło się więcej osób, niż się spodziewałem. Przybyli nawet oficjele z zarządu partii oraz kilkoro moich starych druhów, którym wysłałem zaproszenia, lecz nie sądziłem, by mieli ochotę się stawić. Wszyscy przybyli w galowych mundurach, dumni i inni od tych nieopierzonych chłopców, jakimi byliśmy, gdy po raz pierwszy staraliśmy się przejąć władzę w Wiedniu.

Lauder nie powstrzymał się, by nie wspomnieć po raz kolejny o Pilchem, który urastał do rangi bohatera. On, który zabił się ze

strachu przed aresztowaniem! Nigdy nikomu o tym nie powiedziałem, ale dla mnie był zwykłym tchórzem i szkodnikiem, na którym całkowicie się zawiodłem. Nie chciałem mieć w swoim otoczeniu ludzi, którzy bali się śmierci. W końcu zrozumiecie, że nie kryła się w tym żadna poza.

Ślub odbył się pod koniec października trzydziestego ósmego, a pod koniec roku okazało się, że Anne jest w ciąży. Nie potrafiłem pohamować radości. Cieszyłem się i bez przerwy myślałem o tym, że będę ojcem. Jednocześnie każdego dnia wspominałem Petera. W oczy razem ze szczęściem nieustannie zaglądała mi śmierć.

20.

– To dziewczynka?

Skinąłem głową. Spojrzałem w oczy Anne, która wciąż była oszołomiona, a na jej policzkach rumieniły się ogromne pąsy. Jej czoło było zroszone od potu.

– Dlaczego mi ją zabrali? Gdzie ona jest?

– Jest w drugim pokoju.

– Dlaczego? Amon, o co chodzi?

Podszedłem do Anne, pochyliłem się i ucałowałem ją w czubek głowy. Oddychała szybko, spłoszonym wzrokiem rozglądając się wokół.

– Ona nie żyje – odezwałem się, nie siląc się nawet na łagodny ton. Chyba zamiast smutku przemawiał przeze mnie gniew. – Urodziła się martwa, rozumiesz?

Anne wbiła we mnie pusty wzrok. Chwilę później potrząsnęła głową i nerwowo się zaśmiała.

– Co ty opowiadasz, Amon? Przecież… Nie. To niemożliwe. Nawet nie powinieneś tak żartować, tylko idź i każ ją mi przynieść. Ona na

pewno chce piersi… Dlaczego nie słyszę jej płaczu?

– Ona nie żyje – powtórzyłem, po czym się wyprostowałem.

Nie mówiąc nic więcej, wyszedłem z pokoju i skierowałem się do gabinetu. Zajmowaliśmy wtedy przestronne mieszkanie niedaleko Ringu, które częściowo opłacało SS. Wreszcie miałem swój kąt, gdzie mogłem się zaszyć sam z własnymi myślami.

Pamiętam, że siadłem przy biurku i sięgnąłem po najnowszy album wydrukowany przez nasze wydawnictwo. Przez godzinę lub dwie wertowałem go strona po stronie, całkowicie zatopiony w analizie szczegółów zdjęć. Przedstawiały obiekty architektoniczne wzniesione w ostatnich latach zgodnie z duchem Trzeciej Rzeszy. Wielkie, imponujące budowle, dworce, stadiony oraz hale widowiskowe, które miały przetrwać co najmniej tysiąc lat. Wtedy nie zostanie po nas choćby ślad. Proch z kości zostanie rozwiany przez wiatr i połączy się z resztą materii.

Każde życie zmierza ku śmierci. Myślałem o tym tak często, że stało się to chyba jednym z moich mott życiowych. Nie było w nim nic pesymistycznego ani smutnego, lecz jedynie żelazna logika. Dlaczego mielibyśmy tego nie akceptować? Gdybym bał się przyszłości, nigdy nie zdecydowałbym się na posiadanie dzieci. Nie możemy zmienić biegu wydarzeń, ale możemy kroczyć naprzeciw nim z podniesionym czołem. Niebawem po wydaniu na świat martwego płodu Anne ponownie zaszła w ciążę. Tym razem urodziła Ingeborgę, a po kolejnym roku Wernera. Tchnąłem cząstkę energii w ten nędzny świat.

21.

Wybuch wojny zastał mnie na ciepłym administracyjnym stanowisku, z którym nie wiązałem przyszłości. Gdy dowiedziałem

się o pierwszych sukcesach Wehrmachtu na froncie, otworzyłem najlepszy koniak, jaki miałem, i wypiłem go niemal duszkiem. Zwłoki poległych na froncie mogły utorować mi drogę do awansu. Nie chciałem tkwić na dalekim zapleczu jako tło wydarzeń, więc natychmiast zgłosiłem swoją gotowość do zmiany miejsca służby.

Weisel oraz Lauder nie do końca rozumieli mój zapał. Dla nich stanowiska w Wiedniu stanowiły szczyt marzeń oraz kwintesencję właściwego przebiegu kariery, więc ich rekomendacje, choć bardzo gorące, zostały skierowane niedokładnie tam, gdzie chciałem. Jeszcze w październiku trzydziestego dziewiątego, gdy w Polsce gdzieniegdzie nadal rozlegały się strzały, skierowano mnie do Katowic z zadaniem zarządzania miastem, podzielenia go i wysiedlania ludności polskiej na obrzeża. Technicznie zadanie to wydawało się trudne, tym bardziej że dotąd nie czyniono nic podobnego na taką skalę. Ja dostrzegłem w tym jedynie ogromną szansę.

Do realizacji planu przystąpiłem z zapałem godnym najlepszej sprawy. Wydawałem rozkazy, opracowywałem strategie, pisałem odezwy, aż wreszcie przyszedł dzień prawdziwego działania. O pomoc poprosiłem miejscowe dowództwo Wehrmachtu oraz SS, dzięki którym otrzymałem prawie pół tysiąca żołnierzy gotowych do zrobienia wszystkiego, co im tylko rozkażę. To dzięki nim akcja okazała się całkowitym sukcesem, a kilkanaście tysięcy osób w błyskawicznym czasie trafiło do obozów pracy lub do obozów koncentracyjnych. Katowice stały się czystą niemiecką przestrzenią, gotową na przyjęcie osadników z terytorium Rzeszy. Co istotne, nie potrzebowałem do tego ani jednego wystrzału. Wśród ofiar było kilku samobójców, kilkoro chorych ze szpitala, którzy nie przeżyli transportu oraz dwóch krnąbrnych Żydów zatłuczonych kolbami karabinów. Wszystko odbyło się niemal zerowym kosztem.

To w tamtym czasie dostrzeżono mój istotny talent organizacyjny. W aktach osobowych podkreślano dbałość o zasoby materiałowe

Rzeszy oraz „głęboko posuniętą przezorność”. Dzięki kolejnym rekomendacjom w lipcu czterdziestego pierwszego roku otrzymałem awans na Untersturmführera SS. Czułem, że drzwi do mojej prawdziwej kariery otwierają się coraz szerzej. Mimo to zamierzałem je z impetem wyważyć.

22.

Rozkaz przenoszący mnie do Lublina przyjąłem z zadowoleniem, gdyż otrzymałem informację, że czeka mnie tam jedynie krótkie zadanie. „Likwidacja żydowskich stref osadniczych w tkance miejskiej”. To lakoniczne stwierdzenie mówiło aż nadto.

Moje praktyczne doświadczenie z Katowic okazało się kluczowe i dowództwo zamierzało wykorzystać je po raz kolejny. Stawałem się istotnym elementem całej maszyny, co przyprawiało mnie o dreszcz satysfakcji. Tamtego wieczoru, gdy otrzymałem rozkaz, oddałem się najgorszemu możliwemu opilstwu, które nie znajdowało żadnych barier ani granic. Piłem, co tylko wpadło mi w ręce, wydając ponoć tryumfalne, niemal zwierzęce okrzyki. Anne nie mogła mi tego wybaczyć przez szereg kolejnych dni, ale wreszcie o wszystkim zapomniała. Człowiek zaskakująco łatwo adaptuje się do nowej rzeczywistości, a mechanizm wypierania negatywnych wspomnień kształtuje naszą osobowość. Bez niego nadal tkwilibyśmy na drzewach, bojąc się zejść na ziemię.

Do Lublina przybyłem pod koniec lutego czterdziestego drugiego roku i natychmiast zabrałem się do działania. Moim bezpośrednim przełożonym został Odilo Globocnik, o którym słyszałem wiele dobrego i z którym nawiązaliśmy naprawdę dobrą relację. On dał mi wolną rękę do działania, a ja zapewniłem go, że bez wątpienia będzie całkowicie zadowolony z jego rezultatów. Zaufaliśmy sobie od

pierwszego spotkania i pierwszego kieliszka podłego mołdawskiego wina, które nie wiem, w jaki sposób znalazło się w przydomowej piwniczce Globocnika. Kolejnego dnia miałem rozeznać się w sytuacji, a po południu stawić się z raportem. W rzeczywistości już po niecałej dobie byłem całkowicie gotów do przeprowadzenia niezbędnych działań. Tkanka miejska Lublina mogła zostać wreszcie oczyszczona.

Dokładnie o północy najdłuższa z granicznych ulic lubelskiego getta[2] została oświetlona dziesiątkami specjalnie przywiezionych reflektorów. Musicie zauważyć, że dbałem naprawdę o wszystkie szczegóły. Istotne było, by nikt nie tylko nie uciekł, ale i nie ukrył się w opuszczanych kamienicach oraz na ich podwórzach.

Momentalnie wrzaski moich ludzi zmieszały się z rozpaczliwymi krzykami oraz zawodzeniem Żydów. Przez kolejny kwadrans bacznie obserwowałem wywlekanych z domów starców oraz dzieci. W pewnym momencie zjawił się przede mną jeden z podoficerów. Miał podkrążone oczy, a po policzkach ściekał mu pot. Zapewne była to jego pierwsza podobna akcja.

– Czy ci ludzie na chodnikach… Oni wszyscy nie mogą… – zaczął nieskładnie.

– Niezdatnych do marszu zabić na miejscu – oznajmiłem, co przyjął z wyraźną ulgą. Oszczędzałem jemu i jego ludziom mnóstwo problemu z transportowaniem kalek. – Zwłoki niech zbiorą inni Żydzi i zabiorą ze sobą – dodałem. – Ich pochowaniem zajmie się dyrekcja transportu.

Podoficer delikatnie się uśmiechnął i kiwnął głową. Zasalutował, po czym energicznie wrócił do swoich ludzi.

Pół godziny później z getta wyruszyła ponad półtoratysięczna kolumna Żydów. Tłum wychudzonych zjaw oraz upiorów niezmiennie oświetlały wojskowe reflektory. Scena wydawała się magiczna, wręcz nierealna, a ja po raz pierwszy poczułem się panem życia i śmierci.

Z ociąganiem uniosłem dłoń, dając im znak do wymarszu. Z dumą zastygłem w tej pozie.

23.

Marsz nie był długi. Później wiele mówiło się o rozmaitych marszach śmierci albo wielokilometrowych wędrówkach, ale to wszystko bzdury. W tamtym czasie zależało nam na tym, by akcje przebiegały jak najsprawniej. Nocami pozostali mieszkańcy miasta musieli pozostawać w domach, co ograniczało liczbę świadków oraz problemów.

Okrążyliśmy getto i ruszyliśmy na północ jednym z głównych traktów. Poruszaliśmy się wzdłuż torów kolejowych, trasą naniesioną na tajne sztabowe mapy. Pierwsze transporty miały pozostać tajemnicą tak długo, jak tylko było to możliwe.

Niespełna trzy kilometry od granic getta zobaczyłem wojskowe ciężarówki oraz usłyszałem dudnienie pociągu. Dwóch podoficerów złożyło mi raporty o tym, że zbliżamy się do celu. Po kilku minutach zjawił się również oficer łącznikowy z informacją, że wszystko jest już gotowe. Czy to eufemizm? Czy powinienem użyć innego określenia?

Ciągnące się wokół zabudowania dawnych rzeźni[3] zostały całkowicie opróżnione z mieszkańców oraz pracowników. Moje zadanie kończyło się właśnie tutaj, więc nakazałem zatrzymanie kolumny więźniów i czekałem na dalsze rozkazy. Zdaje się, że umyślnie teren oświetlano jedynie kilkoma reflektorami, a ciężarówki, mimo uruchomionych silników, miały wyłączone światła. Z półmroku wyłaniał się zarys budynków kolejowych oraz długiej towarowej rampy. Nagle rozległ się cichy szum, który narastał z sekundy na sekundę.

– Co, u licha?

Nim ktokolwiek zdołał mi odpowiedzieć, pojąłem, że na stację z minimalną prędkością wtacza się skład kolejowy. Do dwóch lokomotyw doczepiono około dwudziestu wagonów bydlęcych. Skład zwolnił, lokomotywa sapnęła, a wreszcie potężne sunące w mroku metalowe cielsko zamarło w bezruchu. Ze stłumionym łoskotem przesunięto kilkadziesiąt drewnianych wrót.

– Można wprowadzać!

Odwróciłem się, słysząc dobiegający gdzieś z ciemności krzyk. Wydarzenia biegły zaplanowanym, nieubłaganym rytmem, jakby wszystko przećwiczono setki razy. W tamtej chwili zrozumiałem fenomen Globocnika i pojąłem, dlaczego cieszył się zaufaniem najwyższych władz Rzeszy. Uliczna łapanka to było jedno, ale wywiezienie półtora tysiąca osób tak, by nie zdążyli choćby krzyknąć, ocierało się o wirtuozerię.

– Szybciej, szybciej!

Dziesiątki żołnierzy przejęły więźniów i zaczęły ich prowadzić ku wagonom. Wszystko rozegrało się w ciągu kilkudziesięciu sekund. Żydzi znikali w czeluściach zabitych składów, tłocząc się w nich bez słowa sprzeciwu. Sześćdziesiąt, siedemdziesiąt, nawet sto osób na przestrzeni przeznaczonej do przewozu kilku krów.

– Dokąd ich wieziecie? – zapytałem stojącego wciąż przy mnie oficera łącznikowego.

Młody mężczyzna spojrzał na mnie całkowicie zaskoczony tym pytaniem. Ściągnął brwi i szeroko się uśmiechnął.

– Do Tomaszowa, a potem czeka ich przechadzka do obozu w Bełżcu. – Oficer uniósł dłoń, po czym wypuścił w jej stronę powietrze. – A potem problem sam zniknie.

24.

Wiem, że w ciągu kilku tygodni dorobiłem się zaszczytnego miana „Krwiożerczego psa z Lublina”. Globocnik był ze mnie dumny. Słał do Berlina euforyczne raporty, a ja mogłem się chełpić, że getto zostało całkowicie zlikwidowane. Wywiązałem się ze swojego zadania najlepiej, jak mogłem.

– To w dowód uznania za pańskie zasługi. – Odilo wręczył mi kopertę, w których zazwyczaj przychodziły tajne rozkazy. Zerknąłem na niego zaintrygowany.

– No, śmiało, otwieraj.

Uśmiech na jego twarzy zdradzał, że wie, czego dotyczy wiadomość. Powoli wyciągnąłem krótki telegraf, po czym obróciłem się do okna, by padło na niego więcej światła. Rozkaz był adresowany konkretnie do mnie i ograniczał się do kilku ogólnikowych dyspozycji. Nieco otumaniony wypuściłem powietrze, po czym przeniosłem wzrok na Globocnika.

– Mam zbudować cały obóz? – Kąciki moich ust drgnęły z ekscytacji.

– Konkretnie go rozbudować. Mamy baraki na kilkanaście tysięcy jeńców, teraz czas na powiększenie przestrzeni.

– Dla ilu osób?

Odilo uśmiechnął się jeszcze szerzej. Odsłonił równe, białe zęby i teatralnie odciągnął kołnierzyk koszuli od szyi.

– Ćwierć miliona.

– Żartujesz? Mam się zająć budową obozu dla dwustu pięćdziesięciu tysięcy więźniów?

– Większość z nich nie będzie w nim przebywała przesadnie długo. Poza tym… – Globocnik odchrząknął. – Wydawało mi się, że będziesz zadowolony. Osobiście rekomendowałem cię do tego zadania.

– Ja…

Wyprostowałem się i zasalutowałem. Skinąłem głową, dając do zrozumienia, że jestem gotowy do wykonania każdego rozkazu.

Czułem dumę i narastający entuzjazm.

– Zabieram się do roboty jeszcze dziś. Niech ktoś zawiezie mnie na miejsce.

Globocnik przyjacielsko poklepał mnie po ramieniu, po czym wezwał własnego szofera. Jeszcze tego samego popołudnia, swoim zwyczajem, przystąpiłem do wykonywania rozkazu. Do pomocy otrzymałem sztab złożony z kilkunastu zaufanych osób, w tym dwóch architektów oraz kilkorga przemysłowców. W końcu niesamowicie istotne były kontakty.

Firma Theodor Klein – Maschinen – und Apparatenbau z Ludwigshafen nad Renem w zdumiewająco krótkim czasie dostarczyła potężne piece paleniskowe. Komory gazowe zdecydowaliśmy się ustawić niedaleko łaźni, aby uniknąć wywoływania paniki, która czasem ponoć zdarzała się w innych obozach. Bliskość krematoriów skłaniała do podejrzeń.

Po kilku tygodniach przybyły transporty cyklonu B w granulkach, co stanowiło główny etap przygotowań do pełnego uruchomienia obozu. Berliński Auert dostarczył doskonałej jakości, hermetycznie zamykane drzwi, które w znacznej mierze wykonali żydowscy pracownicy przymusowi. Zwycięzcy mogą pozwolić sobie na cynizm, prawda?

Pod koniec czterdziestego drugiego roku moja praca była skończona. Dwie inspekcje potwierdziły, że wszelkie rozkazy wykonałem z nadzwyczajną starannością i „w miarę wszelkich możliwości". O tak. Niestety, nikt nie przewidział, że lubelskie bocznice kolejowe okażą się zbyt mało przepustowe i będziemy musieli ograniczyć się do jednorazowego lokowania w Majdanku niewiele ponad pięćdziesiąt tysięcy więźniów. Moim zdaniem nie było to problemem tak długo, dopóki będą działały krematoria i dopóki nie skończy się zapas cyklonu B. Wizytujący oficjel z Berlina przyjął tę uwagę z wyraźnym zadowoleniem.

Niedługo po drugiej inspekcji otrzymałem kolejny tajny rozkaz. Tym razem Globocnik najwyraźniej nie znał jego treści, gdyż wydawał się go równie ciekawy jak ja. Gdy tylko przeczytałem krótką wiadomość, zrobił krok w moją stronę.

– I? – zapytał swoim zwyczajem, przekrzywiając głowę.

Odpowiedziałem mu szerokim uśmiechem.

[1] Anne Geiger przyjęła oświadczyny Amona Götha złożone dwa dni po śmierci jego matki.

[2] Dziś ulica Lubartowska.

[3] Okolice obecnej ulicy Turystycznej.

TERAZ

25.
11 lutego 1943 r.

W uznaniu zasług wysyłają mnie do Krakowa. Specjalny pociąg wojskowy Wehrmachtu mozolnie, kilometr po kilometrze, sunie na południe. Mimo ogrzewania w przedziale jest wilgotno i chłodno. Dwóch siedzących naprzeciw mnie oficerów otula się płaszczami. Szybę okienną pokrywa pajęczyna mrozu oraz oblepia śnieg. Myślę o tym, że śnieg zawsze wydaje się złym znakiem dla wszystkich nowych poczynań, lecz to tylko cholerne przesądy. Nie wierzę w przeznaczenie ani w ślepy los. Sami tworzymy siebie i świat wokół nas. Możemy być bogami, jeśli tylko będziemy ku temu odpowiednio zdeterminowani.

Stukot kół staje się bardziej regularny i coraz wolniejszy. Lokomotywa gwiżdże, wyrywając mnie z zamyślenia. Na korytarzu słychać czyjeś szybkie kroki.

– Czyżbyśmy dojeżdżali? – Starszy z oficerów siedzących w moim przedziale przeciąga się. Ma szarą, napiętą twarz i nie mam wątpliwości, że został zluzowany z frontu wschodniego.

– Długo w podróży? – pytam, choć na rozmowę mieliśmy przecież prawie pięć godzin.

– Piąty dzień.

– O dzień dłużej niż ja – wtrąca drugi oficer, mniej więcej w moim wieku, z pociągłą twarzą i okularami na orlim nosie. – Przeklęte pustynie Wschodu.

– Ano. Front południowy?

– Kijowski. Teraz już chyba nazywany kaukaskim.

Przysłuchuję się tej wymianie zdań i z radością myślę, że jednostki najbardziej wartościowe trzyma się z dala od niewygód i wroga. To całkiem zabawna myśl, więc mimowolnie się uśmiecham.

– Coś pana bawi, panie Obersturmführer? – zawadiacko pyta starszy oficer. – Może powie pan, skąd jedzie?

– Z Lublina.

– Dosiadł się pan na przedostatniej stacji i nie podzielił swoją historią.

Wzruszam ramionami. Po bezsennej nocy spędzonej nad kieliszkiem rzeczywiście nie miałem najmniejszej ochoty rozmawiać. Zresztą młodszy oficer przesiadł się całkiem niedawno z innego wagonu, w którym, zdaje się, pękła szyba. Jego krótkie usprawiedliwienie puściłem mimo uszu. Nigdy nie lubiłem tego starego żołnierskiego zwyczaju raczenia się opowieściami.

– Pan pozwoli, że swoją historię zachowam dla siebie.

Oficer mruży oczy i wydyma wargi.

– Wy z SS… – zaczął, lecz urwał w pół zdania, gdyż wagonem delikatnie zabujało i chwilę później pociąg się zatrzymał.

– Tak? – pytam, wstając z miejsca. – Co „my z SS”?

Oficer wymownie patrzy na moje insygnia i lekceważąco macha ręką. Podchodzę do niego, lecz nie zamierza wstać. Nasz trzeci towarzysz nerwowo chrząka.

– Ten mundur wymaga szacunku – cedzę, spoglądając z góry na starego frontowca. – Bez względu, gdzieście byli i coście widzieli. Wojna trwa nie tylko na frontach.

– Czy wojna to uganianie się za kobietami w łachmanach i za zabiedzonymi dziećmi?

Te słowa przyprawiają mnie o furię. Zaciskam dłoń w pięść i ostatkiem świadomości powstrzymuję się przed uderzeniem. Parskam z wściekłości, jednak potrafię się opanować. Nie mogę zrobić

teraz czegoś, co skomplikowałoby moje plany. Powoli wciągam powietrze i ponownie zerkam prosto w oczy oficera. Uśmiecham się kpiąco. W momencie, gdy otwieram usta, by rzucić słowa obrazy, za moimi plecami trzaskają drzwi.

– Samochód już czeka, panie Obersturmführer.

Poznaję głos swojego adiutanta. W głębi duszy czuję ulgę i mam przeczucie, że tym razem coś nade mną czuwało. Opatrzność? Nie, zdecydowanie w nią nie wierzę. Więc co?

Odwracam się i szybkimi krokami kieruję do wyjścia. Wypadam na zewnątrz, po czym pośpiesznie przemierzam korytarz. Zostawiam za sobą niedomówienia, pewien, że czekają na mnie wielkie czyny. Wciąż się uśmiecham.

– Witamy w Krakowie – mówi ktoś do mnie w momencie, gdy staję na schodkach. – Mam nadzieję, że miał pan spokojną podróż…

26.

– Wilhelm Künde – przedstawia się SS-Hauptscharführer. To krępy, kwadratowy mężczyzna z krótką szyją i szerokimi ramionami.

Wymieniamy uściski dłoni oraz hitlerowskie pozdrowienia. Kątem oka dostrzegam, że mój adiutant niesie bagaże do lśniącego czarnego mercedesa zaparkowanego niemal przed samym peronem. Płatki śniegu wirują w powietrzu, a z oddali dobiega gwar ulicy. Aż chce się żyć.

– Spodziewam się, że jest pan zmęczony po podróży?

Wsiadamy do auta i strzepuję z ramion wilgotną pulpę. W ciągu kilkudziesięciu sekund zmarzły mi stopy. Panuje niesamowity mróz potęgowany przez wyjątkową wilgoć.

– Niezbyt – odzywam się oschłym tonem. W pamięci wciąż mam twarz oficera Wehrmachtu, który chciał mnie obrazić swoimi

nędznymi aluzjami. – Prawdę powiedziawszy, jestem pełen energii.

– Ostatnio to się nieczęsto zdarza. – SS-Hauptscharführer uruchamia motor i zerka w lusterko. – Pociąg przyjechał dokładnie o czasie.

– Nie mam żadnych zastrzeżeń.

Dostrzegam ukradkową wymianę spojrzeń Kündego oraz mojego adiutanta. Udaję jednak, że nie zwróciłem na nią uwagi.

– Zawiozę pana na kwaterę – oznajmia SS-Hauptscharführer. – Odpocznie pan i…

– Nie. Nie potrzebuję odpoczynku.

– Wobec tego czekam na rozkazy.

– Proszę mnie zawieźć na teren getta – rzucam kategorycznie. – Zdaje się, że to pan zarządza jego administracją?

Wilhelm Künde kiwa głową i dodaje gazu. Silnik mercedesa wzbija się na regularne, przyjemne dla ucha tony. Suniemy pokrytymi śniegiem, śliskimi ulicami. Spoglądam w twarze przemykających przy kamienicach ludzi, którzy odwracają się od czarnego auta z proporcami Rzeszy. Świat zdaje się nas nie dostrzegać. Zostawiamy w tyle kilka dorożek zaprzęgniętych do zmarzniętych koni, z których pysków buchają kłęby pary. Kiedyś solidne zwierzęta pociągowe, dziś są wyliniałymi szkapami.

– Owszem, jestem odpowiedzialny za administrację getta – przytakuje SS-Hauptscharführer. – To mnóstwo papierowej roboty…

– Niedługo się to zmieni – rzucam mimochodem.

Künde odwraca się do mnie i wymieniamy spojrzenia. Nas obu czeka mnóstwo roboty, ale już się nie mogę doczekać jej rezultatów.

– Proszę się nie niecierpliwić – szepcze mój kierowca. – To naprawdę niedaleko. Jesteśmy prawie na miejscu.

– Nie mogę się doczekać.

27.

Z pełną prędkością przejeżdżamy przez bramę getta. Dwóch strażników salutuje w naszą stronę, a trzeci ściąga owczarka prącego w stronę jakichś ludzi. Śnieg pada coraz intensywniej, ale to mi całkowicie nie przeszkadza. W mercedesie jest przytulnie i ciepło.

– Getto krakowskie, podobnie jak to lubelskie, jest podzielone na dwa sektory – raportuje Künde. – Sektor „A" liczy około dziesięciu tysięcy mieszkańców, którzy mają być założycielami przyszłego obozu…

– Obozu?

– Takie chodzą plotki. Sądziłem, że to również pańskie zadanie.

Nagle zaczynam rozumieć, co mogły oznaczać adnotacje w rozkazach o „niezbędnych działaniach dodatkowych i wykonawczych". Wszelkich informacji miano mi udzielić po przybyciu do Krakowa.

– A więc sektor „A" to prawdziwi kolonizatorzy – rechoczę. – Niczym ludzie Kolumba zasiedlający Nowy Świat.

Künde również się uśmiecha. Zwalnia, po czym skręca w szeroką ulicę.

– Wśród ludzi Kolumba nie było Żydów – wtrąca. – Przy czym, proszę zwrócić uwagę, właśnie jesteśmy na ulicy Lwowskiej, która rozdziela sektory „A" i „B".

Spoglądam na niskie, zaniedbane kamienice po obu stronach ulicy. W wielu z nich okna są pozbawione szyb, niektóre są okopcone dymami niedawnych pożarów, a na chodniku, w śnieżnych zaspach kulą się nieruchome sylwetki. Wskazuję w ich stronę palcem.

– To zwłoki? – pytam tonem zdradzającym zainteresowanie.

– Broń Boże. Lokalne służby mają za zadanie uprzątnąć każdego trupa pod rygorem najsurowszej odpowiedzialności.

– Więc oni żyją?

– Tak. – Künde głową wskazuje w stronę dwóch mężczyzn stojących na rogu kamienicy. Obok nich znajduje się wózek przykryty brezentem. – Gdy tylko umrą, zostaną uprzątnięci. Taka pogoda pozwala przyśpieszyć pewne procesy i rozwiać wątpliwości… Chyba pan rozumie, co mam na myśli.

Niemal przytykam nos do szyby, starając się chłonąć jak najwięcej szczegółów. Muszę zrozumieć ten całkowicie nowy dla mnie świat. To ja jestem w tym miejscu prawdziwym kolonizatorem i zdobywcą. Czynię tę ziemię poddaną sobie oraz Rzeszy. Amen…

– Co z sektorem „B”? – pytam, zerkając na drugą stronę ulicy.

– Z nim sprawa jest prostsza. – SS-Hauptscharführer zwalnia, by objechać zalegającą przed nami pryzmę śniegu. – Jest tam około dwóch tysięcy mieszkańców stanowiących najgorszy sort… To właśnie ci, którzy padają z wyczerpania lub niedożywienia. Niezaradni życiowo, chorzy albo po prostu starzy.

– Mamy się ich pozbyć?

– Nie od razu.

Splatam dłonie na piersi i odwracam się do Kündego. Najwyraźniej wie o moim zadaniu znaczniej więcej niż ja sam, a do tego doskonale orientuje się w sytuacji panującej na miejscu. Podoba mi się ten krępy, pucołowaty chłopak ze zbyt mocno nasuniętą na głowę czapką.

– Chyba nie do końca rozumiem – stwierdzam z uśmiechem.

Künde natychmiast śpieszy z wyjaśnieniami.

– Mieszkańcy sektora „B” nie dostali kart identyfikacyjnych. W miarę możliwości pomogą nam jednak przy wznoszeniu obozu w Płaszowie. Część z nich już tam pracuje i naturalnie na miejscu umiera. Za jednym razem załatwiamy oba problemy.

Rozglądam się, chłonąc atmosferę getta. Na ulicy jest niewiele osób, a w żadnym z mieszkań nie pali się światło. Sądzę, że to kwestia wewnętrznych przepisów podpartych rzekomą dbałością o kwestie

bezpieczeństwa. Mimo zimna jedynie z niektórych kominów unoszą się smużki ciemnego dymu.

– Chce pan zobaczyć zalążek obozu? – pyta Künde. – Na jego terenie przewidziano pańską kwaterę.

Nagle wszystko zaczyna składać się w doskonałą całość. A ja… Nie potrafię pohamować radości i wyciągam z wewnętrznej kieszeni płaszcza malutką buteleczkę.

– Chyba mogę wznieść toast za to miejsce, prawda? – Pociągam łyk doskonałego koniaku.

„Chce się żyć", powtarzam w myślach po raz kolejny, odkąd wysiadłem z pociągu.

28.

Mercedes pędzi na wschód po drodze na tyle uczęszczanej, że nie ma na niej niemal w ogóle śniegu. Przed nami jedzie kilka wojskowych ciężarówek, których Künde najwyraźniej nie zamierza wyprzedzić. Widząc moje zniecierpliwienie, uspokajająco unosi dłoń.

– Jadą w tym samym kierunku, co my – rzuca niedbale. – To bardzo blisko. Poza tym czy wyczekane danie nie smakuje najlepiej?

– O ile nie okaże się rozczarowaniem.

– O to proszę się nie martwić.

Milczę, pociągając kolejne łyki z buteleczki. Koniak rozgrzewa mnie na tyle, że rozpinam guzik płaszcza i poluzowuję kołnierzyk koszuli. W całym ciele czuję przyjemne krążenie alkoholu.

– To ulica Jerozolimska – ciągnie Künde. – Widzi pan tamte ruiny?

SS-Hauptscharführer wskazuje na niemal zupełnie zniszczony budynek pośrodku niewielkiego placu. Wygląda, jakby go zbombardowano, choć nigdzie nie widać lejów ani śladów eksplozji. Ostała się jedynie jedna ściana z otworami po trzech parach drzwi –

wielkich centralnych oraz dwóch znacznie mniejszych po bokach. Ruiny w jakiś sposób przypominają zalążek gotyckiej katedry.

– To pozostałość po synagodze – wyjaśnia Künde. – Nakazaliśmy Żydom jej rozebranie, a pozyskany materiał służy do brukowania ulicy prowadzącej do obozu.

Z uznaniem kiwam głową. SS-Hauptscharführer jest wyraźnie ukontentowany moją reakcją.

– Wymowne, prawda? Ale to nie wszystko.

– Mam teraz z emfazą zapytać: „co jeszcze”? Doskonale buduje pan napięcie, Künde, ale podobne rozwiązania znam już z Lublina. Sam je wdrażałem.

SS-Hauptscharführer uśmiecha się, a jego pyzate policzki wydymają się, czyniąc twarz wyjątkowo prostacką. Wygląda jak najprostsi chłopi z obrazów Bruegela.

– Tamten plac… Domyśla się pan, dlaczego to ulica Jerozolimska?

– Rozumiem, że był tam cmentarz. Tymczasem nagrobki…

– Również posłużyły do wybrukowania traktu.

Künde wesoło bębni palcami w kierownicę, a ja wspominam lubelskie macewy, po których dudnił krok przechodniów. Wydawało mi się, że to Globocnik wpadł na pomysł brukowania ulic żydowskimi nagrobkami, ale to najwyraźniej odgórna inicjatywa. Może wizja Himmlera albo samego kanclerza?

– Krok po kroku oczyszczamy świat z tej semickiej pleśni. – Künde z minuty na minutę czuje się przy mnie swobodniej. Rozgaduje się, zachowując od ciężarówek bezpieczny odstęp, gdyż śnieg znów pada bardzo intensywnie. – Czasem musimy używać noża i ją zeskrobywać, ale wreszcie odzyskamy naszą dawną europejską tożsamość.

– Naprawdę tak pan myśli? – Odwracam się do niego i staram uchwycić jego spojrzenie, lecz Hauptscharführer jest całkowicie skupiony na prowadzeniu. Albo tylko udaje.

– Oczywiście.

– I myśli pan, że osiągniemy ten cel?

Künde nerwowo przełyka ślinę. Ulica delikatnie zakręca i wiedzie delikatnie pod górę. Po lewej stronie rozpościera się rozległa, przydymiona opadami śniegu panorama.

– Oto pański obóz – oznajmia Hauptscharführer, zmieniając temat. – Co prawda jest dopiero w powijakach, ale…

– Dokąd prowadzi tamta droga? – pytam, ruchem głowy wskazując na ścieżkę prowadzącą ku wzniesieniu. Kilkoro więźniów podąża nią w asyście strażnika. Są ubrani w podarte łachmany i dygoczą z wysiłku oraz zimna.

– To kamieniołom. Stamtąd pobieramy część budulca.

– Jest nieco oddalony od głównych zabudowań, prawda? – Do głowy przychodzi mi pewna myśl. – Będzie doskonałym miejscem do przeprowadzania egzekucji. Potrafi sobie to pan wyobrazić, Künde?

Po raz pierwszy od dłuższego czasu Hauptscharführer odwraca się do mnie i szeroko się uśmiecha. Tak, z pewnością to sobie wyobraża.

29.

– Zatrzymaj się.

– Tutaj?

– Tak, stój, do cholery.

Künde ze zdziwieniem przyjmuje mój ostry ton, ale natychmiast wykonuje rozkaz. Choć formalnie jeszcze nie jestem jego przełożonym, jestem starszy stopniem.

– Czy mamy wszystkie moje rzeczy? – zwracam się do adiutanta. – Czy zleciłeś przewiezienie jakichś bagaży oddzielnie?

– Rzeczy z wagonu miały zostać natychmiast rozpakowane i czekają na pańskie dyspozycje.

Chodzi mu o wyposażenie mojego gabinetu oraz większe przedmioty osobiste. Przygotowywałem się do dłuższego pobytu w Krakowie, więc zabrałem ze sobą sporo bagażu.

– Czy tamta willa jest wolna? – Wskazuję na spory budynek z balkonem oraz tarasem. Otwieram drzwi auta i wychodzę na zewnątrz.

Künde podąża za mną. Przez chwilę się zastanawia, rozgląda, jakby chciał się zorientować, gdzie dokładnie się znajdujemy, po czym kiwa głową.

– Tak, ale zdaje się, że nie jest w najlepszym stanie. Opuszczono ją kilka lat temu.

– W takim razie niech więźniowie zajmą się naprawą. Chcę w niej zamieszkać.

Z willi będzie doskonały widok zarówno na ścieżkę prowadzącą do kamieniołomu, jak i na miejsce, w którym będzie można przeprowadzać egzekucje. Obie te cechy czynią ją doskonałym lokum do zamieszkania.

– Większe rzeczy proszę przewozić bezpośrednio tutaj – mówię do adiutanta. – Tylko niech na nie uważają. Jeśli cokolwiek się uszkodzi, osobiście poobcinam ręce.

– Tak jest.

– A pan, Künde, niech zleci jak najszybsze rozpoczęcie prac. Tymczasem gdzie mogę teraz zamieszkać?

Patrzę po kilku mniejszych domach znajdujących się w promieniu kilkudziesięciu metrów od willi. Zdają się być w znacznie lepszym stanie i są chyba w części nadal zamieszkałe.

– Na razie planowaliśmy umieszczenie pana na kwaterze w Krakowie…

– Nie. Zdecydowanie wolę zamieszkać gdzieś tutaj. Czy te domy…

Hauptscharführer wchodzi mi w zdanie.

– W dwóch z nich mieszkają polscy architekci oraz inżynierowie. W kolejnym mieści się biuro administracji obozu, a w tamtym – wskazuje na jednopiętrowy budynek z cegły – nie ma części ścian wewnętrznych. Nigdy go nie wykończono.

– W porządku. – Obtupuję buty ze śniegu i spoglądam na pierwszy wskazany dom. – Przenieście Polaków do któregoś z obozowych baraków. Niech jeszcze lepiej wczują się w sytuację.

Künde spogląda na mnie z delikatnym uśmiechem, wreszcie salutuje.

– Czy ma pan jeszcze jakieś rozkazy?

– Tak… Jest jedna rzecz.

Ruszam szybkim krokiem w stronę placu, który jest pozostałością cmentarza. Uważam, aby nie poślizgnąć się na bruku wyłożonym potłuczonymi nagrobkami. Skoro w Lublinie Globocnik już zastosował podobną metodę, chciałbym go w czymś przebić. Lubię inwencję i wiem, że właśnie na nią zwracają uwagę inspektorzy z Berlina.

– Od mojej willi do cmentarza jest jakieś dwieście metrów, prawda?

– Zapewne coś koło tego.

– To dobra odległość – mówię sam do siebie.

Przechodzę się w tę i we w tę, lustrując okolicę. Tak, jestem sobie w stanie wyobrazić, jak obóz będzie wyglądał za kilka tygodni lub miesięcy. Jest tu więcej miejsca niż w Lublinie, nie ma problemu z bocznicami kolejowymi, więc wszelkie plany powinny zostać bez przeszkód zrealizowane. Mam jedynie nadzieję, że podobnie jak dotychczas nie będzie żadnych ograniczeń budżetowych. Przynajmniej z perspektywy siły robotniczej o nic nie muszę się martwić. Mam już przed oczami tysiące więźniów z krakowskiego getta wznoszących baraki, bramy, warsztaty, a także…

– Chciałbym, aby ci polscy architekci zaprojektowali stajnię dla moich koni – rzucam, zakładając ręce za plecy. Mrugam, by pozbyć się

płatków śniegu z rzęs. Pada coraz intensywniej, a do tego wzmaga się lodowaty wiatr. Nie czuję już alkoholu we krwi i żałuję, że wziąłem ze sobą tylko jedną flaszeczkę. – Plac po cmentarzu będzie się do tego nadawał doskonale. Teren jest niemal idealnie równy…

30.

Zgodnie z moimi rozkazami prace przy obozie nabrały tempa. Nie interesowały mnie ani śnieżyce, ani lód, który rzekomo skuł ziemię.

– Niech więźniowie wezmą kilofy albo rozpalają ogniska – nakazuję, gdy jeden ze strażników przekazuje mi uwagi dowódcy któregoś komanda. – Albo… – nagle zmieniam zdanie – komu przeszkadza lód?

– Tamte kobiety…

Żołnierz wskazuje w kierunku grupy więźniarek podążających chwiejnym krokiem przez główny plac. Większość z nich ugina się pod ciężarem rozmaitych materiałów budowlanych. Muszą robić za konie pociągowe, gdyż brakuje nam ciężarówek. Jestem pełen podziwu, jak wielkie elementy są w stanie taszczyć niektóre kruszyny. Czy właśnie tak przejawia się siła przetrwania?

Ruszam w ich stronę, stawiając długie, ciężkie kroki. U mojego boku podąża adiutant oraz kilku żołnierzy przybocznych. Kobiety bardziej nas wyczuwają, niż dostrzegają, gdyż wiedzą, że patrzenie w stronę niemieckich żołnierzy jest surowo zabronione. Nagle jeszcze bardziej przyśpieszają pracę. Niektóre z nich mają sinofioletowe od mrozu dłonie, inne trzymają je zakutane w namiastkę rękawiczek. Wszystkie są chorobliwie blade.

– Przeszkadza wam lód? – warczę, zatrzymując się kilka metrów od nich. – Ślizgacie się? Może wolałybyście łyżwy albo podkute buty?

Odpowiada mi cisza. Kobiety zdają się nie zwracać na mnie żadnej uwagi. Słyszę świst ich ciężkich, rzężących oddechów.

– Która z nich się skarżyła? – zwracam się do szefa komanda.

– Ja… – Mężczyzna kręci głową. – Sam już nie wiem. Może to nie była skarga, tylko one tak sobie…

– Tak sobie? – Parskam ironicznie, po czym zwracam się w stronę kobiet. – To jak, chcecie podkute buty? Takie jak moje? A może właśnie moje własne by wam odpowiadały?

Jednym susem dopadam do wysokiej, tyczkowatej więźniarki i chwytam ją za ramię. Kobieta traci równowagę, wypuszcza jakiś drewniany element, po czym pada w śnieg. Jej towarzyszki nawet nie zwracają na nią uwagi. Robią wszystko, by przetrwać, więc stoją wyprężone ze swoimi ciężarami.

– To jak? Podobają ci się moje buty?

Z całej siły kopię swoją ofiarę w twarz. Czuję, że wybijam kobiecie kilka zębów, a z jej ust wylewa się strumień krwi. Kolejne kopnięcie łamie jej nos. Więźniarka stara się podnieść, lecz zamroczona ponownie pada na ziemię. Śnieg wokół niej zabarwia się na czerwono. Trzeci kopniak dosięga jej policzka. Słyszę ciche trzaśnięcie i mam wrażenie, że złamałem jej kość. Nachylam się, ciekaw spustoszenia, jakie poczyniły nowe, świeżo podkute skórzane oficerki. Chwytam kobietę za podbródek, nie zważając na krew spływającą po jej twarzy. Czuję jej ciepło. Z najbliższej odległości patrzę w ciemne, wypełnione przerażeniem oraz bólem oczy.

– Chciałabyś mieć takie buty? – pytam. Prostuję się i zerkam na towarzyszących mi żołnierzy. Na ich twarzach dostrzegam podziw oraz szacunek. – Jak myślicie, co powinienem z nią zrobić?

– Za maruderstwo należy się śmierć – oznajmia wysoki Sturmscharführer.

– Albo chłosta – wtrąca Rottenführer o bystrym spojrzeniu i zarumienionych policzkach. – Tak mówi regulamin.

Odruchowo zakładam dłonie za plecy i zerkam na czołgającą się krwawiącą kobietę. Cicho coś szepcze, ale nie mogę zrozumieć choć słowa.

– Wiecie co? Jestem tu tak krótko, że chcę dodać im wszystkim energii – stwierdzam. – Wydaje się, że ta suka już zrozumiała, że lepiej nie marzyć o porządnych butach. Czyż nie?

Odpowiada mi stłumiony szloch.

– Czyż nie?! – wrzeszczę.

31.

– Drodzy panowie, przyjaciele… – Wznoszę kieliszek i spoglądam w rubinową czerwień wina. – Skoro już się najedliśmy, możemy przejść do interesów. A skoro przechodzimy do interesów, wypada, bym to właśnie ja mówił dalej, za co przepraszam. Sam zresztą wolałbym teraz milczeć i raczyć się tym doskonałym francuskim trunkiem, ale… Służba nie drużba!

Kilka osób wybucha głośnym śmiechem, kilka innych jedynie chichocze. Przy stole w mojej willi zasiadło dziewięciu niemieckich przedsiębiorców. W ich rękach są największe zakłady produkcyjne Rzeszy, a na skinienie ich dłoni czekają dziesiątki tysięcy robotników. Do tego przemówienia przygotowywałem się przez ostatnie dni niczym do kampanii wojennej.

– Na terenie obozu zamierzam zorganizować kilkanaście fabryk oraz zakładów wytwórczych – ciągnę, upiwszy łyk wina. – Wstępnie już rozmawiałem z panem Schindlerem…

Jeden z przedsiębiorców w odpowiedzi wznosi swój kieliszek i się uśmiecha.

– Doszliśmy do wniosku, że to dobry sposób, aby wszystkie strony były zadowolone, a Trzecia Rzesza odniosła maksymalny zysk.

– Plan jest doprawdy doskonały. – Mężczyzna kiwa głową i wiedzie spojrzeniem po twarzach kolejnych zebranych. – Pan Göth dopracował każdy szczegół.

– O tak…

Rozlegają się brawa zachęcające mnie do dalszego perorowania. Dziewięć par oczu wbija we mnie pełne wyczekiwania spojrzenia. Marszczą się wysokie czoła, ściągają brwi i wydymają otłuszczone usta. Dwie żydowskie kucharki przygotowały prawdziwą ucztę. Raki, wołowina, kawior, stosy dziczyzny… Wszystko zostało pochłonięte z apetytami godnymi największych obżartusów. Dostrzegam, że wino również znika w zaskakująco szybkim tempie, co każe mi myśleć, że spotkanie jest udane. Sięgam po leżącą na brzegu stołu kartkę i mówię dalej:

– Z moimi przełożonymi ustaliłem, że istnieje zapotrzebowanie na produkcję oraz odnowę mundurów, pralnie, przetwarzanie przyborów przejętych od Żydów, ich dezynfekcję oraz przesyłanie do Rzeszy ofiarom i rodzinom ofiar bombardowań. Myślę, że panowie będziecie zainteresowani podjęciem tych działalności?

– Oczywiście. – Łysy, jajogłowy Otto Inger pstryka paznokciem o kieliszek. – Ale co my będziemy z tego mieli?

– To bardzo proste. Wiedziałem, że w tym gronie będę musiał natychmiast przejść do sedna.

– Czas to pieniądz, panie Göth.

– Zgadza się.

Delikatnie się kłaniam i odkładam kartkę na stół. Gestem nakazuję, by służący opuścili jadalnię. Gdy pozostajemy w niej tylko ja, mój adiutant oraz przedsiębiorcy, robię całkowicie poważną minę. Żarty należy na chwilę odłożyć na bok. Chcę być dobrze zrozumiany.

– Za symboliczną opłatą przekażę panom siłę roboczą stłoczoną w moim obozie. – Podkreślam słowo „moim”. – Uiścicie za nią bardzo drobne wynagrodzenie, ale nie będziecie musieli płacić ani za

wynajem mieszkań, ani za utrzymanie robotników. Wzniesienie zakładów oraz wygospodarowanie niezbędnej przestrzeni również biorę na siebie. Czy się rozumiemy?

Uśmiecham się drapieżnie i dostrzegam porozumiewawcze spojrzenia. Znajdujemy się w gronie starannie wyselekcjonowanych ludzi, którzy sobie wzajemnie ufają.

– A więc się rozumiemy. – Ponownie wznoszę kieliszek i upijam łyk cierpkiego wina. – Wzniesiemy tu sobie prawdziwy raj, zobaczycie.

Przemysłowcy z trudem powstrzymują się przed ostentacyjnym zatarciem rąk. O tak, to jest bardzo udana uczta. A ja wreszcie urządzam swój parnas.

32.

Opieram głowę o szybę i wyglądam w noc. Szwarcwaldzki zegar, który towarzyszy mi od dzieciństwa, wybił niedawno trzecią. Odkąd jestem w Polsce, nie mogę spać. Zawsze miałem problemy z gładkim zaśnięciem, ale od prawie trzech lat niemal nie zdarzyło mi się zmrużyć oczu przed czwartą. Nie pomagają na to żadne środki ani psychologiczne sztuczki. Nie pomagają długotrwała jazda konna, wielokilometrowe spacery ani ćwiczenia. Nie pomaga dieta ani jej brak…

Czasem staram się wierzyć, że jedynym remedium jest alkohol. Dwie lub trzy butelki dobrego wina, kilka szklanek koniaku lub brandy. To wszystko wypite niezbyt wcześnie, bo wtedy i tak nic nie zdziała. Jednak gdy otwieram butelkę na dobre po północy, jest szansa, że zasnę przed świtem. Przynajmniej zimą.

Prostuję się i sięgam po kryształowy kieliszek z armagnakiem Chateau de Laubade. Upijam łyk, po czym się wzdrygam. Nigdy nie lubiłem armagnacu. Wypiłem już ponad pół butelki, ale podobnie jak

brandy oraz rum, zamiast powoli mnie usypiać, wiem, że nagle uderzy mnie obuchem w czerep. Wtedy będę musiał się położyć lub zamiast senności poczuję przypływ energii. Znam się na alkoholach i na tym, jak upijają. Mam cholernie mocną głowę, co częściej jest przekleństwem niż zbawieniem.

Wypijam do dna kieliszek, po czym sięgam po całą butelkę. Pociągam z niej kilka dużych łyków. Ocieram usta wierzchem dłoni, odkasłuję i z impetem uderzam dłonią w blat biurka. Prace przy obozie idą pełną parą. Za godzinę rozpocznie się ich kolejny dzień i chciałbym, aby efekt był perfekcyjny. Zamartwiam się nim każdego kolejnego dnia jak uczniak klasówką. Mimo to mam poczucie, że tworzę coś wielkiego.

– Kim jesteś? – pytam, patrząc w swoje odbicie w szybie. – Kim, do cholery, jesteś?

Pociągam kolejny wielki łyk i zdaję sobie sprawę, że butelka jest niemal pusta. Z wściekłością ciskam nią o ścianę, a szkło rozbija się po całym pokoju. Naciskam dzwonek przywołujący służbę. Raz, drugi, trzeci.

Naciskam go w szalonym amoku, lecz nikt się nie zjawia. Walę w dzwonek raz za razem, gdy do pokoju wpada zasapana żydowska służąca.

– Jak długo mam, do cholery, czekać?! – warczę. – Zbieraj to! Zbieraj!

Ciskam w nią kawałkami szkła leżącego obok moich butów. Celuję w twarz, szyję, piersi i wściekam się, że trafiam tylko za co którymś razem.

– Ty podła suko, zbieraj to!

Sara, Helena – lub jakkolwiek ją zwał – ma szczęście, bo nagle czuję napływ senności. Czym prędzej kieruję się ku sypialni, by wreszcie położyć się do łóżka. Mimo to cholerny sen znów nie

nadchodzi. Przekręcam się z boku na bok, wsłuchując w dźwięk zamiatanych resztek szkła.

33.

Fabryka Wagnera zajmuje się produkcją mundurów dla Wehrmachtu. Mieści się w sporym murowanym budynku na obrzeżach Krakowa i zatrudnia blisko ćwierć tysiąca osób. W związku ze zwiększeniem liczby więźniów obozu jestem gotów zaproponować niemal darmową siłę roboczą kolejnym przedsiębiorcom. Traf chciał, że całkiem niedawno ktoś mi polecił właśnie Wagnera, a pokrętnymi kanałami dowiedziałem się, że można mieć do niego pełne zaufanie.

Nie zrozumcie mnie źle. Oferując siłę roboczą, nie łamałem prawa. Dokonywałem jedynie jego swobodnej interpretacji, osobiście pobierając wynagrodzenie za pracę więźniów. Wiem, że to proceder praktykowany w większości obozów i powodujący istotny zastrzyk gotówki do portfeli komendantów. Teraz już rozumiem, w jaki sposób Globocnik mógł się zdobyć na te wszystkie auta, wystawne kolacje i dzieła sztuki. Państwowe wynagrodzenie naprawdę nie pozwalało na takie życie.

– Panie Wagner, ze swojej strony gwarantuję pełną dyskrecję.

Wymieniam uścisk dłoni z wysokim, łysym mężczyzną o szpiczastym nosie i wystających kościach policzkowych. Wagner przez chwilę przytrzymuje moją dłoń, odruchem ludzi przestraszonych lub nadmiernie pragnących okazać swoje zainteresowanie. Choć chyba to jedno i to samo.

– Usiądźmy.

Przedsiębiorca odsuwa jeden z foteli i daje znać, bym na nim spoczął. Sam siada po drugiej stronie drewnianego, bogato rzeźbionego biurka. Odsuwa pryzmę papieru oraz kilka teczek. Na

blacie pomiędzy nami pozostaje tylko maszyna do pisania i odłożone niby przypadkowo złote pióro z grawerowaną swastyką, zapewne prezent od któregoś z państwowych oficjeli.

– O ile mi wiadomo, rozumie pan sedno mojej propozycji – rzucam, zakładając nogę na nogę. – Nie muszę wchodzić w szczegóły.

– Owszem. – Wagner wyciąga ku mnie pudełko cygar, lecz odmawiam. Sam nie waha się zapalić. Wypuszcza kłąb dymu, po czym ponownie spogląda mi w oczy. – Będę potrzebował stu lub stu pięćdziesięciu nowych robotników. To pozwoli przenieść mi główną produkcję na teren obozu.

– To nie jest żadnym problemem. Dam ich panu dwa razy tyle.

Wagner z zadowoleniem kiwa głową. Wpadające zza okna słońce rzuca refleks na jego łysinę. Wiem, że ma czterdzieści osiem lat, lecz wygląda na znacznie starszego.

– A co, jeśli w wyniku rozmaitych okoliczności… – Mężczyzna zawiesza głos, akcentując ostatnie słowa, lecz natychmiast unoszę dłoń, dając mu znać, że się rozumiemy. – Czy za kolejnych robotników będę musiał płacić osobno?

Kręcę głową. Odchylam się w fotelu, po czym splatam dłonie na piersi. Wagner nie wytrzymuje mojego spojrzenia i wreszcie spuszcza wzrok.

– Nie. Robotnicy są pańską własnością, a ja gwarantuję zastępowanie tych niezdatnych do użytku nowymi. Nie musimy zagłębiać się w niuanse… – Odchrząkuję. – Istotne jest jedynie to, by zgadzały się statystyki.

– Robotnik jest jedynie numerem. – Wagner wypuszcza kolejny kłąb dymu w sufit. – Tak to określacie?

– A czy jest inaczej?

– Dla mnie wszystko się zgadza.

Uśmiechamy się do siebie. Właściciel fabryki odkłada cygaro, podnosi się z fotela i przysuwa ku mnie kartkę papieru.

– Umowa, jak rozumiem, powinna być bardzo oględna?

– Na papierze nie powinniśmy się zbytnio rozwodzić.

Wszystko jest doskonale jasne. Lubię takie rozmowy i cieszę się na myśl o współpracy z tym człowiekiem. Wagner również jest wyraźnie zadowolony. Naciska przycisk na biurku, a gdzieś w korytarzu rozlega się dźwięk dzwonka.

– Mam pełne zaufanie do mojej sekretarki – rzuca w momencie, gdy drzwi się otwierają i do gabinetu wchodzi drobna, ciemnowłosa kobieta ubrana w elegancki kostium.

– Ruth Irene Kalder – przedstawia ją Wagner. – Dopniecie szczegóły.

W innych okolicznościach wściekłbym się takim sposobem załatwienia sprawy, lecz teraz jestem całkowicie zafascynowany przybyłą. Nie zamierzam roztrząsać, czy zachowanie Wagnera stanowiło obrazę, czy to jego styl bycia. Wymieniam z nim szybki pożegnalny uścisk dłoni, po czym całą uwagę skupiam na Ruth. Nie mogę oderwać od niej oczu.

34.

Ruth Kalder przed wojną była aktorką, choć występowała tylko w drugorzędowych przedstawieniach oraz w balecie. Miała doskonałą figurę do tańca i do akrobatyki, lecz niechęć ojca do tego zajęcia sprawiła, że uległa jego presji i zatrudniła się w fabryce. Zajmowała stanowisko osobistej sekretarki Wagnera, lecz nie wiązała się z tym nadzwyczajna pensja. Właściwie otrzymywała wynagrodzenie niewiele wyższe od wynagrodzenia robotników.

Przy okazji kolejnych spotkań z właścicielem fabryki podkreślałem swoje zainteresowanie Ruth, lecz on zbywał moje sugestie jedynie wymownym uśmiechem. Przynajmniej do teraz.

– Nie jestem jej dobrym wujkiem ani opiekunem – mówi, obracając szklaneczkę z wręczoną mu przeze mnie brandy. – Niech pan robi, co uważa za stosowne i nie pyta mnie o zdanie.

– Nie będzie miał mi pan za złe, jeżeli zatrudnię ją u siebie?

– Żałowałbym tego. Mam do niej pełne zaufanie, a…

Macham dłonią.

– Rozumiem. Nie zamierzam zabierać panu zaufanej pracownicy, ale… – Upijam łyk, po czym odstawiam swoją szklaneczkę na stół. – Pozwoli pan, że zaproponuję inny układ.

– Zamieniam się w słuch, panie Göth.

– Dorzucę panu dziesięciu robotników, całkowicie za darmo. Nie chcę za nich żadnego wynagrodzenia…

– Lecz?

Wagner spogląda mi prosto w oczy. Czyni to naprawdę rzadko, zazwyczaj po alkoholu.

– Podwyższy pan wynagrodzenie panny Ruth – rzucam obojętnym tonem. – I tak się to panu opłaci, prawda?

– To pański prezent dla niej czy dla mnie?

– Dla was obojga.

Właściciel fabryki odchyla do tyłu głowę i wciąga powoli powietrze. Jego szeroka pierś unosi się, po czym nagle opada. Mężczyzna ponownie wyprostowuje się w fotelu.

– Dobrze. Niech tak będzie. Jak wysoka miałaby być ta podwyżka?

Rzucam obmyśloną wcześniej sumę, a Wagner jedynie wzrusza ramionami. Zdaje się, że wszystko mamy załatwione. Coraz bardziej podoba mi się robienie interesów z tym człowiekiem. Wagner zaskakuje mnie tym bardziej, że nagle przywołuje Ruth do gabinetu. Gdy kobieta pojawia się w progu, uśmiecha się do niej szeroko.

– Panno Kalder… – Swoim zwyczajem mlaszcze, nim przechodzi do sedna. – Zawdzięcza pani panu Amonowi istotną podwyżkę. Proszę mieć to na uwadze przy jego awansach.

Wstaję i uśmiechając się, podchodzę do Ruth. Patrzę jej prosto w oczy i kobieta lekko się peszy. Mimo to wydaje mi się, że to dobry moment, by nawiązać z nią bliższą znajomość.

– Czy przyjmie pani zaproszenie na kolację do mojej willi? – pytam, zakładając dłonie za plecy. – Byłbym zaszczycony…

Ruth przygryza wargę, figlarnie spogląda mi w oczy, po czym delikatnie kiwa głową. Wydaje mi się, że speszenie sprzed chwili było najlepszą rolą, jaką odegrała, gdyż momentalnie zastępuje je pewność siebie. Boże, jak ona mi się szaleńczo podoba. Całkowicie zapominam o żonie i dzieciach. To prawo zwycięzców.

35.

Z dnia na dzień obóz rozrasta się i pokrywa większy obszar. Przybywa do niego więźniów, fabryki wykorzystują coraz więcej robotników, a z owoców ich pracy powinno być zadowolone najwyższe kierownictwo.

Na moją prośbę do Płaszowa ma przyjechać kilkudziesięcioosobowy dodatkowy kontyngent strażników z SS. Chcę zakwaterować ich na miejscu, przez co niezbędnym jest wzniesienie kolejnych baraków. Prace rozpoczęły się przed dwoma dniami i zgodnie z moim rozkazem powinny zakończyć się do jutra, tymczasem spostrzegam, że wykopano jedynie fundamenty.

– Co tam się dzieje, do cholery? – rzucam do towarzyszącego mi młodego żołnierza.

Szybkim krokiem dokonuję porannego obchodu, ale brak postępów robót natychmiast psuje mi humor. Do tego, zamiast pracować, kilkoro więźniów przysłuchuje się dyskusji jakiejś kobiety z jednym z nadzorców.

– To jedna z osadzonych… – Pośpiesznie tłumaczy mój towarzysz. – Już wczoraj…

Macham dłonią i ruszam w stronę terenu budowy. Natychmiast skupia się na mnie cała uwaga zebranych.

– Czy mamy jakiś problem? – pytam, powstrzymując wybuch złości. – Dlaczego prace idą tak wolno?

Kobieta występuje z szeregu i robi kilka kroków w moją stronę. Pokornie spuszcza głowę, lecz spogląda mi w oczy.

– Nazywam się Reiter, Diane Reiter, i jestem inżynierem.

Patrzę na jej okrągłą, sympatyczną twarz i lekko zaróżowione z emocji policzki. Gdyby nie opaska z gwiazdą Dawida, nie wziąłbym jej za Żydówkę. Ma ładne, pełne wargi oraz ciemnoszare oczy. Przymykam oko na to, że powinna się przedstawić, używając numeru, a nie nazwiska.

– Proszę mówić, panno Reiter – zachęcam ją. – No, śmiało. Słucham panią.

Kobieta prostuje się i podnosi głowę. Jednocześnie przenosi wzrok gdzieś za moje ramię. Widzę, że nerwowo przełyka ślinę, zbiera się w sobie, po czym zaczyna mówić szybko oraz pewnym tonem.

– Wykop pod fundamenty jest zbyt płytki, a zastosowana zaprawa za rzadka, biorąc pod uwagę kąt nachylenia wsporników. W przypadku osadzenia pali oraz elementów konstrukcji baraki się zawalą. – Kobieta zerka mi w oczy tylko przez ułamek sekundy. Uśmiecham się do niej, dając znać, by mówiła dalej. – Być może utrzyma ciężar dachu przez dzień lub kilka dni, ale z pewnością nie dłużej. Należy pogłębić wykop co najmniej o pół metra.

– A to ciekawe…

– Ponadto zalecałabym zastosowanie mniejszego kąta nachylenia.

Więźniarka ponownie zerka mi w oczy. Jest wyraźnie zadowolona z tego, że jej wysłuchałem i że budowa potoczy się według jej

dyspozycji. Rumieniec na jej policzkach powiększa się niemal namacalnie.

– Mogłabym nadzorować proces budowy, jeśli tylko…

Nagle jej entuzjazm zaczyna mnie irytować. Zachowuje się zbyt pewnie i okazuje mi za mało szacunku. Do tego te jej ciemnoszare oczy…

Odwracam się do towarzyszącego mi od rana młodego żołnierza i kiwam głową w stronę inżynier.

– Zastrzel ją.

Żołnierz marszczy czoło i wydyma wargi w uśmiechu, jakby właśnie usłyszał doskonały dowcip.

– Panie komendancie…

– Zastrzel ją – powtarzam. – To rozkaz.

Żołnierz kładzie dłoń na ramieniu więźniarki, chcąc odprowadzić ją na bok. Rzucam mu piorunujące spojrzenie.

– Gdzie się wybierasz? Zastrzel ją tutaj! Natychmiast!

SS-man drżącą dłonią przeładowuje karabin i jeszcze raz zerka, czy aby nie żartuję. Pozostaję śmiertelnie poważny. Wymownie sięgam do kabury po pistolet.

Więźniarka krzyczy coś niezrozumiale i zrywa się do biegu, lecz w tym samym momencie pada strzał. Kobieta wywraca się na ziemię, a jej ciałem wstrząsają konwulsje. W błocie momentalnie tworzy się czerwona kałuża.

– Słyszeliście? – zwracam się do członków komanda budowlanego. – Dopasujcie się do tego, co powiedziała ta mądrala. No, jazda. Do roboty!

Zabójstwo Diane Reiter stało się istotnym elementem zeznań świadków zbrodni w Płaszowie. Mimo codziennego okrucieństwa, którego doświadczali, zrobiło ono na nich niezatarte wrażenie.

36.

Ruth nie chciała się na stałe wprowadzić do mojej willi. Zresztą uznaliśmy, że będzie to pewnym nadużyciem, biorąc pod uwagę, że z wizytami co kilka tygodni przyjeżdżała moja żona. Wolałem unikać skandalu oraz awantur. Kolejny rozwód był niepotrzebny, tym bardziej że ślub zawarliśmy zgodnie z procedurami SS. Wśród nas znajdowali się tacy, dla których stanowiło to najwyższą świętość. Nie chciałem im podpaść. Wciąż marzyłem o awansach i nie zamierzałem dać żadnej okazji do kwestionowania swych kompetencji. Nawet w życiu prywatnym.

– Możesz tu jednak sprowadzić część swoich rzeczy – proponuję, trzymając Ruth za dłoń.

Stoimy pośrodku mojej sypialni, w której znajdują się dwie wielkie szafy z drewna orzechowego oraz obszerna skrzynia.

– W tych meblach jest do cholery miejsca.

– A co, jeśli…

Ruth przerywa w pół zdania, lecz wiem, o co jej chodzi.

– Moja żona nigdy nie pojawia się bez zapowiedzi. – Uspokajam ją. – Nie będziesz musiała się z nią spotykać. Poza tym poinformuję ją o sytuacji.

– O sytuacji? Tak to nazywasz?

Kobiety… Wzdycham, po czym przyciągam do siebie Ruth. Całuję ją w czubek głowy, a lewą dłoń kładę na jej pośladku.

– Wiesz, że nie mogę się rozwieść. Poza tym chyba jest nam dobrze tak, jak jest?

– Nie chcę, żebyś się rozwodził.

– Więc?

– Nie chcę się też tu sprowadzać. Kocham cię, Amon, ale musimy to wszystko odpowiednio posklejać.

Teraz ja nie do końca wiem w czym rzecz. Odsuwam się i spoglądam w jej wielkie, ciemne oczy. Widzę w nich strach oraz konsternację, lecz jak zwykle nie mam pojęcia, czy nie jest to kolejny popis umiejętności aktorskich Ruth.

– Zrobimy tak, jak zapragniesz – odzywam się łagodnie. – Możesz zająć dowolny pokój…

Ruth rezolutnie kiwa głową i zakłada za uszy krótkie włosy.

– Doskonale – postanawia zdecydowanym tonem. – Przywiozę tylko część swoich rzeczy, ale obiecaj, że nigdy nie zmusisz mnie, bym…

Przerywa, zdając sobie sprawę, że koncentruję uwagę na czymś innym. Mrużąc oczy, spoglądam za okno, obserwując trzech więźniów pchających wagonik z gruzem. Ich towarzysz upadł i wyciąga ku nim żałosne, chude jak patyki ręce. Żałuję, że nie słyszę, co do nich mówi.

– Zaczekaj… – rzucam do Ruth i kieruję się ku drzwiom. – Zaraz wracam.

37.

– Co to ma, do diabła, znaczyć? Macie pracować! Rozumiecie? Pra-co-wać!

Wściekły podchodzę do grupki więźniów stojących przy wagoniku wypełnionym kamieniami oraz cegłówkami. Wagonik stoi na zaciągniętym hamulcu, a przed nim leży kolejny więzień – wyjątkowo chudy Żyd, z wielkim nosem, szczeciniastym zarostem oraz twarzą w kolorze mokrego papieru. Ma odchyloną do tyłu głowę, a jego wydatne jabłko Adama drga w rytmie przyprawiającego o mdłości rzężenia.

– Panie komendancie… – Jeden z więźniów gnie się przede mną, ściskając pod ramieniem obozową czapkę. – On nie ma już siły. Musimy zanieść go do szpitala.

– Tak, on już nie da rady… – potwierdza któryś z pozostałych więźniów.

– Czyżby? – Podchodzę do leżącego i sięgam do kabury. Wyciągam pistolet, co sprawia, że trójka stojących obok strachliwie się cofa.

Mierzę w głowę leżącego, lecz ten jedynie wyciąga przed siebie dłoń. Ta zresztą po chwili bezwładnie opada na jego pierś. Jego blade usta pokrywa gęsta, spieniona ślina.

– Wstawaj!

Odpowiada mi cichy charkot. Mężczyzna ledwie zauważalnie porusza nogami. Jedynie jego oczy rozwierają się w przerażeniu. Leżąc, wpatruje się we mnie niczym jakaś postać z obrazów w drugą, górującą nad nią i mającą jej zadać śmiertelny cios. Przez moment wydaje mi się, że usta więźnia wyginają się w drwiącym uśmieszku, ale to niemożliwe. Nie jest w stanie ich nawet otworzyć.

Powoli opuszczam pistolet i chowam go do kabury. Stojący obok mnie więźniowie z ulgą wypuszczają powietrze. Gwałtownie się do nich odwracam, po czym kiwam głową w stronę wagonika.

– Macie się nigdy nie zatrzymywać. Rozumiecie?

– Tak, panie komendancie, ale…

– Jedźcie dalej.

Dwóch więźniów garbi się i rusza do leżącego. Chwytają go pod ramiona, aby zabrać go z torów, lecz znacząco obracam się w ich stronę.

– Powiedziałem: jedźcie dalej. Nie dotykajcie go.

– Ale…

Ponownie sięgam ku kaburze i więźniowie natychmiast odskakują od leżącego. Ze spuszczonymi głowami pędzą do wagonika.

– Zwolnijcie hamulec – nakazuję. – Natychmiast.

Posłusznie wykonują mój rozkaz. Leżący więzień usilnie stara się podnieść, ale jest w stanie jedynie przebierać w miejscu nogami. Jego bladą twarz wykrzywia grymas przerażenia, który zamienia się

w tik paraliżującego bólu w momencie, gdy wagonik najeżdża na jego ramię, a potem miażdży pierś. Kilka ton gruzu sprawia, że kości łamią się i kruszą niczym wilgotna kreda. Z ust leżącego dobywa się jęk, ale trwa on tylko sekundę lub dwie. Po chwili zagłusza go rytmiczny stukot wagonika jadącego w dół zbocza. Trzej prowadzący go więźniowie nawet się nie odwracają. Oddalają się, byle jak najszybciej znaleźć się poza zasięgiem mojego wzroku. W metalowe kółka wplątały się strzępy ubrań oraz strzępy ciała ich towarzysza. Nie baczą już na to.

Uśmiecham się, jeszcze raz zerkam na zmasakrowane zwłoki, po czym wracam do willi. Muszę pamiętać, aby przekazać, by kolejna zmiana uprzątnęła truchło. Nie chcę mieć żadnych przestojów w pracy.

38.

– Cała akcja nie może trwać dłużej niż dobę. Pojutrze miasto musi być bezwzględnie oczyszczone z Żydów.

– Nie wiem, czy dostępne siły wojskowe pozwolą na dokładne przeszukanie terenu.

– To będzie zbędne. Po przejściu głównych oddziałów kamienice tych szczurów przetrząsną Ukraińcy.

– Skoro tak to pan widzi… Daję panu wolną rękę.

Wilhelm Haase, SS-Sturmbannführer i SSPF[4], a przede wszystkim mój bezpośredni przełożony, wiedzie wzrokiem po okolicy. Stoimy na Placu Zgody, głównej otwartej przestrzeni krakowskiego getta. Pada drobny śnieg, z dachów kamienic zwisają sople lodu, a kilkunastu towarzyszących nam żołnierzy wypatruje jakiegokolwiek ruchu.

– Wie pan, jaki dziś dzień? – pyta mnie Haase. Spogląda na mnie ironicznie, po swojemu mrużąc jedno oko.

– Jest trzynasty marca czterdziestego trzeciego roku – odpowiadam służbowo.

– Tak, to prawda. Jednak te gnidy świętują dziś szabat.

– Szabat? – Parskam śmiechem. Unoszę dłoń i macham w stronę najbliższej z kamienic. – Smacznej kolacji czy co tam będziecie dziś żreć.

– Obawiam się, że z okazji święta teraz poszczą.

Haase uśmiecha się jeszcze szerzej i puszcza do mnie oko. Po chwili konspiracyjnie zbliża się, po czym odzywa niemal szeptem:

– Sektor „A" musi zostać bezwzględnie ewakuowany, nie chcę tam ofiar.

– Od niego zacznę – stwierdzam lodowatym tonem. – Pokażemy Żydom, że nie zamierzamy nikogo zabijać ani robić zbędnego zamieszania. Po prostu zarządzę przeprowadzkę do obozu i wszyscy będą szczęśliwi. Pozwolę im zabrać część rzeczy…

– Myśli pan, że nie będą stawiać oporu?

Chwilę się zastanawiam, wreszcie kiwam głową. To teatralne budowanie napięcia, którego nauczyłem się od Ruth.

– Nie mam żadnych wątpliwości. Na podstawie doświadczenia z Katowic oraz Lublina jestem przekonany, że wszystko pójdzie całkowicie gładko. Dopiero wtedy zajmiemy się sektorem „B"…

– Ci ludzie powinni zostać zgładzeni na miejscu – precyzuje Haase. – Nie chcę tracić czasu na ich transportowanie ani zajmować miejsca na choćby czasowy pobyt. Rozumiemy się?

Moją odpowiedzią jest jedynie salut oraz zaciśnięcie ust.

39.

Blisko od siedmiuset lat Kraków zamieszkują Żydzi. Panoszą się po ulicach, prowadzą swoje interesy i zatruwają swoją obecnością życie pozostałych mieszkańców. Smród ich obecności roznosi się po wszystkich dzielnicach oraz wciska się w każdy zakamarek. Czujecie go? To smród zniszczenia, spiskowania i tajnych dążeń, by zniszczyć tożsamość tego, co możemy nazywać dziedzictwem cywilizacji. To owoc zgnilizny i rozkładu. Kto się z nim styka, ten na zawsze pozostaje zatruty.

Z miesiąca na miesiąc, z dnia na dzień żydowska trucizna zalewa coraz większe obszary, szkodząc często zupełnie tego nieświadomym ludziom. Dziś to się skończy. Siedemset lat panoszenia się śmierci oraz jadu znajdzie swój koniec w ciągu kilku najbliższych godzin. Stanie się to właśnie dzięki wam. Dzięki wam, drodzy żołnierze, tutejsze żydostwo przejdzie do historii. Kraków będzie dumnym miastem Judenfrei*, a wy będziecie wspominani jako bohaterowie akcji przywracającej czystość. Chwała wam, żołnierze słusznej sprawy!*[5]

40.
14 marca 1943 r.

Śnieg nie przestaje padać. Może ma to znaczenie symboliczne, lecz nie przykładałbym do tego szczególnej wagi. Najważniejsze, by żołnierze mieli zapewnione dziś ciepłe posiłki oraz rozgrzewający alkohol. Szef zaopatrzenia zapewnił mnie, że nie będzie z tym żadnego problemu. Do getta, w ślad za postępującymi oddziałami, ma wkroczyć kuchnia polowa. Przygotowano już porcje spirytusu, wódki i rumu. Wygospodarowałem na to specjalny budżet, co, mam nadzieję, znajdzie poklask dowództwa.

Zerkam na zegarek i obserwuję, jak wskazówka minutowa zbliża się do dwunastki. Jest za minutę piąta. Kilkadziesiąt sekund dzieli

nas od rozpoczęcia najbardziej spektakularnej akcji w dziejach Generalnej Guberni.

Piętnaście sekund przed właściwym wskazaniem mojego zegarka słyszę warkot silników. Po chwili rząd wojskowych ciężarówek z pełną prędkością wpada do getta. Jednocześnie przez rozlokowane wokół megafony rozlega się powtarzająca się komenda:

– *Raus, raus, raus*!

Błysk rac rozjaśnia ciemność. Do poranka pozostało jeszcze nieco czasu, ale uznałem, że taka pora rozpoczęcia akcji będzie najdogodniejsza. Z radością wsłuchuję się w odgłos żołnierskich kroków dudniących po śniegu. Po chwili dołączają do niego pierwsze krzyki oraz odległy płacz. Gdzieś trzaska okiennica, a gdzieś indziej rozlega się pojedynczy wystrzał. W ostatniej chwili zmieniłem koncepcję i nakazałem połączenie likwidacji obu sektorów. Uznałem, że mam dość ludzi, by sprostać całemu zadaniu za jednym razem. Dzieląc je na etapy, nawet przy zachowaniu pozorów, traciło się element zaskoczenia. A przy pozbywaniu się trucizny zaskoczenie jest najważniejszym elementem kuracji.

– *Raus, raus*! – pada raz po raz z dziesiątek megafonów. – *Raus*!

Tupot żołnierskich butów po bruku niesie się echem w uliczkach getta. Niektóre chodniki są niezaśnieżone, co potęguje dźwięki i zdaje się, że do zaułków wpadli nie pojedynczy żołnierze, lecz całe plutony.

Z brzękiem rozpryskuje się jakieś okno. Chwilę później kolby karabinów uderzają o solidne drzwi i wyłamują je z zawiasów. Ci, którzy stawiają opór, ciągnięci są za włosy i kołnierze, często wywlekani wprost z łóżek. Z któregoś z mieszkań dobiega mnie odgłos zaintonowanej żydowskiej modlitwy. Nasłuchuję, starając się określić mniej więcej kierunek, ale w mroźnym powietrzu miesza się zbyt wiele dźwięków.

– Dwie minuty! – krzyczy podoficer stojący na czele oddziału opróżniającego najbliższą kamienicę. – Dwie minuty i zaczniemy

strzelać.

Przez okno wylatuje walizka pełna ubrań i kilka książek. W powietrzu unoszą się jakieś papiery. Wysoki mężczyzna staje w oknie, lecz druga osoba natychmiast go odciąga. Przypatruję się krótkiej szamotaninie cieni. Nagle mężczyzna ponownie wspina się na parapet i, nie czekając na niczyją reakcję, skacze. Z wysokości drugiego piętra pada na oblodzony bruk, łamiąc sobie zapewne jedynie nogi. Słyszę jego krzyk pełen bólu.

– Zostawcie go… – nakazuję żołnierzom. – Niech nikt nie waży się mu pomóc. Oby zdechł na środku ulicy!

Spluwam, po czym zerkam na nakreśloną przed dwoma dniami mapę. Jest to plan miasta sprzed wojny z naniesionymi zgodnie z zeznaniami informatorów adnotacjami. Mam opracowaną konkretną marszrutę. Postanowiłem osobiście dowodzić niewielkim oddziałem, dla którego wyznaczyłem osobliwe cele.

Daję rozkaz wymarszu i kieruję się między szpalerami żołnierzy. Na ulicy pojawiają się pierwsi mieszkańcy getta – niektórzy sprawiają wrażenie, jakby założyli na siebie wszystkie swoje ubrania, inni są w koszulach nocnych, lecz wloką wypchane do pełna walizy. Kilka kobiet tuli do piersi dzieci. Płacz miesza się ze skomleniem oraz krzykami.

– *Raus, raus*!

Reflektory oświetlają okolicę tak, jak niegdyś oświetlały granice lubelskiego getta. Kolejne ciężarówki z żołnierzami wjeżdżają w głąb cuchnących, zaśmieconych uliczek. Formowane są pierwsze kolumny składające się z Żydów, którzy mają być prowadzeni do Płaszowa. W oddali, w sektorze „B”, padają kolejne strzały. Jeszcze raz zerkam na mapę i przyśpieszam kroku. Nie mogę się doczekać, aż dotrzemy do wyznaczonego celu.

41.

Szpital w getcie mieści się przy placu Zgody, lecz główne wejście znajduje się przy bocznej uliczce. W przeciwieństwie do prywatnych mieszkań nawet w nocy mogą się w nim palić światła, dzięki czemu doskonale wiem, gdzie się kierować. Zapowiedziałem, że osobiście zajmę się ewakuacją jego personelu oraz pacjentów.

Na czele kilkunastu żołnierzy podchodzę do dwuskrzydłowych drzwi i otwieram je kopniakiem. Pośpiesznie wpadam do środka. W niewielkim holu unosi się zapach krwi, środków czystości oraz potu. Skąd oni, u licha, mieli środki czystości?

– Wszyscy na zewnątrz! – krzyczę na całe gardło. – Dwie minuty!

– *Raus*! *Raus*!

Żołnierze rozbiegają się po budynku i wpadają do kolejnych pomieszczeń. Wszędzie trzaskają drzwi oraz słychać brzęk upadających na podłogę metalowych lub szklanych przedmiotów. Niektóre z nich strącane są przez rozbudzonych nagle pacjentów, inne przez usiłujących opanować chaos lekarzy, jeszcze inne przez moich ludzi. Zdaje się, że w szpitalu wybuchła oddzielna wojna. Krzyki i płacz jednoczą się w kakofonii dźwięków, która powoduje u mnie wyrzut adrenaliny.

– Wyprowadzić ich wszystkich! – Zerkam na zegarek i stukam w szkiełko palcem. – Minuta!

Chwytam za koszulę nocną jakiegoś pacjenta i niemal rzucam nim o ścianę. Mężczyzna zatacza się, lecz w ostatniej chwili przytrzymuje futryny. Dwóch moich ludzi wlecze, trzymając pod ramiona, miotającą się kobietę, jeden z nich wykręca jej rękę.

– Panie oficerze! – Lekarz w białym kitlu, z szeroko rozwartymi oczami i z rozwichrzoną czupryną maszeruje w moją stronę. – Co wy robicie? To niebezpieczne!

Przyglądam się mu, przekrzywiając głowę.

– Co w tym niebezpiecznego? – Uśmiecham się, wymownie potrząsając pistoletem. – Zostało wam kilkanaście sekund na dokończenie ewakuacji…

– To niemożliwe.

– Niemożliwe? Obawiam się, że wszystko musi być możliwe.

– Ale… – Lekarz bezradnie rozkłada dłonie. Jego oczy są zaczerwienione, a na czole szkli się pot. – Pańscy ludzie chcą zabrać stąd pacjentów zapadłych na choroby zakaźne, szkarlatynę, tyfus… To głównie małoletni i dzieci. Poza tym…

Przeładowuję pistolet. Ten pajac myśli, że wykręci się historią o chorych zakaźnie i że kogoś uratuje.

– Nie boję się – cedzę. – Moi ludzie również.

Widzę, że zwróciłem na siebie uwagę kilku stojących w pobliżu żołnierzy oraz grupki pacjentów biegnących do wyjścia. Naciskam spust i kula przeszywa głowę lekarza. Trafia go dokładnie między oczy, odrzuca kawał czaszki, po czym rozbryzguje szarozielone strzępy mózgu na ścianie. Lekarz osuwa się na kolana.

– To wy macie się bać! – krzyczę. Następnie zwracam się do jednego ze swoich podoficerów: – Zabijcie wszystkich obłożnie chorych. Zabijcie wszystkich, którzy nie dadzą rady stąd wyjść!

Grupka pacjentów przemykająca do wyjścia wpada w panikę. Dwie kobiety zaczynają histerycznie płakać, padają na podłogę i zwijają się w kłębki. Biegnący obok nich mężczyzna zamiera w bezruchu. Kilka innych osób rzuca się na oślep do drzwi.

– Stać! – wrzeszczę, strzelając w powietrze. Po holu niesie się głuche echo i uciekający momentalnie się zatrzymują. Większość z nich drży z przerażenia, a spodnie chudego jak tyczka nastolatka znaczy plama moczu. – Spokojnie – zwracam się w ich stronę. – Nie zabiję was. Macie uprzątnąć trupy i oczyścić krew. Co za burdel jest w tym szpitalu! Już ja was nauczę niemieckiej czystości…

42.

W pobliskim ośrodku rekonwalescencyjnym również trwała ewakuacja. Jedna z pielęgniarek ze szpitala przy placu Zgody przedarła się do niego i poinformowała personel o tym, co się dzieje. Lekarze zaczęli pośpiesznie przenosić pacjentów do przygotowanych wcześniej schronów. Pozostało jedynie czworo z nich, którzy nie mogli wstać z łóżek.

Ordynator ośrodka nakazał ucieczkę wszystkim pozostałym pacjentom oraz członkom personelu. Sam wraz z oddziałową pozostał na miejscu. Gdy do budynku wpadli niemieccy żołnierze, lekarz podał przykutym do łóżek pacjentom rozpuszczony w wodzie cyjanek. Śmiertelna dawka zadziałała praktycznie od razu.

Po upewnieniu się, że chorzy nie żyją, ordynator oraz oddziałowa również zażyli truciznę. Wedle niektórych świadectw ich zwłoki zostały sprofanowane przez wściekłych SS-manów.

43.

Jest już całkiem widno, gdy na czele kilkunastoosobowej grupy żołnierzy wracam na plac Zgody. Plan zakłada, że na jego terenie zostaną stłoczeni wszyscy zdolni do pracy mieszkańcy getta. Zgodnie z ostatnimi raportami ich liczbę szacowano na około sześciu tysięcy.

Wdycham zapach spalin oraz dymu. W okolicy wybuchło kilka pożarów, a w powietrzu unosi się pył. Odgłosy wystrzałów są już jednak znacznie rzadsze, przycichły również krzyki i płacz. Ci ludzie zadziwiająco szybko godzą się ze swoim losem. Spoglądam na bezwolną, niemal nieruchomą masę stłoczoną na niewielkim terenie

ograniczonym niskimi, zaniedbanymi kamienicami. Muszę mrugać, gdyż od dymu zaczynają łzawić mi oczy.

Z sekundy na sekundę cisza staje się coraz głębsza. Umilkły już megafony, a ciężarówki znikły w odległych rewirach getta. Gdzieś z oddali, zza murów, dobiega bicie kościelnego dzwonu. Nagle powietrze przeszywa długa seria z karabinu maszynowego, która podrywa do lotu stado wron. Ptaki, kracząc, zataczają koło nad zgromadzonymi na placu ludźmi.

W moją stronę maszeruje Horst Inger, jeden z moich najbardziej zaufanych ludzi. Na jego osmolonej twarzy widzę zmęczenie zmieszane z radością.

– W sektorze „B" pojawiło się ognisko oporu – raportuje, stając na baczność. – Zostało zlikwidowane, ale musimy zachować szczególną ostrożność.

– Straty?

– Trzech rannych, w tym jeden ciężko. Sukinsyni mieli domowej roboty granat.

– Zabiliście ich?

Inger unosi wysoko podbródek i kiwa głową. Kątem oka zerka gdzieś w bok, a ja odruchowo wiodę wzrokiem za jego spojrzeniem. Już rozumiem powód jego dumy oraz radości.

– Jednego udało się nam pojmać żywcem. To płotka, ma nie więcej niż piętnaście lat, ale…

Horst macha ręką, widząc, że przyglądam się zorganizowanemu przez niego przedstawieniu. Dwóch żołnierzy przeciąga linę ponad jedną z latarni stojących przy placu. Na jej przeciwnym końcu szamocze się drobny nastolatek ubrany w powycierane futro. Usiłuje odciągnąć od szyi pętlę, lecz nie ma dość siły. Nagle lina napina się i stopy chłopaka odrywają się od ziemi. Wraz z kolejnymi ruchami żołnierzy unosi się coraz wyżej, wierzgając i wijąc się niczym ryba

wyciągnięta na brzeg. Stłoczeni na placu ludzie obserwują tę scenę w kompletnym milczeniu.

– To za opór stawiany Rzeszy! – Horst swoim barytonem oznajmia wszem wobec: – Zapamiętajcie sobie!

Wieszany chłopiec zamiera w bezruchu. Jego ręce opadają wzdłuż tułowia, a ciałem wstrząsa śmiertelny dreszcz. Żołnierze owiązują linę wokół latarni, po czym nie spoglądając więcej na wisielca, odchodzą.

– Zapiszcie ich imiona – zwracam się do Ingera. – Chcę ich odpowiednio wynagrodzić.

– Tak jest.

– Właśnie takich żołnierzy mi potrzeba. – Z aprobatą kiwam głową, po czym ruszam w stronę tłumu. Szare twarze odwracają się, a spojrzenia wbijają się w ziemię. Wokół niesie się tak dobrze mi znany szmer strachu. – Przygotować się do wymarszu! – nakazuję, kładąc dłoń na kaburze. Po chwili dodaję sarkastycznym tonem: – Gratuluję tym, którzy w trakcie ewakuacji pamiętali o zabraniu butów.

Spoglądam w zasnute dymem niebo. Znów zaczyna padać śnieg. Zapowiada się całkiem przyjemny dzień.

Po kilkugodzinnej akcji likwidacyjnej około sześciu tysięcy zdolnych do pracy mieszkańców krakowskiego getta skierowano pieszo do obozu w Płaszowie. Około dwóch tysięcy kolejnych, przede wszystkim mieszkańców sektora „B", zamordowano na miejscu, a drugie tyle wysłano wagonami bydlęcymi do Oświęcimia. Płaszów nie był jeszcze gotowy do przeprowadzania masowej eksterminacji.

Wczesnym popołudniem 14 marca 1943 r. Amon Göth dumnie ogłosił, że Kraków jest miastem całkowicie wolnym od Żydów. Swoje zadanie wykonał w stu procentach.

44.

– Do dna!

– Do dna! – odpowiada mi chórem kilkanaście głosów.

Wznosimy kieliszki i po chwili opróżniamy ich zawartość. Ktoś stara się powstrzymać kaszel, a parę innych osób wybucha śmiechem. Martin Lausch, pupilek Hansa Franka, zatacza się i zahacza o lampkę. Udaje mi się w ostatniej chwili ją złapać. Chwytam Lauscha za ramię i gwałtownie do siebie odwracam. Mężczyzna wbija we mnie zdumione spojrzenie. Rozkłada w przepraszającym geście dłonie, starając się coś wybełkotać.

– Zbyt trzeźwy – oznajmiam donośnie.

– Zbyt trzeźwy – akompaniują mi stojący najbliżej.

Lausch wybucha głośnym śmiechem i teatralnie sięga po stojącą na barku butelkę armagnacu. Wypija solidny łyk, po czym ociera usta brudną serwetką. Inge Walther, żona Wilhelma, właściciela jednej z największych fabryk konserw, dopija resztę. W jej małych świńskich oczkach błyszczy pijaństwo. Jej włosy są rozwichrzone, a policzki zaczerwienione.

– Wszyscy zbyt trzeźwi! – krzyczy, potrząsając pustą butelką. – Co to za zabawa! Co wy robicie, a może przyszliście tu na pogrzeb?

– Grzebiemy jedynie wrogów ojczyzny – odpowiada jej Franz Steiner, główny udziałowiec koncernu zbrojeniowego. – A potem wywlekamy ich trupy, by oblać je moczem!

– To ci sadysta!

Całe towarzystwo bawi się w najlepsze. Z gramofonu lecą niemieckie marsze wojskowe przeplatane kiczowatą muzyką operetkową. Dwie pokojówki co chwilę donoszą przyrządzone w kuchni przekąski, które znikają, nim kobiety zdążą wyjść z salonu.

Zabawa w mojej willi ma na celu nieformalne uczczenie likwidacji krakowskiego getta. Udało mi się na nią ściągnąć śmietankę towarzyską z całej Generalnej Guberni. Żałuję jedynie, że nie ma ani Ruth, ani mojej żony. Jest za to Edith, jedna z najbardziej rozrywkowych dziewczyn, jakie poznałem. Jej uroda stanowi ozdobę najbardziej wykwintnych przyjęć i onieśmiela najbardziej wytrawnych uwodzicieli. Kilkukrotnie spędziliśmy ze sobą naprawdę upojną noc. Teraz chwytam jej spojrzenie, po czym puszczam do niej oko. Dochodzi już szósta rano i niebo niedługo zacznie przecierać świt.

– Chodź… – mówię niemal bezgłośnie, ruszając ustami. – Chodź.

Kiwam głową w stronę korytarza, na którego końcu znajduje się moja prywatna sypialnia. Wymijam ledwie trzymającego się na nogach adiutanta, przeciskam się między kilkoma tańczącymi parami i tuż za drzwiami salonu zaczynam rozpinać guziki koszuli. Mam ochotę na seks. Mam ochotę iść z Edith do łóżka i się zabawić. W połowie korytarza odwracam się, upewniając, że za mną idzie. Tak, jest. Na wyciągnięcie dłoni, na odległość słyszalności szeptu…

– Odpocznijcie! – wrzeszczę, przekrzykując gramofon. – Za dwie godziny, gdy wzejdzie słońce, pokażę wam, jak w tym miejscu zaczyna się dzień! Rozkazuję się wszystkim stawić w górnym salonie, a odmowę poczytam za potwarz.

Traktuję te słowa jako gadanie dla samego gadania, ale gdy chwilę później przepuszczam Edith w drzwiach do sypialni, dźwięki gramofonu milkną i słyszę, że towarzystwo rozchodzi się do swoich pokoi.

– Mamy mało czasu, kochanie – szepczę, wchodząc do łóżka. – Musimy się pośpieszyć.

Czasem uwielbiam swoją bezsenność.

45.

Odpalam papierosa i chowam zapalniczkę do prawej kieszeni. Jestem jedynie w spodniach mundurowych oraz w białym podkoszulku. Na szyi mam biały szal, a na głowie tyrolski kapelusz podarowany mi kiedyś przez jednego z przyjaciół ojca. To wszystko jest rytuałem. Słyszałem, że gdy więźniowie widzą mnie w tym stroju, robią pod siebie ze strachu. Nazywają mnie „Śmiercią w kapeluszu". Niech im będzie. Przyznam, że całkiem odpowiada mi to miano i zamierzam utrzymać właściwe wyobrażenie o sobie. Opinia zobowiązuje.

Na niewielkim balkonie mojej willi tłoczy się około dziesięciu osób. Kilkoro przemysłowców z żonami lub kochankami, mój adiutant, przyszedł nawet Franz Steiner, choć akurat on przypomina żywego trupa. Jest kompletnie blady, ma przekrwione oczy i podtrzymuje się balustrady.

Na ramieniu trzymam oparty karabin snajperski z najnowszą lunetą dostarczoną mi przez jednego z udziałowców Zeissa. To doskonały sprzęt, choć nabranie wprawy w celowaniu do zwierzyny wymagało nieco czasu.

Zaciągam się papierosem i wypuszczam dym w niebo. Jest całkowicie bezchmurne, a pierwsze promienie słońca przyjemnie padają mi na twarz. Z dachu spływa rozpuszczający się śnieg, a w dole wszędzie skrzą się kałuże.

– Obiecałem wam pokazać, jak rozpoczyna się dzień w Płaszowie. Mam nadzieję, że będzie to miła prezentacja.

Uśmiecham się i macham do stojącej w ogrodzie Edith. Kobieta mi odmachuje, po czym kieruje się do zaparkowanego na nieodległym podjeździe czarnego auta. Nigdy nie wiem, kto po nią przyjeżdża, lecz kategorycznie odmawia powrotów do Krakowa z moim szoferem. Pewne tajemnice jeszcze mocniej rozbudzają męskie pożądanie. Tym razem jednak szybko odrywam od niej wzrok.

– Czy widzieliście, państwo, taki karabin? – pytam, prezentując broń. – Pana, panie Steiner, naturalnie proszę o milczenie. Wiem, że osobiście brał pan udział przy jego opracowywaniu.

Franz jedynie kiwa głową i ociera pot z czoła. Nikt z pozostałych gości nie odpowiada.

– To Gewehr 43, wyposażony w celownik optyczny Zielfernrohr 43 – wyjaśniam. – Prędkość początkowa pocisku wynosi blisko siedemset pięćdziesiąt metrów na sekundę, a szybkostrzelność sięga czterdziestu strzałów na minutę. Oczywiście mówimy o strzelaniu w warunkach bojowych, nie sportowych.

Jeden z gości cicho gwiżdże, lecz większość wydaje się niezbyt zainteresowana moją prezentacją. Część jest nadal kompletnie pijana i ledwo trzyma się na nogach.

– Pobudka, wstawać! – krzyczę, przykuwając ich uwagę. – Zobaczcie, jak w Płaszowie kończą lenie!

Wyrzucam przez balkon papierosa, po czym rozdaję towarzystwu trzy lunety. Przykładam kolbę karabinu do ramienia, przybieram pozycję strzelecką i lustruję przez okular teren po drugiej stronie drogi. Trzech więźniów ciągnie opróżniony wagonik pod górę, do kamieniołomu. Jeden wydaje mi się jedynie pozorować wysiłek, co chwilę zwalniając i odkasłując. Biorę go na cel.

– Widzicie tego bydlaka? – pytam, po czym wstrzymuję oddech. – Patrzcie uważnie.

Głowa chudzielca wypełnia niemal cały okular. Mężczyzna ma około trzydziestu lat, napiętą, szarą skórę i zapadnięte policzki. Jego oczy są niemal pozbawione koloru. Teraz widzę, że nie ociąga się, lecz po prostu pada z wysiłku. Zapewne w poprzednią stronę szedł na czele pochodu, blokując wagonik przed rozpędzeniem się na pochyłości terenu. Większość z nich ma uszkodzone hamulce, co miało dodatkowo mobilizować więźniów do pracy.

– Czy on…

Naciskam spust, zagłuszając pytanie zadawane przez Inge Walther. Głowa więźnia dosłownie eksploduje. Wybucha niczym arbuz trafiony z wielkokalibrowego pocisku. Kawałki kości, mózgu oraz tkanki rozbryzgują się wszędzie wokół. Dwaj towarzysze zabitego na moment zamierają w bezruchu, a następnie podwajają wysiłek przy pchaniu wagonika. Wiedzą, że ociągając się, mogą stać się moimi kolejnymi celami.

Odkładam karabin i sprawdzam, jakie wrażenie wywarł mój strzał. Towarzystwo wydaje się ukontentowane, ale nim uzyskuję pewność, Steiner wymiotuje przez balkon.

– Coś mi wczoraj zaszkodziło – rzuca, spluwając. – Państwo mi wybaczą…

– Czy wszystkie poranki w Płaszowie są tak emocjonujące? – pyta pani Walther. Jej policzki są zaróżowione, a oczy skrzą się od emocji. – Jakie to niezwykłe, Amonie! Kolejnym razem ja chciałabym strzelać…

46.

Wilhelm Künde kończy składać raport, po czym kieruje wzrok na zawieszony za moimi plecami zegar.

– Jest jeszcze jedna sprawa – dodaje bardziej poufałym tonem. – Obiecałem panu, że zrobię wszystko, aby było tu jak najwygodniej, i zapewniam…

Macham ręką, przerywając ten pochlebczy monolog.

– Do rzeczy, proszę.

Künde odchrząkuje i przenosi wzrok na moją twarz, jednocześnie starając się nie patrzeć mi w oczy.

– Jedna z pańskich pokojówek… Wie pan, ta stara, zezowata Polka…

– Zdaje się, że wiem. Co z nią?

– Dziś rano znaleziono ją martwą w spiżarni. Podcięła sobie nożem żyły i narobiła sporo bałaganu. Podobno do tej pory na podłodze jest plama krwi.

Mrużę oczy i podnoszę się od biurka. Znudzony przeczesuję palcami włosy, po czym robię krok w stronę drzwi, dając znać, że nie mam czasu na głupoty.

– Czy powinno mnie to interesować? Chyba nie czekacie na dyspozycje co do pogrzebu?

Künde, powstrzymując uśmieszek, kręci głową.

– Chcę, aby był pan w pełni zadowolony ze służby. Powinniśmy unikać nieprzyjemnych sytuacji na terenie willi.

– Co proponujesz?

– Mam nadzieję, że wybaczy mi pan zuchwałość, ale znalazłem kogoś właściwego. Czy mogę…

Z aprobatą kiwam głową.

– Wejść! – krzyczy Künde, a ja zdaję sobie sprawę, że wszystko zostało starannie zaaranżowane. Dlatego w trakcie składania raportu wydawał się tak sztywny.

Drzwi otwierają się i do mojego gabinetu wchodzi smukła, ładna kobieta z kręconymi włosami. Zatrzymuje się tuż za progiem, po czym wykonuje nieudolne dygnięcie. Wbija wzrok w podłogę.

– Helen Hirsch Horowitz – przedstawia ją Künde. – Z pewnością będzie wykonywała sumiennie wszelkie obowiązki. Ma odpowiednie doświadczenie, a poza tym już ją pouczyłem co do istotnych spraw oraz pańskiego harmonogramu dnia. Jednak oczywiście… Jeśli pan…

Podchodzę do kobiety i staję o krok od niej. Wciąż stoi ze spuszczoną głową oraz przygarbionymi plecami. Oddycha w przyśpieszonym tempie.

– Żydówka… – szepczę. – Ale czy również niemowa?

Künde przechodzi obok mnie i chwyta kobietę za podbródek. Obraca ją w moją stronę tak, bym mógł przyjrzeć się jej twarzy. Helen robi wszystko, aby nie spojrzeć mi w oczy, przed czym zapewne już ją przestrzeżono. Po obozie rozchodzą się rozmaite plotki. Domyślacie się, że część z nich ma istotne podparcie w rzeczywistości, ale… Mniejsza z tym.

– Umiesz mówić, prawda? – cedzi Künde. Jego palce wbijają się w skórę kobiety tak mocno, że zostawiają sine ślady. – Gadaj!

– Tak, proszę pana – potulnie szepcze Helen.

– Co tak?

– Potrafię mówić.

– Bardzo dobrze.

Künde puszcza ją i uśmiecha się do mnie.

– Powinien być pan zadowolony, komendancie.

Spoglądam w oczy kobiety i napawam się jej przerażeniem. Owszem, powinienem być z niej zadowolony.

– Witaj, Helen – odzywam się z przesadną kurtuazją. – Witaj w piekle. Możesz się tu rozgościć.

47.

Dokładnie o osiemnastej pięćdziesiąt siedem wychodzę ze swojego gabinetu. Wszystkie rozkazy są podpisane, raport wymaga jedynie ostatnich szlifów, a korespondencja została przejrzana. Muszę odpowiedzieć jeszcze tylko na jeden list, ale mogę to zrobić w nocy. Czasem słowa lepiej płyną przy kieliszku czegoś mocniejszego.

Szybkim krokiem przemierzam korytarz i zwracam uwagę na panującą w willi doskonałą ciszę. Gdy nie przyjmuję gości, służba ma obowiązek zachowywania się, jakby jej nie było. Mam jej w ogóle nie zauważać.

Punktualnie o dziewiętnastej zasiadam do stołu i natychmiast w jadalni zjawia się Helen. Zastawa została przygotowana już wcześniej. Co istotne, kobietę zapewne poinformowano o moich ulubionych srebrnych sztućcach z monogramem, o ustawieniu talerza oraz obowiązkowym świeczniku. Lubię światło świec.

– Dobry wieczór, panie komendancie.

Helen podchodzi do stołu, stawia wazę po mojej prawej stronie i zaczyna nalewać zupę do mojego talerza. Widzę, że trzęsie się jej dłoń, więc stara się nabierać nie do końca pełne chochle.

– Nie rozlej – warczę.

– Oczywiście.

Dłonie zaczynają drżeć jej jeszcze mocniej, ale jakimś cudem udaje się jej nie uronić choćby kropli zupy. Odkłada chochlę do wazy, dyga i kieruje się do wyjścia.

– Drugie danie będę jadł natychmiast po zupie – oznajmiam, sięgając po łyżkę.

Czasem robię piętnastominutową przerwę, ale teraz chcę wypróbować Helen. Jestem ciekaw, czy wszystko zdążyła przygotować na czas. W jej ruchach widzę strach, lecz nie zdenerwowanie. Mając pewne doświadczenie w kontaktach z więźniami, łatwo dokonać tego rozróżnienia.

– No, już, odejdź. Chcę zjeść.

Helen wychodzi i nabieram łyżkę zupy. Jest dobra. Naprawdę dobra, aromatyczna i nie za gorąca. Dokładnie taka, jaką lubię. Błyskawicznie pochłaniam cały talerz, po czym ocieram usta serwetą. Jak na znak w jadalni ponownie pojawia się Helen. Pośpiesznie zabiera talerz i przynosi dwie misy z drugim daniem. Sztukę smażonego mięsa oraz ziemniaki zalane zielonym sosem. Tym razem zaczynam jeść, gdy kobieta wciąż znajduje się obok.

– Dobre – rzucam oschle. – Jesteś może zawodową kucharką?

– Nie, panie komendancie.

– Powinnaś być.

– Dziękuję.

Przełykam kęs mięsa i dostrzegam Ralfa, mojego doga, przemykającego korytarzem. Zapewne goni zwabiony jakimś zapachem.

– Ralf! – wołam go, a pies natychmiast, merdając ogonem, wpada do jadalni. Kładzie łeb na stół, całkowicie ignorując obecność Helen.

– Daj mu wygotowane kości – nakazuję.

– Kości?

Przenoszę wzrok na pokojówkę i pochylam głowę.

– Wygotowane kości – cedzę. – Moje psy na kolację zawsze dostają wygotowane kości pozostałe z przygotowywanych posiłków.

– Ale ja… Wyrzuciłam je, panie komendancie. Przepraszam… Nie wiedziałam, że…

Nagle pycha tej nędznej Żydówki wyprowadza mnie z równowagi. One zawsze czegoś nie wiedzą lub tylko tak gadają. I uwielbiają przepraszać. Ogarnia mnie nagła, bezgraniczna wściekłość. Zrywam się od stołu i uderzam w niego dłonią tak mocno, że brzęczą naczynia. Ralf cofa się, cicho powarkując.

Jednym susem dopadam do Helen. Chwytam ją za kark i ciskam na ziemię, lecz kobieta nie upada. Zataczając się, odskakuje na bok. Spogląda na mnie przerażonym wzrokiem. Z całej siły uderzam ją w policzek tak, że rozcinam skórę. Szarpię ją za fartuch i powalam na podłogę. Kopię ją w brzuch oraz piersi. Kobieta kuli się, starając unikać kolejnych razów, jednak te spadają na nią coraz szybciej. Nie potrafię się opanować. Nie chcę się opanowywać.

– Dlaczego… – Helen łka, usiłując coś powiedzieć. – Dlaczego mnie pan bije? – bełkocze. – Proszę…

– Biję cię, bo miałaś czelność zapytać, dlaczego cię biję![6] – wrzeszczę. – Rozumiesz?

Dyszę z wysiłku i zaciskam zęby. Jeszcze kilkukrotnie kopię Helen gdzie popadnie, wreszcie odwracam się, po czym sięgam po stojącą na barku butelkę wina. Odkorkowuję je i wypijam potężny łyk. Kobieta usiłuje wykorzystać chwilę. Zaczyna się czołgać, a potem na czworaka kieruje się ku drzwiom. Jednocześnie nie przestaje skomleć i płakać. Z jej policzka na podłogę spływa krew.

– Masz zawsze wykonywać moje polecenia – rzucam, nie odwracając się w jej stronę. – Rozumiesz?

– Tak jest, panie komendancie – szepcze.

– Dobrze. – Nalewam wino do kieliszka i zerkam na nie pod światło. W świetle świecy płyn ma piękną rubinową barwę. – A teraz posprzątaj ten bałagan. No, szybko, szybko!

Wracam do stołu i zaczynam jeść. Jestem piekielnie głodny.

48.

Pobudzenie z kolacji zostało we mnie do późnej nocy. Nie ukoił go ani alkohol, ani lektura, ani powolne odpisywanie na listy. Żydzi potrafią solidnie zepsuć humor. Nie można odmówić im tego rzadkiego talentu. Wścieka mnie, że mogą mieć na mnie tak istotny wpływ. A ta Helen… Aż szkoda, że kobieta o tak ładnej twarzyczce pochodzi z tego obrzydliwego plemienia.

Myśli mi się plączą, ale senność wciąż nie przychodzi. Po omacku szukam włącznika światła i zapalam lampkę. Budzik Junghansa wskazuje osiem po czwartej. Bywają noce, kiedy nie śpię nawet przez chwilę, i zapowiada się, że dziś również taka będzie. Gniewnie obracam się z boku na bok, po czym zerkam w stronę okna. Na dworze z pewnością jest jeszcze zupełnie ciemno. Obóz zacznie tętnić życiem dopiero za ponad godzinę. Powinienem ograniczyć tym sukinsynom porcję snu.

Naciskam umieszczony przy łóżku przycisk. W głębi domu rozlega się dźwięk dzwonka, ale poza nim nadal panuje cisza. Naciskam przycisk raz za razem, przecinając noc ostrym brzęczeniem.

– Co jest, do diabła! – warczę.

Siadam na łóżku i zapinam guziki koszuli. Dyszę z wściekłości. Nie wiem, czego chcę od pokojówki, lecz powinna się stawiać na każde moje zawołanie. Powinna przybiec z wywieszonym językiem i wyrazem szczęścia na twarzy, że może zacząć dzień od patrzenia na moją gębę. To cholerny zaszczyt dla tego pomiotu.

Poprawiam koszulę i wstaję z łóżka. Ponownie uderzam w guzik dzwonka. Tym razem przytrzymuję go tak, że dźwięk niesie się po całej willi przez trzy, cztery, pięć sekund. Puszczam go i wydaje mi się, że gdzieś z głębi budynku dobiega mnie dźwięk kroków.

Pośpiesznie zakładam bryczesy, po czym zaczynam zapinać guziki nad kostką. W tym samym momencie rozlega się odgłos pukania.

– Wejść! – nakazuję ostro.

Do pokoju sztywnym krokiem wmaszerowuje mój adiutant. Jest zaspany i ma potargane włosy.

– To ty? – dziwię się. – Gdzie są te żydowskie kurwy?

Mózg podoficera pracuje jeszcze na zwolnionych obrotach i dopiero po chwili w jego oczach widzę błysk zrozumienia. Najwyraźniej myślał, że coś mi się stało, że tak wściekle przyzywam służbę.

– Pokojówka otrzymała polecenie przychodzić tu tylko w ciągu dnia, panie komendancie – wyjaśnia zaspanym tonem. – Stwierdził pan, że nie chce spać pod jednym dachem z Żydówką.

– Ja? Naprawdę tak powiedziałem?

Przygładzam spodnie i się prostuję.

– Nakażcie jej być na każde moje zawołanie i przygotujcie dla niej pokój – rozkazuję. – Jeśli zażyczę sobie, by w środku nocy zaśpiewała mi kołysankę, ma się natychmiast pojawić. Inaczej zastrzelę te wszystkie suki.

– Tak jest, panie komendancie. Natomiast teraz… Czy mogę w czymś pomóc? Czego pan potrzebuje?

– Potrzebowałem… – Zawieszam głos i staram się sobie przypomnieć. Wreszcie macham ręką, po czym sięgam ku stojącej na szafce nocnej butelce koniaku. Jest kwadrans po czwartej. – Nie wiem. Już nie pamiętam.

Upijam łyk wprost z butelki i z powrotem kładę się do łóżka. Nie rozbieram się już.

– Chcę zasnąć – cedzę. – Czy to tak wiele?

49.

Spoglądam w pogodne niebo i wystawiam twarz do słońca. Wreszcie nadszedł pierwszy naprawdę ciepły dzień. W taką pogodę zawsze lubiłem przechadzki w górach. Zastanawiam się, czy nie pojechać w Tatry, aby pospacerować tutejszymi szlakami. Obawiam się jednak, że ta nędzna namiastka Alp jedynie mnie rozczaruje.

– Ralf! – przywołuję doga, który natychmiast zjawia się u mojego boku. Głaszczę go po karku i grzbiecie. Pies z wdzięcznością ociera się o mnie łbem. – Dobry Ralf, dobry…

Przechadzam się między szeregami drewnianych baraków, z których zdaje się wypełzać gęsty, obrzydliwy smród. Większość więźniów opuściła je i wykonuje prace, do których została odkomenderowana. Co za piękny dzień…

Dwóch żołnierzy porusza się za mną jak cienie, pozostając w gotowości na zastrzelenie każdego, kto chciałby się do mnie zbliżyć. To zbędny środek bezpieczeństwa, ale takie obowiązują tu reguły. „Regułom należy być ślepo posłusznym, wtedy łatwiej jest wspinać się na olimpijskie szczyty”. To zdanie padło w kuluarach ostatniego spotkania partyjnego i utkwiło mi głęboko w pamięci.

Z długiego budynku szwalni dobiega gwar pracy. W ostatnich tygodniach niemal trzykrotnie zwiększyliśmy wydajność produkcji. Na skutek rozmaitych wypadków zginęło lub zostało rannych prawie dwudziestu więźniów, ale to nie stanowi problemu. Przynajmniej inni nauczyli się, że należy być bardziej ostrożnym. Właściciele kolejnych fabryk zwracają się do mnie z prośbą o udostępnienie robotników oraz zakładów produkcyjnych. „Wszystko jest kwestią dogadania się" – powtarzam niezmiennie.

Dogadujemy się. Na moje konta regularnie trafiają coraz większe sumy, mimo to wiem, że kierownictwo SS nie powinno mieć z tym żadnego problemu. Nie szkodzę państwu, a wręcz przeciwnie, umożliwiam jego dalszy rozwój. Dlaczego miałbym przy tym nie zarobić?

A jeśli te pytania są potwierdzeniem rodzących się wątpliwości? Pal diabli. Nie mogę tracić czasu na tak bzdurne myśli. Wątpliwości należy natychmiast odsuwać od siebie i działać z całą stanowczością.

Moją uwagę zwraca kobieta stojąca na drabinie i myjąca okna baraku administracyjnego. Ralf zwietrzył jej zapach. Podnosi głowę, głęboko wciąga powietrze, a jego nozdrza się wydymają.

– Dobry pies – ponownie go chwalę. – Ale spokojnie, do nogi.

Powoli podchodzę w stronę baraku, nie spuszczając z oczu kobiety. Zdaje się, że wciąż nas nie spostrzegła, a mimo to wykonuje swoją pracę z ogromną pilnością. Wyżyma szmatę, strzepuje ją i moczy w ustawionym na podpórce wiadrze. Przeciera szyby ściereczką do sucha tak, by nie zostały na nich mazy. Przeciąga się, rozciągając zmęczone niewygodną pozycją mięśnie.

– Imię i nazwisko! – rzucam, stając kilka metrów od drabiny.

Zaskoczona kobieta odwraca się gwałtownie i w ostatniej chwili, by nie upaść, chwyta bok drabiny.

– Jedenaście sześćset…

– Nie interesuje mnie numer. Pytam o imię i nazwisko.

– Helen Sternlicht.

Uśmiecham się i zakładam dłonie za plecy. Kolejna Żydówka.

– Helen… Co za zbieg okoliczności – szepczę. – No, teraz już chyba nie mam wyjścia.

Słysząc moje słowa, kobieta zaczyna się trząść jak osika. Nie wie, czy powinna zejść z drabiny, czy na niej pozostać. Jej i tak blada twarz staje się niemal kredowobiała. Jedynie usta odcinają się intensywną czerwienią.

– Będziesz moją pokojówką – oznajmiam obojętnym tonem. – Za godzinę staw się do mojej willi. Poznasz swoje nowe obowiązki, które radzę ci wykonywać równie starannie jak tutaj.

Odwracam się i, głaszcząc Ralfa po grzbiecie, odchodzę.

– Dobry pies. Bardzo dobry.

Po zaangażowaniu do pracy drugiej pokojówki, Amon Göth zaczął nazywać Helen Hirsch Horowitz Leną, a Helen Sternlicht – Susanną. Uważał to za doskonały żart.

50.

Pogoda sprawiła, że mam naprawdę dobry humor. Cieszy mnie też odnalezienie jeszcze jednej dobrej pokojówki, która będzie czekała na każdy mój rozkaz w dzień i w nocy. Helen… Co ci Żydzi mają z tym imieniem?

Proszę jednego z asystujących mi żołnierzy, aby odprowadził Ralfa do willi i kieruję się ku zakładom szewskim. Cała produkcja oraz naprawa skupia się w trzech prostokątnych barakach z wygospodarowanym oddzielnym podwórzem. To na nim składowane są towary, suszone skóry oraz inne niezbędne tworzywa.

Pogwizdując, kieruję się do wejścia. Nagle ze środka dobywa się tumult i wiem, że więźniowie zostali właśnie ostrzeżeni, że się zbliżam. Gdy podchodzę do progu, ktoś otwiera drzwi, a kapo pręży się jak struna. Przechodzę obok niego zupełnie obojętnie i zanurzam się w tonącym w półmroku wnętrzu. Okna są wysoko i do środka wpada niewiele światła. Aż dziw, że ci ludzie mogą w tych warunkach tak precyzyjnie pracować.

Około sześćdziesięciu osób ustawia się w czterech szeregach, regulaminowo trzymając pod pachami czapki i gnąc się w pozycji przypominającej półukłon osoby stojącej na baczność. Jednocześnie wszyscy odwracają wzrok.

– Dwuszereg – mówię tak cicho, że kapo musi czytać to z ruchu moich warg. Więźniowie nie słyszeli moich słów i teraz czekają na jego rozkazy.

– Dwuszereg! – nakazuje natychmiast.

Kilkudziesięciu więźniów z niemal wojskową sprawnością zmienia ustawienie. Prężą się w dwuszeregu, spuszczają głowy i wbijają wzrok w podłogę. Towarzyszący mi podoficer podąża za mną krok w krok. Dostrzegam, że niektórzy więźniowie trzęsą się jak rażeni febrą. Inni usilnie starają się schować za stojącymi przed nimi.

– Co za piękny dzień, prawda? – zwracam się do ogółu. – Nie sądzicie?

Uśmiechając się, przechodzę wzdłuż szeregu i patrzę w kolejne twarze. Więźniowie za wszelką cenę usiłują nie rzucać mi się w oczy. Mam nieodparte wrażenie, że momentalnie w pomieszczeniu gęstnieje smród potu oraz strachu. Już chyba wam wspominałem, że strach ma swój własny, niepowtarzalny aromat. Uwielbiam go.

– Dziś można mieć naprawdę dobry humor. Wszystko temu sprzyja – ciągnę, przechadzając się w tę i we w tę. – Błękitne niebo, delikatny ciepły wiatr, wiosenne powietrze. Czujecie to? Wszyscy powinniśmy mieć dziś dobry dzień. Mam nadzieję, że rezultaty waszej pracy

przekroczą dziś normę, a w wyrobach nie trafi się żadna wadliwa partia. Tak, tak… Wiem o nich. Ale dość mówienia o tym i zamartwiania się błahostkami.

Staję naprzeciw więźniów i powoli unoszę dłoń.

– Ty, ty i ty – wskazuję kolejno. – Tak, o was chodzi. A także ty i ty.

Mierzę palcem w więźniów, którzy nieśmiało zerkają na mnie z nadzieją. Czasem typowałem całe grupy, którym w geście litości pozwalałem na pewne fuchy. Lepsze traktowanie, mniej pracy, więcej odpoczynku. Dziel i rządź – nie macie pojęcia, jak bardzo pozostali więźniowie potrafili znienawidzić tych, którzy zostali wyróżnieni.

Dziś mam ochotę na coś innego. Niezmiennie dopisuje mi humor, a uśmiech nie znika mi z twarzy. Odwracam się do podoficera i spoglądam mu w oczy.

– Odprowadzić ich do fortu i rozstrzelać – rozkazuję obojętnym tonem. – W nagrodę za ostatnią wadliwą partię butów.

Nie mówiąc nic więcej, kieruję się do wyjścia. Pozostawiam za sobą krzyk oraz błagania.

Świadkowie relacjonowali o wielu podobnych wizytach Amona Götha w różnych zakładach na terenie obozu. W ich trakcie losowo wyznaczał osoby, które miały zostać stracone.

51.

– Ralf, do nogi!

Dog posłusznie przybiega do mnie i siada, wyczekując pochwały. Głaszczę go, po czym rzucam mu ochłap mięsa. Pies natychmiast pożera cały kawał.

– Chcesz jeszcze?

Ralf merda ogonem, dając mi do zrozumienia, że nadal jest głodny. Żałuję, że nie wziąłem ze sobą butelki koniaku. Mam ochotę się napić, a jednocześnie lubię spędzać czas, trenując doga.

– Niedługo wrócę – rzucam, po czym odwracam się do adiutanta. – Nakarm go.

Obchodzę willę i zerkam w stronę obozu. Jest tuż po piątej rano, a z głównego placu dobiegają dźwięki apelu. Niedługo rozpocznie się kolejny dzień pracy. W nocy znów nie mogłem zasnąć, jednak nie czuję zmęczenia. Do bezsenności, jak do wszystkiego, można się przyzwyczaić.

Dziś czeka mnie kilka spotkań oraz rozmowa z przedsiębiorcami. Choć obóz pęka w szwach, zapotrzebowanie na robotników jest coraz większe. Otwierane są kolejne zakłady pracy, lecz pojawiają się głosy, że Rzesza nie będzie w stanie pokrywać wszystkich wydatków. Zamówienia spadają. Nasze wojska na froncie wschodnim cofają się, a całe dywizje idą do piachu. To ogranicza popyt na sprzęt oraz mundury. Oficjalnie sytuacja nie jest zła, ale większość „zorientowanych" zdaje się nie mieć wątpliwości, że wojna wymyka się nam spod kontroli. Te myśli zawsze wprawiają mnie w przygnębienie. Staram się je odgonić, lecz towarzyszą mi, gdy przemierzam korytarze willi.

Wchodzę do gabinetu i podchodzę do wieszaka, na którym jest mój świeżo wyprasowany mundur. Krzywię się ze złości. W bladym świetle poranka dostrzegam zagięcie na spodniach.

– Niech ją szlag – syczę. – Niech szlag trafi tych żydowskich nierobów.

Pośpiesznie zbiegam na dół i wpadam do pokoju dla służby. Susanna, czyli Helen Sternlicht, natychmiast wstaje z drewnianego stołka i wbija we mnie zalęknione spojrzenie. Nigdzie nie widzę jej towarzyszki.

– To ty prasowałaś mój mundur? – pytam ostro.

Kobieta delikatnie kiwa głową.

– Odpowiadaj!

– Tak, panie komendancie.

– Widziałaś, jak jest pogięty?

– Ja…

Nie pozwalam jej skończyć. Chwytam ją za włosy i ciskam na podłogę. Kobieta cicho jęczy, ale się nie opiera. Klnąc, wlokę ją ku schodom. Waży może czterdzieści kilo, więc mogę nią rzucać niczym szmacianą lalką. Jej członki uderzają o kolejne stopnie i Susanna zaczyna płakać, lecz nie zwracam na to uwagi.

– Przepraszam… – łka. – Panie komendancie…

– Jak śmiesz!

Jednym szarpnięciem stawiam ją na nogi i dostrzegam, że pokojówka ma podarty fartuch. Z jej nóg cieknie krew. Kuli się, spodziewając się, że uderzę ją w twarz.

– Zrobiłaś to umyślnie? – pytam, wskazując na mundur. – Przyznaj się!

– Nie, nie… Błagam… Już to poprawiam…

Chwytam mundur i zrzucam go z wieszaka. Bluzę ciskam w stronę pokojówki.

– Jeśli znajdę na nim choćby jedno zagniecenie, zabiję cię. Rozumiesz?

Ciężko dysząc, sięgam po butelkę napoczętego koniaku i wychodzę z gabinetu. Sytuacja na froncie jest zła, bo wszędzie szerzy się defetyzm. Nie mogę pozwolić, by w moim otoczeniu dokonywano sabotażu.

– Najpierw mundur, potem cała armia… – bełkoczę. – Trzeba z tym skończyć. Raz na zawsze!

Wybiegam z willi na dwór i niemal wpadam na jednego z podoficerów. Po wyrazie jego twarzy wyczytuję, że nie ma dobrych wieści.

52.

– Mamy uciekiniera, panie komendancie. Brakuje jednego więźnia… Uciekł i nie wiemy, gdzie jest.

Podoficer mówi szybko i nieskładnie, jakby chciał zagadać ewentualny wybuch mojej wściekłości. Ma stężałe rysy twarzy, a na jego czole perli się pot. Od kilkunastu tygodni nikt nawet nie usiłował uciekać z obozu.

– Sektor? – pytam krótko.

– Trzeci. Barak „C", ten kwadratowy, z więźniami z ostatniego transportu.

– Wackman! – krzyczę, przyzywając adiutanta. Gdy ten się zjawia, niemal natychmiast nakazuję mu, by przygotował psy.

Kilka minut później Ralf oraz Rolf otrzymują do powąchania czapkę, którą uciekinier zostawił na pryczy. Z uniesionymi wysoko ogonami zaczynają przemierzać podwórze. Prowadzący ich żołnierze muszą się nieźle wysilić, by dogi się nie zerwały.

– Szukajcie, szukajcie, pieski! – ponaglam zachęcającym tonem. – Dalej, dalej!

Strażnicy wygrywają na alarm, wszystkie bramy obozowe został zamknięte, a więźniowie nie mogą opuszczać baraków. Oddelegowani zostają jedynie ci do najpilniejszych prac, które nie pozwalają na przestój.

– Szukajcie, szukajcie!

Podążam za psami ze swoim karabinem przerzuconym przez ramię. Jeżeli zobaczę cień przemykający pod którymś z baraków, natychmiast do niego wystrzelę. Z Płaszowa nikt nie może uciec. Nikt bez mojej zgody nie wydostanie się stąd inaczej niż kominem lub nogami do przodu.

Psy zaczynają cicho powarkiwać. Poruszają ogonami i strzygą uszami. Zdaje się, że jesteśmy coraz bliżej zbiega.

– Ralf, Rolf, bierzcie, bierzcie! – Cicho klaszczę i zrównuję się z żołnierzami trzymającymi dogi. – Puśćcie je. Niech biegną.

Żołnierze posłusznie zwalniają smycze, a psy rzucają się pędem między barakami. Nasza kilkuosobowa grupa szybko podąża za nimi. W tym momencie podekscytowanie jest we mnie silniejsze od złości. Czuję się jak na polowaniu, gdy pogoń zbliża się do zwierzyny. Żałuję, że nie poszedłem do stajni po swojego konia. Mógłbym urządzić prawdziwe polowanie na terenie obozu, w którym zwierzyną byliby więźniowie. Ten pomysł na moment zaprząta mi umysł.

– Tam są! – Jeden z żołnierzy przyspiesza i wskazuje ku podwórzu między barakami.

Dogi, warcząc, dopadły do czegoś i teraz wściekle ujadają.

– Cholera… – syczę, widząc, że na ziemi leży bluza więzienna. Na dach baraku, o jeden z występów, zarzucona jest długa lina. Zbieg musiał wspiąć się po niej, a następnie jakimś cudem uciekać po najbliższych budynkach.

– Szukajcie, szukajcie! – nakazuję psom, lecz mimo naszych wysiłków te nie łapią już tropu. – Niech to szlag!

Żołnierze oraz kilka osób towarzyszącego mi personelu są przerażeni. Widzą, że narasta we mnie dzika furia. Otwartą dłonią uderzam w drewnianą ścianę tak, że ta aż trzeszczy, i głośno klnę. To z pewnością nie jest wina Ralfa i Rolfa. Psy wykonały swoją robotę tak, jak potrafiły najlepiej. Ale treser… Z nim policzę się w swoim czasie.

– Prowadźcie mnie do baraku, w którym mieszka zbieg – nakazuję, zapominając, że już pytałem o jego położenie. – Natychmiast! Nadal przeszukujcie obóz i strzelajcie do każdego, kto zbliży się do ogrodzenia.

Wściekle sycząc, ruszam za podoficerem, który przyniósł mi rano tę nędzną wiadomość. Może urządzanie takich polowań nie byłoby takie złe? Staram się doszukiwać zalet całej sytuacji i wychodzi mi to na tyle dobrze, że się mimowolnie uśmiecham. W pewnym momencie zaczynam się wręcz głośno śmiać.

53.

– Wszyscy wstać!

Słyszę kolejne rozkazy barakowego, po których rozlega się szelest i szmer pośpiesznych ruchów. Adiutant otwiera przede mną drzwi, po czym, dudniąc podkutymi butami o drewniane schody, wchodzę do środka. Macham dłonią, pragnąc odegnać smród zaduchu.

Kilkudziesięciu więźniów stoi wyprężonych, jak zawsze ze spojrzeniem wbitym w podłogę. Cisza jest tak zupełna, że słychać brzęczenie muchy tłukącej się o okno. Wszyscy czekają na mój ruch.

Odchrząkuję i zaczynam przechadzać się przed przerażonymi więźniami. Nagle zatrzymuję się przed jednym z nich.

– Czy wiedzieliście o planach zbiega? – pytam cierpko.

– Nie, przyrzekam, że nie!

Uderzam więźnia pięścią w twarz. Ten krzywi się, lecz zaraz pokornie prostuje.

– Nie prosiłem o przyrzeczenia, tylko o odpowiedź – cedzę, po czym podchodzę do kolejnego. – I nic o tym nie wiedzieliście?

– Nic, panie komendancie!

– Czy zostawił jakieś rzeczy osobiste?

– Tylko czapkę.

Z ukontentowaniem kiwam głową. Poufale klepię więźnia po ramieniu i się uśmiecham.

– Dziękuję. Właśnie takiej szczerości oczekiwałem.

– Tak jest, panie komendancie.

– Czy ktoś ma pomysł, gdzie nasz zbieg mógł się schować albo dokąd ucieka? – pytam ogólnie. – Cokolwiek, co mogłoby pomóc w poszukiwaniach?

Jeden z więźniów porusza się nieśmiało.

– Tak? – pytam, zwracając się w jego stronę.

– On wyjątkowo chciał zająć się pracą w pralni. Być może usiłował wykorzystać wozy transportujące ubrania poza obóz?

Łysy więzień z siwymi brwiami międli w dłoniach czapkę. Ma wyciągniętą bluzę, która odsłania jedno pokrzywione, chude ramię. Wydaje się, że było niedawno połamane lub zranione.

– Dziękuję. – Uśmiecham się i ponownie kiwam głową.

– Ktoś jeszcze?

Kilku kolejnych więźniów rzuca krótkie sugestie. To domysły lub czyste farmazony nastawione tylko na to, by mi się podlizać. Doskonale zdaję sobie z tego sprawę. Mimo to cierpliwie wysłuchuję wszelkich uwag, starając się wychwycić te ewentualnie przydatne.

Zbieg z nikim nie rozmawiał od wielu dni.

Zbieg nie miał przyjaciół.

Zbieg był samotnikiem.

Zbieg sprawiał wrażenie szaleńca.

Wiem, po co to mówią i dlaczego starają się zrobić wszystko, aby podkreślić brak jakiegokolwiek ich związku z uciekinierem. Spotykałem się z tym, a większość z więźniów nie jest w obozie od wczoraj. Poza tym zdaje się, że moja renoma staje się coraz powszechniej znana. Pochlebia mi to. Nie zamierzam tego ukrywać ani zrobić czegokolwiek, aby utracić należny szacunek.

– No dobrze… – Wymownie wzdycham. – Czy to wszystko?

W baraku ponownie zapada całkowita cisza. Tym razem nawet mucha nie obija się o szybę. Czekam sekundę, dwie, trzy, po czym

ostentacyjnie zerkam na zegarek. Kiwam głową, dając do zrozumienia, że wszystko jest dla mnie jasne.

Bez słowa kieruję się do drzwi. Adiutant usłużnie je przede mną otwiera, a za plecami słyszę kilka odetchnięć. Ktoś odkasłuje, a ktoś inny podpiera się o jakiś drewniany przedmiot, który trzeszczy.

– Powieście dziesięciu więźniów z tego baraku – rzucam, nie odwracając się. – Na środku placu apelowego. I nie ściągajcie ich trucheł, dopóki same nie zgniją i nie odpadną.

Stukając butami, zbiegam po schodkach[7].

54.

Opuchnięte, powykrzywiane twarze wisielców patrzą na mnie z niemym wyrzutem. Ich wargi są obrzmiałe, języki wywalone, a policzki sinofioletowe. Wiatr delikatnie nimi porusza. Trąca ich pieszczotliwym dotykiem. Poezja. Czasem nachodzą mnie myśli, które dobrze byłoby spisać. Teraz jest jedna z takich chwil i żałuję, że nie mogę zostać tu dłużej.

Wzywają mnie obowiązki. Mimo to nie potrafię się powstrzymać. Przechodzę jeszcze kilkukrotnie tuż pod drewnianymi słupami, z których dyndają zwłoki. Wiem, że przyglądają mi się dziesiątki par oczu i cieszy mnie to. Niech wiedzą, że jestem z śmiercią za pan brat. Niech mają mnie za diabła, Szatana lub demona. Niech się boją.

Ponownie się zatrzymuję i spoglądam wprost w twarz więźnia, który kilka godzin temu starał się mi najbardziej przypodobać. Żydowska, donosicielska gnida. W ten sposób powinien skończyć każdy z więźniów, gdy tylko przestanie być przydatny dla systemu. Taki był pierwotny zamysł Globocnika i wiem, że kilkukrotnie z Lublina kontaktował się z Berlinem, by wdrożyć ostateczny plan w życie. Zawsze coś stawało na przeszkodzie.

Cóż. Obracam się w stronę zachodu. Letnie popołudniowe słońce przyjemnie pada mi na twarz. Przymykam oczy i wsłuchuję się w dźwięki obozu. Z warsztatów drukarskich dobiega cichy stukot prasy, to zakład, który działa najdłużej. Większość więźniów jest już w barakach, a niebawem nastanie cisza nocna. Za plecami słyszę odgłos szybkich wojskowych kroków.

Odwracam się i dostrzegam wysokiego młodziutkiego Oberscharführera zmierzającego w moją stronę. Nie pamiętam jego imienia, ale wiem, że całkiem dobrze ujeżdża konie. I potrafi sporo wypić. Poza tym jego twarz ginie wśród dziesiątek innych przewijających się w scenerii obozu.

Oberscharführer salutuje i podaje mi telegram.

– Przekazano, że to wiadomość istotnej wagi – melduje służbowym tonem. – Uznałem, że przekażę go, nim uda się pan do willi, komendancie.

– Dobrze zrobiłeś.

Uśmiecham się do tego młodzieńca i wiem, że robię to dokładnie w taki sam sposób, w jaki uśmiechałem się dziś do podlizujących mi się więźniów. Mimo to wiem też, że różni ich wszystko. Karcę się w myślach za samo porównanie niemieckiego podoficera i grup zawszonych Żydów.

Rozkładam kartonik z wiadomością i zaczynam czytać. To krótki rozkaz wysłany wprost z Berlina. Oberscharführer przygląda mi się z zaciekawieniem. Zapewne, jak wielu z żołnierzy, niepokoi go sytuacja na Wschodzie i myśli, że telegram być może wiąże się właśnie z nią.

– Dziękuję – odzywam się, składając ponownie kartonik. Nie zamierzam zaspokajać jego ciekawości. – Możecie odejść.

Powściągam uśmiech ekscytacji.

55.

Powierzone mi zadanie zlikwidowania getta w Tarnowie poczytuję za najlepszy dowód uznania dla moich dotychczasowych zasług. Katowice, Lublin, Kraków… Doświadczenie wykute w tych miastach zapewne czyni mnie jednym z niewielu profesjonalistów w tej delikatnej materii.

Jest drugi września czterdziestego trzeciego roku. Mój mercedes powoli sunie przez wąskie tarnowskie uliczki. Nieco znudzony obserwuję okolicę. Coraz bardziej brzydzą mnie te zagubione w czasie małe polskie miasteczka. Gdyby nie Austro-Węgry, nie byłoby tu niemal niczego. Czasem nawet żałuję, że nie możemy podtrzymać spuścizny habsburskiej i być zjednoczeni pod austriackim sztandarem. Część Niemców jest nadmiernie obcesowa, a co gorsza, ma poczucie wyższości względem Austriaków. Jednak teraz to jest nieistotne. Czasem moje myśli umykają ku dziwnym zagadnieniom…

Mercedes przejeżdża przez punkt kontrolny, dwóch strażników salutuje w moją stronę, a chwilę później z warkotem silnika gnamy dalej. Zgodnie z moim poleceniem dokładnie w południe wszyscy mieszkańcy mieli stawić się na głównym placu getta – placu Magdeburskim. Zerkam na zegarek i zdaję sobie sprawę, że niemal dochodzi pierwsza, ale przecież taki był plan. Z pompą mają mnie przyjąć jedynie żydowskie władze.

Zwalniamy i dostrzegam przestrzeń między niskimi kamienicami. Spory plac wypełnia kilka tysięcy osób. Poubieranych w łachmany, wychudzonych i brudnych. Z odrazą patrzę po brodatych, umorusanych twarzach, po strzępach ubrań i niemal nagich dzieciach. Z jednego z budynków zwiesza się ogromna flaga ze swastyką, pod nią stoi kilkunastu żołnierzy Wehrmachtu. Mercedes zatrzymuje się tuż obok wyprężonego dowódcy, który wznosi dłoń w hitlerowskim salucie.

Mój adiutant otwiera drzwi i powoli wychodzę z auta. Obojętnym gestem odpowiadam na powitanie, po czym rozglądam się wokół.

– Będziemy mieć tu sporo roboty – oznajmiam cierpko. – W raportach wspominano o nie więcej niż ośmiu tysiącach mieszkańców getta.

– Trudno oszacować liczbę tego tałatajstwa. – Porucznik Wehrmachtu jest wyraźnie zmieszany. – Mniej niż połowa posługuje się kartą pracy, reszta to dzieci, starcy i niedołęgi.

Kiwam głową i odwracam się w stronę stłoczonego na placu tłumu. Natychmiast przemyka po nim jęk. Domyślam się, że zostałem rozpoznany i nie zostało to przyjęte zbyt entuzjastycznie.

– Rozpocznijcie selekcjonowanie – rozkazuję.

– Na podstawie kart?

– Nie. Na podstawie bezpośredniej oceny. Dzieci, słabowici, chorzy na jedną stronę, a na drugą tylko ci najzdrowsi.

Porucznik z entuzjazmem ponownie salutuje.

– Coś jeszcze, panie Hauptsturmführerze?

– Tak. – Odruchowo zakładam dłonie za plecy i przyglądam się zebranym. – Ogłoście, że wszyscy zostaną skierowani do Płaszowa, lecz selekcja jest niezbędna ze względu na warunki transportowe.

– Tak jest!

– To będzie długi dzień… – szepczę. – Pośpieszcie się.

Odruchowo chcę otrzeć pot z czoła, lecz to jest całkowicie suche.

56.

W ciągu kilkudziesięciu minut do getta wkroczyło prawie dwustu żołnierzy. Po krótkiej naradzie z oficerami wskazałem podstawowe cele do zrealizowania przed zachodem słońca oraz możliwe trudności.

Miałem nadzieję, że Judenrat będzie współpracował do końca, lecz zdaje się, że mieszkańcy getta stracili do niego jakikolwiek szacunek. Wbrew upomnieniom na ulicach zapanował chaos. Z balkonu jednej z kamienic przyglądam się mozolnie przebiegającej akcji.

Jak zwykle najszybsze postępy czynią nasi ukraińscy sojusznicy, a oczyszczany przez nich teren tonie w kłębach dymu. Zewsząd dobiegają wrzaski i krzyki, co chwilę zagłuszane seriami z karabinów. Skoro Żydzi nie mieli wątpliwości co do swojego losu, niewarte było tracić czasu na grę pozorów. Wydałem rozkaz eliminowania wszystkich opornych. Chciałbym jednak, aby getto zostało oczyszczone równie starannie, jak to w Krakowie.

Ruchem dłoni przywołuję porucznika Wehrmachtu i, wychylając się za balustradę balkonu, wskazuję na główny plac.

– Zgrupujcie tam dwustu najzdrowszych, najsilniejszych mężczyzn – rozkazuję.

– Tak jest. Czy mamy ich później poprowadzić do pociągu?

– Nie. Mają pozostać na miejscu do wieczora, a potem posprzątają trupy. Nie chcemy tu przecież jakiejś zarazy, prawda?

Porucznik z uznaniem kiwa głową. Zapewne w ogóle się nad tym nie zastanawiał.

– Poza tym wasi ludzie muszą przyśpieszyć działania – stwierdzam. – Jest już prawie czwarta, a nie widzę niemal żadnych efektów selekcji…

– Żydzi się opierają, panie Hauptsturmführerze. Mamy wiele problemów…

– Problemów? Słyszę o tym od dwóch godzin i nie widzę rozwiązań.

– Co pan proponuje?

Niedoświadczenie tego chłopaczka zaczyna mnie irytować. Nic dziwnego, że cały front wschodni się załamuje, jeśli oficerami zostają ludzie nieprzejawiający ani krztyny inicjatywy i niepotrafiący podjąć żadnych zdecydowanych kroków.

– Czy moje rozkazy nie były jasne? – warczę. – Dzieci, starzy, niedołęgi na jedną stronę placu, reszta na drugą. Opornych zabić.

– Ale… – Porucznik się krzywi. – Niemal nikt dobrowolnie nie odpowiedział na nasze wezwanie, musimy sprowadzać ich siłą. Najwięcej problemu jest z rozdzielaniem rodziców oraz dzieci. Może chociaż je zachowamy przy matkach?

Patrzę na porucznika spode łba. Sama sugestia wydaje mi się kwestionowaniem mojego rozkazu. Jednak ten nieopierzony małolat najwyraźniej nie potrafi się zdobyć na stanowczość.

– Dowodzenie wymaga dawania przykładu, rozumie pan, poruczniku?

– Tak, ale… panie Hauptsturmführerze…

Mam dość jego skomlącego tonu. Wchodzę do kamienicy i daję znać przybocznym SS-manom, by podążyli za mną. Wychodzę z opróżnionego mieszkania, po czym zbiegam po schodach. Wypadam na dwór. Zaciągam się powietrzem przepełnionym odorem dymu oraz nadpalonych ciał.

57.

Sztywnym krokiem maszeruję ku bocznej uliczce. Widzę w niej kotłowaninę ludzkich ciał, mundurów i szmat. Zdaje się, że właśnie stamtąd dobiega największy tumult. Pojedyncze strzały nie mogą uspokoić opierającej się masy.

– Co tu się dzieje?! – warczę do sierżanta stojącego za plecami kilku żołnierzy. – Dlaczego oni nadal nie są na placu?

Sierżant prostuje się i ociera pot z czubka nosa. Jego oczy są wybałuszone i przekrwione, a wargi pobielałe.

– Nie chcą się rozdzielić. – Kiwa głową w stronę grupy dorosłych ściskających lub zasłaniających ciałami kilkuletnie dzieci. – Chcą

jechać razem.

– Chcą, chcą, chcą… – cedzę.

Przeciskam się między żołnierzami i wyciągam z kabury pistolet. Góruję nad większością zebranych w pobliżu osób. Wolną ręką chwytam ośmio-, może dziesięcioletnią dziewczynkę, i wyrywam ją z rąk matki. Jakiś brodaty Żyd pada przede mną na kolana, wznosząc błagalne spojrzenie. Kopię go w podróbek tak mocno, że z ust natychmiast tryska mu krew. Jednocześnie kątem oka dostrzegam, że matka dziewczynki ponownie usiłuje wziąć ją na ręce.

– To są wasze problemy? – zwracam się do sierżanta.

Nim ten odpowiada, kilkukrotnie pociągam za spust. Kule trafiają matkę oraz dziecko. Dziewczynka pada na ziemię i odwraca ku mnie pełne zaskoczenia, niedowierzające spojrzenie. Jej wzrok szybko gaśnie, a ciałem wstrząsa dreszcz.

Momentalnie tłum wokół się rozstępuje. Mierzę pistoletem w kolejne osoby, które unoszą dłonie, odrywając je od dzieci. Przerażone, zwierzęce spojrzenia tego bydła napawają mnie radością. Nie mogę się powstrzymać przed oddaniem kolejnych strzałów. Dwie kule trafiają w pierś szczupłego ciemnowłosego chłopca, a kolejna roztrzaskuje szczękę stojącego obok niego mężczyzny. Krew obryzguje stłoczonych wokół starców, którzy cofają się, depcząc grupkę małych dzieci.

– Czy tak trudno jest rozwiązywać problemy? – warczę, przekrzykując tumult. – Wydaje mi się, że nie ma nic prostszego.

Gnany wściekłością, strzelam do kolejnego chłopca wtulonego w pierś matki. Spoglądam w oczy kobiety i oddaję strzał prosto w jej pierś. Dwudziestokilkulatka wytrzeszcza oczy, osuwa się na kolana, a potem pada twarzą na bruk.

– To akt łaski! – wrzeszczę, potrząsając pistoletem. – Rozumiecie?! Nie chcę, żeby te dzieci żyły bez matek, więc zabijam ich oboje!

Oddaję kolejne strzały, dopóki nie kończy mi się amunicja w magazynku. Tłum w panice rozbiega się na boki, lecz kolejne komendy żołnierzy przywołują tę skłębioną masę do porządku. Panikę wywołaną strzałami można opanować jedynie, przestając strzelać. To prawda, której nauczyłem się w praktyce. Rzucam wściekłe spojrzenia na ponownie gęstniejący tłum. Ludzie karnie zaczynają się rozdzielać i zostawiać płaczące dzieci. Depczą po ciałach leżących na bruku i ślizgają się we krwi, jakby nagle pogrążyli się w bezdennej apatii. Jak najgorsze bydło.

Uzupełniam magazynek i przeładowuję pistolet. Ktoś błagalnie wyciąga ku mnie dłonie, lecz nie bacząc na to, mierzę mu prosto w pierś. Moje spojrzenie przez moment krzyżuje się ze wzrokiem siwiutkiego, zapadniętego w sobie mężczyzny o niesamowicie ciemnych oczach. Starzec przymyka je i wstrzymuje oddech. Uśmiecham się, muskam palcem spust, lecz nie oddaję strzału. Szkoda amunicji na kogoś, kto za kilka godzin i tak trafi do krematorium.

58.

Tarnów jest miastem wolnym od Żydów. Mogę to ogłosić, podobnie jak uczyniłem to w Krakowie i w Lublinie. Z getta wyszło kilkanaście kolumn marszowych, które obserwowałem w drodze na dworzec.

Jest tuż po dziesiątej w nocy. Zakręcam wodę i wychodzę z wanny. Owijam się ręcznikiem, po czym kieruję się na balkon hotelu, w którym zostałem zakwaterowany. Osobiście prosiłem o hotel, a nie koszary. Nie wiem, dlaczego budynki przystosowane dla wojska, obwieszone proporcami i sztandarami wprawiają mnie w przygnębienie. Nie lubię też wojskowej kuchni. W hotelach natomiast wciąż można zjeść całkiem porządnie.

– To niebezpieczne – przestrzegał mnie Ernst Krammer, ów młody porucznik Wehrmachtu. – W mieście wciąż grasują rozmaite bandy.

– Nie boję się, bo nie mam kogo się bać.

Ta odpowiedź wprawiła Krammera w zdumienie, lecz uznał, że nie będzie ciągnął tematu. Kazał uprzedzić właściciela hotelu o moim przybyciu i gdy zjawiłem się na miejscu, już czekał na mnie największy z apartamentów oraz niedostępne zazwyczaj potrawy.

Przeczesuję mokre włosy palcami, po czym wychodzę na balkon. Jest dość ciepła wrześniowa noc. Spoglądam na kamienice naprzeciw, w ciemne niebo, a potem w stronę dzielnicy żydowskiej. Ponad dachami domów nadal unoszą się mgiełki dymów, a gdzieniegdzie wydaje się, że strzelają języki ognia. Nie słychać już żadnych krzyków ani wystrzałów. Jutro żołnierze mają raz jeszcze starannie przeczesać okolicę. Nauczony doświadczeniem, jestem przekonany, że Żydzi zrobili wiele kryjówek oraz schronów, w których ich niedobitki pochowały się jak szczury.

W powietrzu wciąż wyczuwam zapach spalenizny, choć może to być jedynie złudzenie. Wracam do pokoju i zamykam drzwi balkonowe. Zrzucam ręcznik, po czym nago kieruję się prosto do łóżka. Rzucam się na materac, a sprężyny jęczą pod moim ponad stukilogramowym ciałem. Gaszę lampkę nocną i nabieram głęboko powietrze. Kładę dłonie za głowę, zastanawiając się, czy w pokoju jest jakikolwiek alkohol, lecz zdaję sobie sprawę, że dziś zasnę bez niego. Po raz pierwszy od dawna już przed północą kleją mi się oczy. Szczęśliwy, owocny dzień potrafi ukoić do snu.

„Dokonania" Amona Götha podczas likwidacji getta w Tarnowie potwierdzają zeznania wielu świadków. Według różnych relacji w trakcie akcji miał osobiście zamordować co najmniej kilkadziesiąt osób, w tym przede wszystkim kobiety oraz dzieci.

Do obozów w Auschwitz, Płaszowie oraz Bełżcu wywieziono około ośmiu tysięcy Żydów. Kilkuset pozostawiono na terenie byłego getta, aby uprzątnąć zwłoki blisko dwóch tysięcy osób zamordowanych w trakcie jego likwidacji.

59.

– Halo?

– Mówi Koch, z obozu w Szebni.

– W czym mogę panu pomóc?

– Wiem, że ma pan układy. To znaczy, że może pan skontaktować się z samą górą.

Enigmatyczny język zastępcy komendanta jednego z obocznych obozów podległych pod Płaszów daje mi do myślenia. Jest siódma rano, a telefon określono jako szczególnie pilny. Rzeczywiście Koch wydaje się mocno podenerwowany.

– Nie jestem w stanie nad tym wszystkim zapanować. Trzykrotnie przekroczyliśmy pierwotnie planowaną liczbę osadzonych.

– Tak, wiem o pańskich problemach – stwierdzam. Rzeczywiście zapoznałem się z nimi w jednym z raportów, ale nie miałem czasu nic zrobić. Przed trzema dniami powróciłem z Tarnowa do swojej willi i wciąż pozostaję w stanie euforycznego pobudzenia. Zapewne pomaga w tym sprowadzony specjalnie dla mnie koniak. – Rzeczywiście liczba więźniów okazała się niedoszacowana.

– Ci ludzie nie mają prycz, baraki są przepełnione, a nastroje koszmarne. Mam zbyt małą załogę, żeby opanować ewentualne rozruchy.

Słowo „ludzie” sprawia, że się krzywię. Przez chwilę milczę, przyciskając słuchawkę telefonu do ucha.

– Tak, rozumiem. Zapewnienie właściwych warunków leży w żywotnym interesie Rzeszy.

– Czy mogę spodziewać się jakichś działań?

– Oczywiście.

– Może przetransportować część więźniów do innych obozów? To pomogłoby polepszyć sytuację…

– Tak, rozważę to.

– Dziękuję, panie Hauptscharführerze. Bardzo dziękuję.

Odkładam słuchawkę i odchylam się w fotelu. Przez pewien czas zbieram myśli, wreszcie ponownie sięgam do telefonu. Proszę centralę o połączenie z Berlinem. Mam jasny plan, który muszę jedynie właściwie uzasadnić.

60.

Jest dwudziesty pierwszy września czterdziestego trzeciego roku. Wpisuję tę datę do kalendarza oraz dziennika korespondencji. Otwieram kopertę, po czym z ukontentowaniem czytam rozkaz. To odpowiedź na mój plan „polepszenia warunków bytowych więźniów podobozu koncentracyjnego Płaszów-Szebnia". Zgoda na transport została wyrażona. *Heil Hitler*.

Dwie godziny po odebraniu rozkazu jestem w drodze do Szebni. Mercedes podskakuje na nierównościach, a kierowca nerwowo rozgląda się na leśnym odcinku drogi. Dostrzegam to i lekceważąco się uśmiecham.

– Tu nie ma żadnych polskich band – rzucam. – Wszystkie skończyły w piecach. Swoją drogą piece to najlepszy element odstraszający.

– Tak jest, panie Hauptscharführerze.

Przez kolejny kwadrans nie zamieniamy nawet słowa. W aucie panuje pełna napięcia cisza, która pozwala mi zebrać myśli i delektować się wybornym koniakiem. Tak naprawdę nigdy się nie interesowałem sytuacją panującą w tej okolicy, lecz dobry alkohol podnosi akceptację dla każdego rozwoju wydarzeń. Nawet jeśli miałoby się jutro nie otworzyć oczu. Myśli mi się plączą, lecz dzięki temu czas upływa mi zdecydowanie szybciej. Nawet nie odnotowuję, kiedy znaleźliśmy się na miejscu. Z zadumy wyrywa mnie dopiero szarpnięcie zatrzymującego się mercedesa.

Koch oczekuje na mój przyjazd w bramie obozu. Jest szczupłym, wysportowanym mężczyzną po czterdziestce. Nosi doskonale zadbany mundur oraz wysokie buty do jazdy konnej. Od razu przypada mi do gustu. Wymieniamy oficjalne powitania, po czym ramię w ramię ruszamy w stronę baraków.

– Dookoła, zdaje się, są doskonałe tereny jeździeckie – mówię, patrząc w dal, za zasieki. – Czy lubi pan konne przejażdżki?

– To coś, co pozwala mi doskonale odpocząć – odpowiada Koch. – Utrzymuję dwa wspaniałe rumaki.

– W takim razie musimy się kiedyś spotkać w terenie.

Jeszcze przez chwilę rozmawiamy to o tym, to o tamtym, nie zbaczając na tematy formalne. Wymiana zdań przebiega naprawdę przyjemnie, tym bardziej że Koch niemal natychmiast częstuje mnie cygaretkami oraz calvadosem. Chwalę jego gust, starając się zapamiętać, że przy kolejnej okazji również powinienem zamówić ten doskonały francuski trunek.

– Mam dobre wieści – oznajmiam wreszcie. – Nawet bardzo dobre.

Siedzimy jedynie we dwóch w niewielkim gabinecie urządzonym w baraku administracyjnym. Słońce przyjemnie oświetla jedną ze ścian oraz nagrzewa drewno, przez co w środku przyjemnie pachnie. Koch wbija we mnie zainteresowane spojrzenie, lecz powstrzymuje się

przed dopytywaniem. Po chwili kurtuazyjnie uzupełnia kieliszki i odkłada cygaretkę do rżniętej w bursztynowym szkle popielniczki.

– Wszystko idzie po naszej myśli. – Zakładam nogę na nogę i strzepuję drobinki błota z cholewy. – Akcję luzowania pańskiego obozu możemy zacząć jeszcze dziś.

Koch wyraźnie jest pod wrażeniem. Upija łyk calvadosa i pochyla się w moją stronę.

– Przetransportujemy więźniów?

Kiwam głową.

– Dostałem zgodę na zajęcie się siedmioma setkami z nich, co powinno wyraźnie zwolnić miejsce w pańskim obozie.

– Zdecydowanie!

– Będę potrzebował dwudziestu lub trzydziestu strażników oraz nadzorców, aby uniknąć chaosu. Więźniów wyprowadzimy w jednej kolumnie.

– Wszystkich siedmiuset?

Wymownie zacieram dłonie.

– Tak, wszystkich.

– Czy na stacji czekają już składy? Zostaną przetransportowani do Auschwitz, prawda?

– Nie, panie komendancie. – Uśmiecham się i puszczam oko do Kocha. – W lesie o trzy kilometry stąd wytypowałem dogodne miejsce do przeprowadzenia egzekucji. Berlin zatwierdził mój plan.

61.

Koch ma tylko jedną wątpliwość. Obawiałem się, że będzie się upierał przy transportowaniu siedmiuset więźniów do innych obozów, co oczywiście nic by nie dało, ale mogłoby opóźnić sprawę. Tymczasem

mój pomysł zdaje się przypadł mu do gustu. Jedyne pytanie, które padło z jego ust, brzmi: „Co zrobimy z ciałami?”.

Na wszystko byłem przygotowany. Dwie godziny po mnie do obozu przybyły ciężarówki z niezbędnym sprzętem. Kierowcy już wcześniej otrzymali ode mnie szczegółowe instrukcje, gdzie i o której godzinie mają się udać.

Z rękoma w kieszeniach spoglądam na kolumnę kilkuset więźniów maszerujących przez las. Kilku obozowych dostało wytyczne, którędy ją prowadzić. Teren jest delikatnie pagórkowaty, a od lewej strony ogranicza go droga, którą poruszają się ciężarówki. Drzewa są już prawie nagie. Ziemię wyścieła kolorowy dywan liści, których gnijący intensywny zapach aż przytyka. Przy każdym kroku szeleszczą, przywodząc wspomnienia zabaw z dzieciństwa…

– Jeszcze? – dopytuje mnie krzepki Scharführer.

Kiwam głową.

– Tak.

Kolejni żołnierze zerkają na mnie w napięciu. Ciężarówki zwalniają, lecz nie zatrzymują się. Scharführer daje gestem znać, by kierowcy zakręcili tak, jak prowadzi ubity leśny dukt. Kolumna więźniów ma około stu pięćdziesięciu metrów, a na jej tyle oraz przodzie maszerują grupy podległe bezpośrednio wybranym przez nas kapo.

Zerkam na zegarek, po czym sięgam po mapę. Jest wygnieciona, więc rozkłada się dokładnie na fragmencie, który mnie interesuje.

– Niech się zatrzymają! – nakazuję. – Stać!

Scharführer unosi dłoń i ciężarówki niemal natychmiast się zatrzymują. Kolumna więźniów również. Wiodę spojrzeniem po kolejnych twarzach, na których rysuje się zaskoczenie, obawa, ciekawość… Odkąd wymaszerowali z obozu, nie zrobiliśmy jeszcze ani jednej przerwy, więc liczą, że wreszcie chwilę odpoczną. Są wśród nich starcy oraz dzieci, a także kilku niedołężnych i chorych.

Teraz wszystko rozgrywa się błyskawicznie. Z ciężarówek wyskakują żołnierze i nim więźniowie rozluźniają szeregi, pada pierwsza seria strzałów. Na ziemię natychmiast wali się kilkaset ciał. Kolejne salwy trajkoczą jedna po drugiej, bez rozkazu.

Na twarzach wciąż żywych więźniów teraz widzę tylko przerażenie i nieme, tak dobrze mi znane pytanie „dlaczego?". Szeroko otwarte oczy, rozszerzone nozdrza, krople krwi znaczące policzki… Nikt nawet nie próbuje uciekać. Jedynie podległe kapo grupy, prowadzone na początku i końcu kolumny, nieco się cofają. Tych kilkudziesięciu osób strzały miały nie dosięgnąć. Wobec nich mam inny plan.

Nagle nastaje cisza. Przerywają ją jedynie ciche jęki niedobitków kulących się na ziemi. Żołnierze chodzą między zwłokami i dobijają wciąż żyjących. Padają już tylko pojedyncze strzały, jednak wkrótce i one milkną. Nie szeleszczą nawet liście, jakby również oczekiwały na moje rozkazy.

– Niech ich zakopią – rzucam, odwracając się w stronę najbliższej ciężarówki. – Dość marnowania amunicji. Jeżeli zobaczą kogokolwiek żywego, niech go wrzucą do dołu i zasypią go żywcem.

– Tak jest.

– A potem…

Nie kończę. Wymieniam z Scharführerem porozumiewawcze spojrzenia, a ten na potwierdzenie, że wszystko pojął, kiwa głową.

– Tak jest.

Z niespełna siedmiuset Żydów wyprowadzonych z obozu w Szeniach stracono przeszło pięciuset. Około setki miało zająć się ich pochówkiem lub spaleniem ciał. Następnie i ci zostali zamordowani. Nielicznych pozostałych na miejscu niebawem skierowano do prac mających na celu zatarcie śladów istnienia obozu. Mieli rozebrać baraki oraz pomóc w przetransportowaniu obszernego archiwum do Płaszowa.

62.

Budzę się i ze zdziwieniem stwierdzam, że jestem w sypialni swojej willi w Płaszowie. Nie wiem, dlaczego wydaje mi się, że to nie jest mój dom. Że to nie jest miejsce, w którym powinienem być tego poranka.

Cholera. Jak długo spałem? Budzik Junghansa wskazuje, że jest kilka minut po szóstej. Położyłem się o trzeciej, ale nie mogłem zasnąć, więc, o ile dobrze poszło, zamknąłem oczy na dwie godziny. Pieprzona polska codzienność.

Podnoszę się z łóżka i zerkam na stojącą na biurku odkręconą butelkę koniaku. Wstaję, po czym sięgam po nią. Upijam wielki łyk, po którym wierzchem dłoni ocieram usta. To jedyne przyjemności, na jakie sobie pozwalam, więc po co je ograniczać? Picie bywa doskonałym sposobem na rozbudzenie i na zaśnięcie. Na życie…

Biorę jeszcze jeden łyk. Narzucam jedwabną francuską bonżurkę – prezent od któregoś z podwładnych i kieruję się do gabinetu. Na dworze jest jeszcze prawie zupełnie ciemno. To dobrze, gdyż pierwsze promienie słońca mnie rażą, dlatego wolę wstawać przed świtem. Wtedy oczy powoli przyzwyczajają się do światła.

Popycham drzwi do gabinetu i kilkukrotnie mrugam. W kącie wciąż pali się lampka z abażurowym kloszem oraz chromowaną podstawą. Popijając w nocy, długo pracowałem nad dokumentami. Przygotowywałem ostatnie raporty dotyczące likwidacji kilku mniejszych obozów podległych Płaszowowi. Zdaje się, że i na nas niebawem przyjdzie czas, ale wolę na razie o tym nie myśleć. Nie ma potrzeby zaczynać dnia od ponurych dywagacji.

Wiodę wzrokiem po pustych, umytych przez pokojówkę szklankach, po opróżnionej do połowy butelce i zatrzymuję go na stercie akt. Na nie przyjdzie jeszcze czas. Mimo to od razu tracę humor.

– Cholera…

Podchodzę do giętego drewnianego wieszaka i sięgam po mundur. Wydaje mi się, że na rękawie bluzy dostrzegam zagięcie.

– Znowu… – cedzę, uderzając pięścią w ścianę. – Znowu! Susanna! Susanna!

Krzyczę i naciskam dzwonek przywołujący służbę. Dyszę z wściekłości, gdy w progu staje Helen, Susanna czy jak jej tam. Ma napiętą twarz, a jej splecione dłonie drżą niczym rażone apopleksją. Skinieniem głowy wskazuję na wieszak.

– Widzisz to zagięcie? Znowu to zrobiłaś.

Robię dwa długie kroki w stronę kobiety i bez ostrzeżenia uderzam ją pięścią w skroń. Pokojówka zatacza się, po czym pada na kolana. Wznosi ku mnie błagalne spojrzenie. Uderzam ją ponownie, tym razem kolanem w podbródek. Jej głowa odskakuje do tyłu, jak piłka.

– Musisz ponieść karę – syczę. – Musisz nauczyć się pilności!

Mój kolejny cios wymierzony pięścią trafia ją w prawe ucho. Kobieta wydaje z siebie ciche westchnięcie i upada na bok. Oddycha, ale nie jest w stanie się podnieść. Z jej ucha wycieka gęsta, ciemna krew. Powoli spływa po szyi i skapuje na podłogę.

– Musisz to posprzątać – dyszę. – Wstawaj!

Chwytam ją za rękę, po czym gwałtownie podnoszę niczym lalkę. Kobieta ledwie trzyma się na nogach.

– Sprzątaj! – wrzeszczę, a ona pada na kolana i rąbkiem koszuli zaczyna ścierać plamy.

Tego dnia w wyniku urazu na skutek pobicia Helen Hirsch Horowitz utraciła częściowo słuch. Nigdy nie powróciła do pełni zdrowia.

63.

Mam naprawdę zły humor. Nie wiem, czy trwa to od dzisiejszego poranka, czy kolejny dzień. Ostatnie dni i noce zlewają się w jedno. Przerwami są krótkie przejażdżki konne lub mercedesem po terenie obozu. Właściwie nie mam pojęcia, czy dziś odbyłem jedną z nich. Jestem piekielnie zmęczony. Jestem wyczerpany i zniechęcony.

W towarzystwie dwóch oficerów idę między barakami. Mieliśmy dokonać inspekcji, lecz wiem, że sama nasza obecność wystarczy, by wokół zapanował wzorowy porządek. Trzaskają okna, dudnią kroki, ludzie wychylają się zza węgłów budynków, byle tylko przekazać kolejnym członkom łańcuchów obserwacyjnych, gdzie jesteśmy. Zapewne donoszą też o naszych humorach oraz wyrazach twarzy. Z tego wszystkiego starają się wyczytać swoją przyszłość. To niemal jasnowidztwo albo religia. Widzą w nas bogów.

W tym momencie jest półgodzinny czas wolny przeznaczony na posiłek. Część osób odebrało swoje porcje z kuchni, część jest zebrana w barakach, a część na głównym placu. Jednym z moich pierwszych zaleceń było nieustanne pozostawienie drożnych przejść między budynkami. Choćby po to, abym, mknąc mercedesem, o nikogo go nie uszkodził.

Grupa więźniów na bocznym placu nachyla się nad porcjami jedzenia. Nie ma go wiele, lecz zdaje się, że czymś dzielą się między sobą. Ktoś daje im znać w ostatnim momencie i momentalnie stają na baczność. Prężą się z czapkami wciśniętymi pod pachy. Wiem, że w tym momencie żołądki przewracają się im na drugą stronę i myślą jedynie o jedzeniu. Zatrzymuję się, po czym przez chwilę się im przyglądam.

– Czy nie są za grubi? – pytam towarzyszących mi oficerów na tyle głośno, by więźniowie mnie usłyszeli. – Nie sądzicie, że są potwornie tłuści?

– Słyszałem, że racje żywnościowe w Oświęcimiu zostały ograniczone – odzywa się jeden z moich towarzyszy. – W obozach na

terenie Rzeszy również.

– Chyba powinniśmy rozważyć podjęcie konkretnych działań.

Kiwam głową i jeszcze przez chwilę przypatruję się więźniom. Choć wciąż wyprężeni, wydaje się, że z każdym słowem kulą się coraz bardziej. Przypominają ubrane w łachmany szkielety, ale jestem przekonany, że ci gnoje mają tak mocną wolę przetrwania, że wytrzymaliby nawet ograniczenie porcji o jedną trzecią. A Rzesza sporo by na tym zaoszczędziła. I ja przy okazji.

Gdzieś z oddali dobiega mnie cichy śpiew. Nie rozumiem słów, ale słyszę go całkiem wyraźnie.

– Co to? – pytam, zapominając o grupce więźniów. Kieruję się w stronę, skąd dobiega rzewna melodia.

Na kolejnym placu z tyłu baraku siedzi kilka osób. Pośród nich jest nastoletni chłopiec, który śpiewa jakąś rosyjską piosenkę. Nie widzi mnie. Rozanielony własnym głosem, zamknął oczy i nie zwraca uwagi, że jego towarzysze poderwali się z miejsc.

Słucha się go z przyjemnością. Nie jestem wielkim pasjonatem muzyki, lecz potrafię docenić czyjś talent. Zawsze potrafiłem. Muzyka trafiała prosto do mojego serca, jak trafia do serca każdego wykształconego człowieka.

Nagle chłopiec milknie. Gwałtownie się odwraca i momentalnie podrywa na nogi. Spuszcza głowę, starając cofnąć się w stronę towarzyszy.

– Ma ładny głos, prawda? – pytam, splatając ręce na piersi. – To rosyjska piosenka?

– Tak, panie komendancie – odpowiada chłopiec kulawą niemczyzną.

Wymownie wypuszczam powietrze. Rozkładam dłonie i szeroko się uśmiecham.

– W takim razie musimy cię zastrzelić – oznajmiam, udając zmartwienie. – Takie są zasady, a ja cholernie dbam o ich

przestrzeganie. Przykro mi, mój drogi.

64.

– Powiesimy ich razem – stwierdza Karl Otman, jeden z dowódców komanda strażników.

Popycha na ziemię przede mną niskiego, drobnego człowieka w obozowym pasiaku. Mężczyzna patrzy na chłopca, a potem na mnie. Ma nic nierozumiejące, ponure spojrzenie.

– To inżynier – wyjaśnia Otman. – Znaleziono przy nim plany obozu. Prawdopodobnie szykował ucieczkę lub chciał w niej pomóc.

– Uciekinier… – szepczę.

Prawdę mówiąc, mało mnie obchodzi, za co miałby zostać stracony ten człowiek. Liczy się jedynie przedstawienie, prawda? Przedstawienie oraz siła oddziaływania na pozostałych więźniów.

– Śmierć. – Tym jednym słowem zatwierdzam dwa wyroki.

W ciągu kilku minut na głównym placu obozu zostaje zorganizowany apel, a szubienice są gotowe do przeprowadzenia egzekucji. Chłopiec krzyczy i zaklina się, że nigdy nie był komunistą. Że nienawidzi rosyjskich piosenek ani niczego, co sowieckie. Jest żałosny. Sądzę, że ze strachu już popuścił, i odsuwam się, aby nie czuć od niego smrodu. Całą scenę w milczeniu obserwuje kilkuset więźniów. Inżynier jest natomiast całkowicie pogodzony ze swoim losem. Jedynie ze smutkiem zerka na młodego towarzysza swoich ostatnich chwil.

– Błagam, panie komendancie… Błagam! – Chłopiec zanosi się płaczem. Wyciąga ku mnie ręce, lecz dwóch strażników brutalnie go krępuje. Trzeci popycha go ku szubienicy. – Błagam…

Muszę nakazać zakładanie skazańcom knebli lub ucinanie języków. Jak bardzo nie cierpię tego skomlenia! Cofam się jeszcze o krok

i zakładam dłonie za plecami. Daję znać, że jestem gotowy.

– Wyrok w imieniu Rzeszy! – oznajmiam uroczystym tonem. – Za zdradę.

Papierami zajmę się później. Może nie wierzycie, ale wszystko musi odbywać się zgodnie z prawem, a wszystkie statystyki oraz rubryki niezmiennie zgadzać się ze stanem faktycznym. Żadna śmierć nie zostaje w nich przemilczana.

– On pierwszy. – Wskazuję na chłopca. – Niech ten inżynier patrzy.

Obserwuję grymas wykrzywiający twarz mężczyzny. Dziwi mnie, że przeraża go bardziej śmierć nieznajomego chłopca niż jego własna. Żydzi bywają naprawdę niezrozumiali.

– Zaczynać!

Strażnicy popychają malca ku szafotowi, gdzie natychmiast zostaje założona mu pętla. Choć chłopiec się wyrywa i szarpie, nic to nie może zmienić. Jego twarz na przemian jest pąsowa i całkowicie blada. Ciemne oczy zapadły się w głąb czaszki. Z nosa leją się smarki, które mieszają się ze strugami potu.

– Wykonać! – krzyczę, gdy strażnik daje znać, że pętla została już założona i zaciśnięta.

Malec chce coś krzyknąć, otwiera usta, lecz w tym momencie zapadnia otwiera się i… Szmer przetaczający się przez tłum, który powinien bezwzględnie milczeć, daje mi do zrozumienia, że coś poszło nie tak.

65.

– Błagam…

Chłopiec czołga się w moją stronę. Odpycha się łokciami od ziemi i pełza jak robak. Kawałek zerwanej liny zwisa z oplecionej wokół jego szyi pętli. Malec charczy i rzęzi. Mimo to pokracznie lgnie

w moją stronę. Niepowstrzymany przez nikogo dopada do moich wypolerowanych butów i zaczyna je całować. Jego dotyk mnie obrzydza.

Kopię chłopca w brzuch. Cofam się i z odrazą spoglądam na jego wykrzywioną przerażeniem twarz.

– Ty tchórzu – cedzę.

– Błagam…

Chłopiec wybucha kaszlem, stara się odwrócić na bok i spojrzeć mi w oczy. Co za cholerny gnojek!

„Jak śmiesz!" – tej myśli nie wypowiadam na głos. Rozbrzmiewa w moim umyśle, potęgując moją wściekłość. Jak to się w ogóle mogło wydarzyć? Wiodę spojrzeniem po strażnikach, po stojących w pobliżu więźniach, wreszcie zatrzymuję wzrok na inżynierze, który cały się trzęsie ze strachu. Jego oczy są wybałuszone, a z wargi spływa krew.

– Proszę… Niech mu pan daruje życie, komendancie…

Nie wiem, czy inżynier wypowiada te słowa, czy tylko mi się tak wydaje. Co za pieprzona, żałosna scena. Co za nędzne przedstawienie. Do tego więźniowie odważyli się szeptać, choć w trakcie egzekucji to całkowicie zabronione.

Jednym ruchem wyciągam pistolet z kabury i strzelam prosto w głowę chłopca. Jego mózg oraz fragmenty czaszki pokrywają ziemię na chwilę przed tym, jak zwala się na nią bezwładne nastoletnie ciało. W tym samym momencie dostrzegam, że inżynier usiłuje się wyszarpnąć strażnikom. Dobywa coś z jakiegoś schowka w pasiaku i bardzo głęboko rozcina sobie ramię. Wokół tryska krew, która obryzguje mundury stojących obok żołnierzy.

– Szlag… – syczę. – Powiesić go!

Przechodzę po ciele chłopca i sam chwytam inżyniera za pasiak. Nie pozwalam mu się wykrwawić. Nie umrze na swoich zasadach, lecz na zasadach, które ja tworzę. Nie zważając na bryzgającą

wszędzie krew, wlokę go ku szafotowi i z pomocą strażników wpycham jego głowę w przygotowaną pętlę.

– Mam nadzieję, że ta się nie zerwie – rzucam, spoglądając prosto w oczy przestraszonego młodzika. – Wykonać!

Inżynier wciąż żyje i się miota, gdy zapadnia się otwiera. Lina naprężа się, ciało mężczyzny się prostuje, jego stopy uderzają o siebie, a potem mięśnie wiotczeją. Szmer, który rozlegał się w tłumie, momentalnie cichnie. Cały obóz zdaje się tonąć w całkowitym milczeniu. Wiodę tryumfalnym spojrzeniem po kolejnych przerażonych, bladych twarzach.

Jestem panem życia i śmierci. Nikt nie umrze inaczej niż z mojego rozkazu. Te bydlęta muszą to sobie zapamiętać raz na zawsze. Spluwam na ciało chłopca i bez słowa odchodzę ku swojej willi. Wolnym krokiem. Teraz wiem, że niektórzy pozwalają sobie patrzeć. Nie protestuję.

Relacje z tego wydarzenia przekazało kilkoro świadków. Egzekucja odbyła się 3 sierpnia 1943 r. Inżynier nosił nazwisko Krautwirt, a chłopiec – Haubenstock.

66.

Helen, Susanna, czy jak jej tam, spogląda na mnie pokornym wzrokiem. Ma kilka sińców na policzkach, ale stara się zachowywać, jakby nic się nie stało. Od czasu do czasu jedynie jej twarz wykrzywia dziwny grymas. Ni to bólu, ni to spowodowany przez jakiś tik nerwowy. Wydaje się, jakby się krzywo uśmiechała.

Pociągam łyk koniaku i odstawiam butelkę na fornirowany czeczotą stolik. Spoglądam spode łba na służącą.

– Czy wszystko jest już właściwie poprasowane? – pytam, ponownie sięgając po koniak. Potwornie mnie suszy i wiem, że moje pragnienie może teraz zaspokoić jedynie alkohol.

– Tak, proszę pana.

– Czy mam zrobić inspekcję?

Susanna cofa się o krok i spuszcza głowę.

– Nie trzeba. Ale jeśli pan tego pragnie…

„Pan, pan, pan". Biorę kilka kolejnych łyków i z niezadowoleniem stwierdzam, że butelka jest niemal pusta. Głośno wypuszczam powietrze, po czym odwracam się ku schodom. Stoimy na piętrze willi, przed wejściem do mojego gabinetu.

– W piwniczce są skrzynie z nową dostawą wina. Wczoraj przywieziono je prosto z Burgundii. Wiesz, gdzie jest Burgundia?

– We Francji, proszę pana.

– We Francji – rzucam kpiącym tonem. – Francja to część niemieckiej przestrzeni życiowej, rozumiesz? Francja to nawet nie jest już pojęcie geograficzne.

– Tak.

– Co tak?

– Francja to nie jest już pojęcie geograficzne.

Susanna duka to zdanie, powtarzając po mnie jak papuga. Jest przerażona. Nie wie, jak powinna się zachować, byle mi dzisiaj nie podpaść.

– Przynieś mi butelkę – nakazuję i wkładam dłonie do kieszeni. – Natychmiast!

Kobieta pośpiesznie zbiega po schodach. Wpadające przez okno na korytarzu światło przez moment pada na jej biały fartuch. Susanna wygląda jak ciemnowłosy, zabiedzony anioł. Wsłuchuję się w stukot jej kroków, w jęczenie schodów i takty marsza wygrywanego na obozowym placu.

– Szybciej! – wrzeszczę ochrypłym tonem. – Szybciej!

Żydówka, dysząc, wbiega po schodach i podaje mi butelkę wina. Stara się przy tym nie patrzeć mi w oczy oraz trzymać się na dystans. Oglądam butelkę pod światło.

– Ma osad – stwierdzam, choć to nieprawda. Wino prezentuje się naprawdę nieźle. – Przynieś mi inne. Już, teraz! Na co się gapisz?

Kobieta przełyka ślinę, podwija fartuch i ponownie zbiega po schodach. Tym razem jej kroki dudnią znacznie głośniej i szybciej. Wraca już po kilkunastu sekundach z dwiema innymi butelkami.

– Jeśli pan sobie życzy wybrać…

– Czy pozwoliłem ci się odezwać? – warczę. – Poza tym czy kazałem ci przynieść jedną, czy dwie butelki?

– Jedną, ale…

Wybieram wino na chybił trafił i każę jej odnieść drugie do piwnicy. Nie idę jednak do gabinetu. Gdy tylko pokojówka, sapiąc, ponownie wbiega po schodach, kładę dłoń na kaburze.

– A teraz znów na dół! – rozkazuję. – I z powrotem do mnie.

– Czy… mam…

Zanim udaje się jej wydukać pytanie, kręcę głową.

– Nie chcę już więcej wina. Teraz masz biegać do piwnicy i z powrotem bez żadnego celu.

Susanna chce coś powiedzieć, lecz przezornie zaciska usta, po czym zbiega na dół. Zataczając się i podtrzymując poręczy, ponownie wbiega po schodach. Staje przede mną na baczność, a z jej ust dobywa się charkot.

– Jazda, jazda! – klaszczę. – Nie pozwoliłem ci przestać!

Przez kolejne minuty obserwuję, jak pokojówka zbiega i wbiega po schodach. Po każdej rundzie jest coraz bardziej zmęczona, ale mój pistolet skutecznie zmusza ją do wysiłku. Jej sapanie w piwnicy słyszę już nawet na górze. Mimo to nie robi przerw. Nie usiłuje mnie oszukać.

Obserwując gimnastykę Susanny, popijam wino prosto z butelki. Jest całkiem dobre, choć młode, przez co ma cierpki posmak. Do tego zdaje się dość słabe, ale to mi nie przeszkadza.

– Już… nie dam rady.

Pokojówka patrzy na mnie przekrwionymi oczami. Jej twarz pokrywa warstwa potu, który obkleił jej włosy oraz skapuje na fartuch. Wygląda żałośnie, niczym teatralna pacynka z bladą skórą i intensywnie czerwonymi pąsami na policzkach. Chwieje się.

– Jazda! – krzyczę, wyjmując pistolet z kabury. – Jazda!

Kobieta odwraca się w stronę schodów, robi krok, po czym nogi uginają się pod nią i wali się na podłogę. Jej ciałem wstrząsa dziwny dreszcz. Mimo to ma otwarte oczy i szybko oddycha.

– Dobrze, na dziś to koniec – oznajmiam, ruszając do gabinetu. – Dyscyplina to klucz do sukcesu. – Zatrzymuję się w progu i jeszcze raz zerkam na Susannę. – Dyscyplina, a przede wszystkim regularność ćwiczeń!

Kat z Płaszowa wielokrotnie nakazywał służbie domowej podobne „ćwiczenia", aż do momentu, gdy pokojówki mdlały na schodach.

67.

Bramę obozu przekracza transport matek z dziećmi. Jest ich około dwustu, niektóre trzymają na rękach niemowlęta, inne idą, ściskając dłonie swoich córek i synów. Cała kolumna porusza się w zaskakującym milczeniu, jakby składała się z duchów, a nie żywych istot.

To Żydzi zwiezieni z okolicznych miasteczek oraz wsi. Zgodnie z ostatnimi rozkazami nadesłanymi prosto z Berlina, ten fragment

świata ma zostać całkowicie oczyszczony z semickiej zarazy. Nie muszę mówić, jak gorliwie przystąpiliśmy do tego zadania.

Gdy kolumna jest już w całości w obozie, brama zostaje zamknięta, a na placu pojawia się kilkudziesięciu żołnierzy oraz strażników. Dzieci mają zostać oddzielone od matek. To mój plan oraz rozkaz, który nie podlega dyskusji. Nabyte doświadczenie nakazuje mi delektować się tą chwilą. Nie spodziewałem się jednak, że to niezdyscyplinowane bydło będzie próbowało się opierać. Gdy kobiety dowiadują się, że mają oddać swoje dzieci strażnikom, opierają się i protestują, niektóre krzyczą, inne wpadają w histerię, jeszcze inne błagalnie tarzają się po ziemi. Nie pomagają nawet strzały ostrzegawcze ani uderzenia karabinowych kolb.

– Cholera… – Obserwując zamieszanie, wściekle przestępuję z nogi na nogę.

Nie mogę sobie pozwolić na jakiekolwiek nieposłuszeństwo, na jakikolwiek chaos lub zamieszenie. Pozostali więźniowie nie mogą dowiedzieć się o tej scenie. Mimo to wydaje mi się, że po barakach niesie się szmer protestu, że nawet pracujący wolniej wykonują zadania. Cały świat zdaje się przypatrywać tej nędznej próbie upokorzenia mnie przez cholerne żydowskie kreatury.

– Choćby słowo, a macie strzelać! – wrzeszczę. – Za jakikolwiek krzyk i opór!

Gdzieś z boku pada pierwszy strzał, lecz nie uspokaja sytuacji. Na placu panuje coraz większy chaos, a strażnicy zaczynają się szarpać z kobietami. Nie wiem, skąd w nich tyle ducha walki i uporu, ale dawno się z tym nie spotkałem. Padają kolejne strzały, lecz krzyk jedynie się wzmaga. Dołącza do niego rozpaczliwy płacz otumanionych dzieci, które nie mają pojęcia, co się dzieje. Żydowskie bękarty mają ohydne, koźle głosy, niosące się echem po całym obozie.

– Horst! – przyzywam jednego z obozowych, którzy czekają na moje polecenia.

Mężczyzna pośpiesznie do mnie podbiega i pręży się na baczność. Wydaję mu krótki rozkaz, po czym pędzi ku budynkom administracyjnym.

Splatam ręce na piersi i przez kolejne sekundy przypatruję się obrzydliwej szamotaninie. Strażnikom udaje się oddzielić coraz więcej dzieci od matek, ale po placu wciąż niosą się krzyki oraz błagania. To tałatajstwo ma zostać spalone w krematoriach, a nie zamordowane na placu. Nie potrzebujemy zbędnego zawracania głowy i sprzątania. Nie potrzebujemy też świadków.

Nerwowo odwracam się ku budynkom administracyjnym. Dokładnie w tym samym momencie z jednego z nich wybiega Horst, a za nim wychodzi zarządca. Po chwili odzywa się sygnał trąbki i w ciągu kolejnej minuty na skraju placu ustawia się obozowa orkiestra. Wszyscy czekają na mój znak.

Ruszam w stronę grajków i staram się udawać, że cała sytuacja w ogóle mnie nie obchodzi. Zakładam dłonie za plecy, po czym odwracam się ku stłoczonym na placu kobietom.

– Grać piosenki dziecięce! – nakazuję ostro. – Szybciej!

Po chwili uzgodnień odzywają się pierwsze takty jakiegoś wesołego utworu. Dźwięk zagłusza krzyki oraz płacze. Dokładnie o to mi chodziło.

– Czy muzyka nie poprawia humoru? – pytam czekającego na kolejne rozkazy Horsta.

Mężczyzna nie odpowiada. Widać nigdy nie lubił muzyki albo nie ma już w nim ani krztyny dziecka. A to chyba na jedno wychodzi.

Rozdzielaniu matek od dzieci w Płaszowie, na żądanie komendanta, wielokrotnie akompaniowała orkiestra wygrywająca dziecięce piosenki.

68.

30 września 1943 r.

– Dzisiaj Rosz Haszana – stwierdza Sturmscharführer Kempke.

– Rosz Haszana? – zamyślony odrywam się od raportu i odkładam pióro. – O czym ty mówisz?

– Żydowski Nowy Rok. Szepczą o tym, jakby szykowali się do fiesty.

Spoglądam prosto w oczy tego sprytnego, młodego człowieka. Od wielu tygodni staram się, by towarzyszył mi w jak największej liczbie wykonywanych czynności i usiłuję go przyuczać do zadań związanych z kierowaniem obozem. Chciałbym stworzyć swojego następcę. Prawdziwy pan życia i śmierci zostawia po sobie spuściznę. Nie jest jedynie zarządcą, ale również ojcem – choć surowym i wymagającym. Ojcowie muszą mieć swoje dzieci.

To wszystko pokrętne myśli, być może pogmatwane przez wypity od rana alkohol, ale to nieważne… Jest mglisty jesienny dzień, który nastraja mnie wyjątkowo ponuro.

– Technicznie to pierwszy dzień kalendarza żydowskiego – wyjaśnia Kempke. – Ma upamiętniać stworzenie świata i rozpoczyna okres postu czy tam pokuty, trudno się z nimi dogadać… W każdym razie wiem, że w niektórych barakach te gnidy ukradkiem świętują.

– Świętują? – Odsuwam raport i z uśmiechem podnoszę się od biurka. – Niby jak?

– A bo ja wiem? Tego nikt nie odważy się zdradzić.

– Nie sądzę, żeby mieli z czego urządzić sobie ucztę.

Wymieniamy z Kempkem porozumiewawcze spojrzenia, po czym odruchowo przygładzam mundur.

– Złożę im życzenia – stwierdzam. – Niech ich zwołają na plac apelowy.

Czasem należy być dobrym ojcem nawet dla wyrodnych dzieci.

69.

Przechadzam się wzdłuż stojących w kilku szeregach więźniów. Są ich dwa, może trzy tysiące. Za mną dumnie kroczą Ralf i Rolf. Z tyłu maszerują SS-mani z karabinami, Kempke oraz kilku obozowych. Uśmiecham się. Chciałbym poczuć tę świąteczną atmosferę, ale nie potrafię. Jak dawno nie obchodziłem żadnych świąt…

Odchodzę na kilkanaście metrów, aby móc skupić na sobie uwagę większości zebranych. W ich postawie również nie widzę niczego świątecznego. Żadnych uśmiechów, żadnych gestów sympatii. Nic. Nieruchomy, złamany tłum widm.

– Macie mnie za nieczułego na wasze tradycje… – odzywam się głośno i wyraźnie. Wyciągam z kieszeni złożoną na pół kartkę, po czym rozkładam ją. – *Leszana towa tikatewu wetechatemu* – odczytuję. – Dobrze to wymawiam?

Wiodę wzrokiem po zbitym tłumie więźniów. Kilka głów podnosi się i rzuca ku mnie przelotne, pełne niedowierzania spojrzenia. Gdzieś z tyłu dobiega mnie cichy szmer szeptów.

– Powiedziano mi, że to znaczy: „obyście zostali zapisani i opieczętowani na pomyślny rok". Zgadza się?

Odpowiada mi jeszcze głośniejszy szmer, lecz nikt nie ma odwagi odezwać się wprost do mnie. Przynajmniej tego nauczyli się przez te miesiące nieustannego wdrażania dyscypliny.

– Nic z tego nie rozumiem – stwierdzam ponuro. – O jakie zapisanie i pieczętowanie chodzi? Może właśnie w tym tkwi problem naszych relacji? W niezrozumieniu?

Po tych słowach szmer nagle cichnie. Wszyscy niecierpliwie oczekują, co powiem dalej. Tymczasem ja, świadom, że skupiłem na sobie całkowitą uwagę zebranych, milczę. Pół minuty, może minutę.

Zerkam na Kempkego, który ze swoim zwykłym ironicznym uśmiechem odwzajemnia moje spojrzenie. Ukradkiem kiwa głową.

– Nieważne. – Lekceważąco macham dłonią i kładę ją na łbie Ralfa. Dog pręży się z zadowoleniem. – Nie muszę niczego rozumieć, ale życzę wam tych pieczęci i pomyślności. Skoro tak brzmią prawidłowe życzenia, wasz Bóg powinien ich wysłuchać, prawda?

Tym razem odpowiada mi nieco żwawszy szmer szeptów. Niektórzy więźniowie nerwowo się poruszają, inni ze spuszczonymi głowami stoją nieruchomo niczym kamienne słupy.

– Zobaczymy… – Wzdycham, po czym zacieram ręce. Odwracam się do obozowego. – Wybierzcie dwustu z nich i wyprowadźcie ich do lasu. Tam zapewnimy im huczne świętowanie w akompaniamencie wystrzałów. – Parskam, po czym zwracam się do tłumu: – A może wasz Bóg mnie powstrzyma?

Odpowiada mi kompletna cisza.

– Tak myślałem – szepczę sam do siebie.

70.

– Zasypujcie! – krzyczę. – Zasypywać!

Kilkudziesięciu więźniów w pasiakach stoi z łopatami w rękach i z bezgłośnym wyrazem buntu na twarzach. Wahają się tylko przez moment. Niemal jednocześnie, jakby przygotowywali się do tego przez całe tygodnie, przerzucają ziemię.

U ich stóp ciągnie się długi rów pełen ciał. Został już naniesiony na mapę przez moich współpracowników, aby w razie problemów w przyszłości łatwo go odszukać. Musimy być przygotowani na wszelką ewentualność.

Ziemia przykrywa leżących coraz grubszą warstwą. Część z nich jest martwa, ugodziły ich dwie salwy karabinowe, jednak zgodnie z wszelkimi regułami prawdopodobieństwa niektórzy muszą jedynie udawać zabitych. Teraz widzę ruszające się ciała i zastanawiam się,

o czym myślą te podłe gnoje. Jeżeli wstaną i rzucą się do ucieczki, z pewnością zginą. Jeżeli pozwolą się przysypać warstwą ziemi, mogą żywić nadzieję, że ta będzie na tyle cienka, że uda im się wydostać.

Nie uda im się – to mogę im zagwarantować, ale nie chcę tracić zabawy. Widzę, że więźniowie zasypujący dół starają się nie przerzucać zbyt dużo ziemi, dlatego z pistoletem w dłoni podchodzę w ich stronę.

– Więcej, więcej! – krzyczę.

Kapo tłumaczą moje słowa, choć przecież zostały doskonale zrozumiane. Na twarzach kopiących dostrzegam strach i zmieszanie, lecz przecież walczą teraz również o swoje życie. Nastoletni chłopak z zapadniętymi policzkami i oczami wielkimi jak pomidory wymiotuje. Mimo to nie przerywa nawet na chwilę pracy. Uśmiecham się.

Ciekawe, czy oni mają jeszcze jakąkolwiek nadzieję? Czy zasypując swoich półmartwych braci, synów i ojców, w ogóle chcą przeżyć?

Chcą – odpowiadam sam sobie. Widzę to w determinacji ich ruchów i w wyrazach twarzy. Co im po takim życiu? Już nigdy nie zapomną o tym, co tu robili. Zresztą nie pozwolę im tego rozpamiętywać zbyt długo.

– Kiedy tylko skończą, rozstrzelać ich – rzucam na tyle głośno, by przynajmniej część kopiących mnie usłyszała. – Zostawcie dziesięciu, którzy pochowają trupy. A potem ich również zastrzelcie.

Mimo że kapo nie tłumaczą tych słów, więźniowie ukradkiem powtarzają je między sobą. To dobrze. Obserwuję ich reakcję i nie potrafię przestać się dziwić. Chyba nigdy nie zrozumiem tego świata. A może to kwestia żydowskiej mentalności, która nie pozwala im w żaden sposób się zbuntować lub po prostu rzucić łopaty i usiąść na ziemi, czekając na śmierć. Moi ludzie ulżyliby im natychmiast, tymczasem oni wolą grzebać żywcem swoich bliskich tylko dlatego, że

w ten sposób zyskują kilka sekund życia dla samych siebie. Może właśnie dlatego tak bardzo brzydzę się tymi bydlętami.

Warstwa ziemi jest już na tyle gruba, że nikt się spod niej nie wydostanie. Ruchem ręki daję znać, by przestano zasypywać rów. Chwilę później rozlega się salwa karabinów.

– Wszystkiego najlepszego z okazji Rosz Haszana – rzucam, odchodząc.

Niezmiennie mnie suszy.

71.

W willi brząkają talerze, sztućce i kieliszki. Chyba w każdym pomieszczeniu na parterze są moi goście. Nie wiem, ile osób zaprosiłem. Osiemdziesiąt, a może sto osiemdziesiąt? Żydowscy kelnerzy w idealnie wykrochmalonych frakach lawirują z tacami pełnymi przekąsek oraz najlepszego wina między zebranymi. W dwóch barkach wydawane są mocniejsze trunki. Towarzystwo jest kompletnie pijane.

Zerkam na zegarek i zdaję sobie sprawę, że dopiero dochodzi północ. Orkiestra obozowa wygrywa marsz wojskowy, a trzy częściowo rozebrane kobiety tańczą do niego nieudolnego kankana. Gdzieś strzela korek od szampana i kilka osób bije brawo. Nawet zawsze powściągliwy Kempke jest całkowicie zawiany. W rozpiętym mundurze obmacuje na jednym z krzeseł jakąś blondynkę. Ostentacyjnie wkłada dłoń pod jej jedwabną bluzkę i trzyma ją za pierś. Jednocześnie całuje ją po odsłoniętym ramieniu oraz szyi. Nasze spojrzenia spotykają się, Kempke kiwa głową, ale nie przerywa swoich karesów. Nie wymagam tego. Po przekroczeniu progu mojej willi wszyscy mają się jak najlepiej bawić i zapomnieć o całym tym diabelnym świecie.

Nie wiem, dlaczego tak trudno mi oddać się tej wyjątkowej atmosferze rauszu. Nawet po wypiciu dwóch, trzech butelek wina, do tego brandy lub koniaku, moje myśli ledwie się plączą. Wraz z tym poplątaniem nie pojawia się żadne rozluźnienie. Wciąż mam świadomość tego, gdzie i po co jestem. I tego, że jutrzejszy dzień będzie taki sam jak wczorajszy. Zły? Nie, absolutnie. Po prostu taki sam, skrępowany obowiązkami i nudą. Czy mógłbym to zmienić? Nie sądzę…

Nawet poranne polowania na ociągających się więźniów nie poprawiają mi humoru. Kiedyś zdarzało się, że dobrze oddany strzał snajperski napawał mnie dumą i przywoływał uśmiech. Teraz i to stało się rutyną, taką samą jak konne lub samochodowe przejażdżki. Taką samą jak picie, palenie lub zabawy z dziewczętami. Życie nie potrafi ofiarować mi niczego więcej. A może jednak?

Czasem nachodzi mnie myśl, że sam muszę zorganizować sobie rozrywkę. Muszę stworzyć świat tak, by potrafił mnie jeszcze rozbawić. Dwustu zamordowanych z okazji żydowskiego Nowego Roku było jednak przede wszystkim wyrazem złości, że ciągle mi się to nie udaje. Rozstrzelanie nawet tysiąca lub pięciu tysięcy osób jest zwyczajnie nudne. Te żydowskie bydlęta i tak prędzej czy później pójdą do piachu. Ewentualnie ulotnią się z dymem wciąż niewystarczająco wydajnych obozowych krematoriów.

– Chcę się bawić! – wrzeszczę, przekrzykując orkiestrę. – Chcę się, do diabła, bawić!

Natychmiast zjawiają się przy mnie dwie podpite kobiety. Ruth tańczy na prowizorycznie zaadaptowanym parkiecie i póki co nie zwraca na to żadnej uwagi. Wiem jednak, że od czasu do czasu ukradkowo mi się przygląda. Anna nie przyjechała do Płaszowa już od wielu tygodni, niemal nie pisuje listów… Ale nie powinienem teraz się tym przejmować.

Chwilę poruszam się w rytmie kobiecych wygibasów, dopijam wino i gestem wymiguję się od tego towarzystwa. Jedną z pijanych jest żona mojego adiutanta. Wiem, że na świecie dzieją się różne rzeczy i że wszystkich nas łączy jakaś więź krwi, ale pewne zachowania są dla mnie nieakceptowalne. Może odzywa się we mnie ten drobnomieszczański Monek z odziedziczoną po matce pruderyjnością?

Może. Nie mogę tracić czasu na roztrząsanie takich kwestii.

– A więc zabawmy się… – szepczę.

Pstryknięciem przywołuję dwóch żydowskich kelnerów. Momentalnie stają tuż przede mną na baczność, lecz usilnie odwracając wzrok. Boją się i nie potrafią tego ukryć. Chyba nawet nie chcą tego ukrywać.

Wydaję im rozkaz, którego wcale nie muszą zrozumieć.

72.

– Ruth, chodź ze mną.

Ciągnę swoją kochankę za rękę, odrywając ją od zabawy. Kilku tańczących obok oficerów porozumiewawczo kiwa do mnie głowami. Wygrywany przez orkiestrę marsz zamienił się w coś znacznie żywszego, co mam wątpliwości, czy aby na pewno jest legalne. Teraz legalność muzyki nie ma znaczenia.

– Chodź, proszę.

Ruth spogląda na mnie zaskoczona, zagryza usta, po czym posłusznie za mną podąża. Po chwili stajemy na korytarzu, gdzie jest nieco ciszej.

– Chciałbym, abyś przyniosła mi z sypialni swoje perfumy.

– Perfumy? Po co ci moje perfumy?

– Zobaczysz. Zrób to dla mnie.

Ruth swoim zwyczajem odruchowo przekrzywia głowę, ale zaraz wzrusza ramionami. Nie wyczuwa żadnego podstępu. Robi kilka kroków w stronę schodów i zatrzymuje się, przepuszczając ledwie trzymających się na nogach żołnierzy. Jeden z nich usilnie ją za coś przeprasza. Widząc, że stoję w pobliżu, rusza dalej, ku salonowi, gdzie rozbrzmiewa kolejny taneczny kawałek.

– No, dalej… – Gestem ponaglam Ruth. – Idź, idź.

– Dlaczego sam ich nie weźmiesz?

Bardziej wyczytuję z ruchu warg to pytanie, niż je słyszę.

– Nie mogłem ich znaleźć – odpowiadam. – Nie wiem, gdzie są. – Wzdycham, po czym dodaję: – Dobrze, pójdę z tobą.

Powoli wchodzimy po schodach, jakbyśmy wkraczali do innego świata. Goście nie mają wstępu na górę willi. Oczywiście, gdyby ktoś mnie o to poprosił, nie odmówiłbym, ale traktuję ją jako prywatną przestrzeń.

Nagle Ruth zatrzymuje się w pół kroku. Odwraca się, potrząsa głową, po czym ponownie rozgląda się wokół. Wspina się po ostatnich dwóch schodkach i spogląda na mnie nic nierozumiejącym wzrokiem. Lubię, gdy przypomina taką prostą, głupiutką kobietę, wprost z małej alpejskiej doliny. Przynajmniej właśnie w ten sposób ją sobie wyobrażam.

– Co się stało? – pyta, marszcząc czoło. – Amon, do cholery?!

Wchodzę tuż za nią i staję obok. Rozglądam się, udając zdziwienie.

– Amon?

Ruth robi tak zabawną, kompletnie zaskoczoną minę, że nie potrafię się opanować ani sekundy dłużej. Wybucham głośnym, całkowicie niekontrolowanym śmiechem. Od dawna nic nie sprawiło mi tyle radości, co wyraz jej twarzy. Biorę jej głowę w dłonie i delikatnie całuję we włosy. Kocham ją. Kocham ten świat. Kocham tę chwilę. Śmieję się nadal, choć momentalnie w moją duszę wkrada się również jakaś pustka. Nie, wcale nie kocham żadnej z tych rzeczy.

Mimo to wciąż rechoczę.

– Kazałem Żydom ukradkiem wszystko stąd wynieść – mówię, hamując śmiech. – Rozumiesz? Nikt nie zobaczył, że te bydlęta wyniosły wyposażenie całej góry willi.

Ruth również się uśmiecha, lecz jest wyraźnie zmieszana.

– Po co to zrobiłeś?

– Żeby się zabawić. Czy to nie jest śmieszne? No, kochanie, przyznaj, że wyszło kapitalnie!

Unoszę dłoń i zabawnie potrząsam palcem. Uśmiecham się, choć czuję, że ponownie tracę humor. Puste pokoje napawają mnie smutkiem.

– Wiesz, co jest najlepsze? – pytam niemal zupełnie poważnym tonem. – To, że za chwilę każę im wnieść wszystko z powrotem. I to tak, by nikt niczego nie zauważył.

Śmieję się, choć teraz to całkowicie wymuszony śmiech.

73.

– Co tu się dzieje?

Podchodzę w stronę zbiegowiska składającego się z kilku niemieckich strażników oraz ukraińskich pomocników. Jeden z wartowników odwraca się i salutuje. Pozostali naradzają się, jednocześnie pilnując kilkunastoosobowej grupy więźniów za ich plecami.

– W worku porzuconym przez któregoś z tych śmieci wracających z fabryki znaleźliśmy kurę.

– Kurę – potwierdza drugi strażnik, przy czym rozchyla jutowy worek z martwą kurą w środku.

Kiwam głową i zerkam w stronę więźniów. Doskonale wiedzą, że próba przemytu jedzenia na teren obozu karana jest tylko w jeden

sposób.

– Kto ją zabrał? – pytam głośno.

Odpowiada mi cisza i spuszczone spojrzenia.

– Kto ją chciał przemycić? – ponownie formułuję pytanie, tym razem bardziej precyzyjnie.

Sięgam ku kaburze, lecz zdaję sobie sprawę, że cały pas zostawiłem w biurze. Po kilku lampkach wina zrobiło mi się niedobrze i chciałem sobie ulżyć. Od rana pobolewał mnie brzuch. Wyciągam dłoń, dając znać, by stojący najbliżej strażnik podał mi karabin. Chwytam mausera, po czym go przeładowuję.

– Nikt? Nie ma chętnych do przyznania się?

Więźniowie nadal milczą. Błyskawicznie unoszę karabin i przykładam go do ramienia. Oddaję strzał. Wysoki, kościsty mężczyzna osuwa się na kolana, a jego bluzę znaczy krwawy ślad. Po chwili pada martwy również stojący za nim dwudziestokilkulatek z wydatnym żydowskim nosem. Co za strzał. Z tak bliskiej odległości kula musiała przebić dwa ciała.

Pozostali więźniowie dygoczą ze strachu, jednak boją się nawet cofnąć. Zagryzając usta, spoglądają na martwych towarzyszy.

– Kto chciał przemycić tę kurę? – pytam po raz kolejny.

Wzdycham. Więźniowie najwyraźniej nie zamierzają zdradzić mi swojego cholernego sekretu. Trudno. Unoszę broń i szykuję się do kolejnego strzału. W tym samym momencie kątem oka dostrzegam ruch. To dwunasto-, może trzynastoletni chłopiec wychodzi zza pleców dorosłych.

– Wiem, czyj to worek… – szepcze nieśmiało.

– Wiesz czyj?

Chłopiec przez chwilę milczy, wreszcie powoli unosi dłoń. Widzę, że pozostali więźniowie w śmiertelnym napięciu śledzą jego ruchy. Tymczasem malec wskazuje na jednego z zabitych przed chwilą mężczyzn.

– To on próbował go wnieść – wyjaśnia łamiącym się głosem. – Przysięgam.

Przez moment mierzę chłopca lodowatym spojrzeniem. Mały, cholerny cwaniak, który stara się mnie oszukać. Ale za to jaki zdolny. Mądrzejszy od swoich pieprzonych dorosłych towarzyszy, którzy boją się choćby wybełkotać jedno zdanie.

– To on, powiadasz?

– Tak, tak…

Chłopiec kuli się, jakby chciał zniknąć i nie mam żadnych wątpliwości, że kłamie. Zrzuca odpowiedzialność na kogoś, komu i tak już nie mogę zaszkodzić.

Chwytam mocniej karabin, a malec odruchowo zasłania dłońmi twarz. Tymczasem oddaję mausera stojącemu obok strażnikowi i wybucham szczerym śmiechem. Dwóch wartowników rechocze razem ze mną.

– A to cwaniak…. – Parskam, kręcąc z rozbawieniem głową. – Pozwólcie im iść do baraku.

Macham dłonią i wciąż się zaśmiewając, odchodzę.

Był to jeden z nielicznych przypadków, kiedy Amon Göth na zuchwałe zachowanie więźnia nie zareagował wściekłością. Wieść o czynie chłopca rozniosła się po obozie i w następnych tygodniach wielokrotnie usiłowano ratować życie, zrzucając rozmaite winy na zmarłych więźniów. Jednak Göth już nigdy więcej nie wykazał pobłażliwości.

74.

– Zwolnij – nakazuję szoferowi. – Nie mogę się skupić.

Jakby prędkość mercedesa pędzącego po obozowych uliczkach miała jakiekolwiek znaczenie dla mojego skupienia. Nie mogę się skupić od dawna. Nie pomaga w tym ani alkohol, ani sen, ani brak snu. Przez cały czas jestem rozkojarzony i moje myśli wędrują od spraw frontowych (a meldunki są coraz gorsze) po błahostki życia codziennego.

Czy strumień wina z Burgundii nie przestanie płynąć? A jeśli w końcu wyschnie, to czy będę na to przygotowany i wystarczająco zabezpieczony? Czy moi przełożeni są zadowoleni z tego, jak wypełniam swoje zadanie? Czy uda się rozwiązać kwestię żydowską i odwrócić bieg wojny? Czy w miarę zbliżania się frontu wołowina wciąż będzie przynajmniej nieco zjadliwa, czy krowy, zestresowane hukiem dział, nie będą nadawały się do spożycia?

To wszystko są kwestie szalenie dla mnie istotne. Nie zastanawiam się nad rzeczami, na które nie mam wpływu, ale nad tym, by się zabezpieczyć. Już od jakiegoś czasu dbam o to, jakie dokumenty podpisuję, a jakie pozostawiam bez żadnego śladu, że miałem je przed oczami. Ciała w lesie gniją, rozkładają się, ale wciąż męczy mnie myśl, że wie o nich zbyt wiele osób.

Zaciskam dłonie na kolbie karabinu snajperskiego i przypatruję się kolejnym mijanym więźniom. W obozie panuje poranny ruch. Jedni formują kolumny zmierzające poza bramy, inni wykonują prace na miejscu, jeszcze inni ustawiają się do apeli. Płaszowska codzienność. Słychać pokrzykiwania strażników, kapo i obozowych. Gdzieś w dali ujadają psy. Od razu poznaję, że to nie Ralf ani Rolf, lecz któreś z wojskowych owczarków – ich głosy mają wysokie, nieprzyjemne dla ucha tony.

– Jeszcze zwolnić? – Szofer, nie odwracając się, zerka na mnie w lusterku. Dziwi go, że odkąd wyjechaliśmy z garażu, wciąż nie oddałem żadnego strzału.

– Nie. Taka prędkość jest dobra.

Muszę pilnować, by wiatr nie zdmuchnął mojego tyrolskiego kapelusza. Dobrze trzyma się na głowie, używałem go nawet w trakcie konnych galopad, ale powinienem uważać. Ileż plotek poniosłoby się po obozie, gdyby kapelusz spadł mi z głowy. To głupia myśl, ale nagle wizualizuje mi się przed oczami. Uśmiecham się. Może jak przygłup lub obłąkany. Takich mamy tu na pęczki.

Cholerne myśli. Stają się coraz bardziej pogmatwane i sam nie potrafię za nimi nadążyć. Przykładam lunetę do oka, obserwując kolumnę więźniów zmierzających ku bramie obozu. To grupa dwudziestu kobiet prowadzonych do jednego z pobliskich zakładów. Wszystkie mają blade, ponure twarze, martwe spojrzenia i zakryte chustami głowy. Choć nie mają pojęcia, że mierzę do nich z karabinu, nie rozmawiają. Idą w całkowitym milczeniu. Natomiast trzech maszerujących przy nich strażników uśmiecha się i wesoło wymienia jakimiś komentarzami. Szczęśliwa młodość… Mam trzydzieści pięć lat i czuję się jak starzec.

Głaszczę palcem zimny spust, ale go nie naciskam. Staram się wytypować swoją ofiarę, lecz żadna z kobiet nie przykuwa mojej uwagi. Maszerują równym, regulaminowym tempem, całkowicie posłuszne swojemu losowi. Żaden myśliwy nie czerpie satysfakcji z zabicia konającej zwierzyny. Ja również bym jej nie miał, więc odkładam karabin na kanapę obok siebie i wyciągam twarz do słońca. Przynajmniej jego promienie przyjemnie mnie ukoją. Przytrzymuję dłonią tyrolski kapelusz.

75.

– Ralf!

Nie wiem, gdzie się zapodział Rolf, ale Ralf idzie tuż przy mnie. Treser ma dzisiaj wolne. Poprosił mnie o zgodę na wyjazd do rodziny

do Krakowa, na co przystałem. Postanowiłem, że sam się zajmę szkoleniem. I tak nie mam nic do roboty, a wciąż niczym nie potrafię zająć myśli.

– Ralf, siad!

Pies posłusznie siada i wlepia we mnie swoje ciemne, ufne ślipia. Zapomniałem wziąć jakiegokolwiek jedzenia, aby nagradzać go po wykonanych poleceniach. Musi obejść się jedynie moim uśmiechem oraz poklepaniem po boku.

– Chodź, idziemy.

Cicho gwiżdżę i ruszam między barakami. W tym samym momencie gdzieś z tyłu słyszę energiczne sapanie. To Rolf zjawił się, jakby wylazł prosto spod ziemi. Rozbawiony merda ogonem i łasi się do mnie.

– Gdzieś ty był?

Kocham te psy. Być może kocham je tak, jak nie kochałem żadnego człowieka. Są mi wierne i bezgranicznie oddane. One mnie również kochają.

– Chodźcie.

Szybkim krokiem idę między barakami po błotnistej nawierzchni. Nad ranem spadł deszcz, a mimo moich zarządzeń wciąż nie wybrukowano bocznych ścieżek. Więźniowie zawsze mogliby mieć dodatkowe zajęcie, lecz wszyscy utrzymują, że ci i tak pracują ponad miarę. I dobrze. I bardzo dobrze, jeśli rzeczywiście tak jest. Muszą do czegoś się przydać.

Ale ja… Potrzebuję rozrywki. Z obrzydzeniem schodzę z błota na nieco bardziej suchy teren ciągnący się wzdłuż drewnianych baraków. Gdzieś z boku przemyka cień. Wyraźnie dostrzegam sylwetkę kogoś starającego się, bym go nie zauważył. Kładę dłoń na kaburze, ale po chwili uświadamiam sobie, że to niepotrzebne. Psy również zwietrzyły trop, a ich uwagę przykuł cichy szmer oraz plaskanie kroków.

– Szukajcie! – syczę. – Bierzcie!

Tego się nie spodziewałem. Psy momentalnie wyrywają do przodu i z uniesionymi wysoko ogonami pędzą za załom baraku. Nim za nimi nadążam, słyszę rozpaczliwy krzyk. Dostrzegam kilkunastoletniego chłopca, którym Ralf rzuca dosłownie jak szmacianą lalką. Pasiak malca rwie się i rozpada. Z obnażonego ciała leje się krew. Psy, jak pobudzone słodkim zapachem piranie, rozpoczynają jatkę. Ralf szarpie za rękę chłopca i po kilku sekundach odgryza mu dłoń. Słyszę trzask kości, jakby właśnie zjadał kurczaka. Chłopiec krzyczy na całe gardło, ale w pobliżu nikt nie ma odwagi się pojawić. Psy mogą beztrosko kontynuować swoją zabawę.

Rolf staje na piersi malca i ujada prosto w jego twarz. Widząc, że go nie powstrzymuję, gryzie chłopca najpierw w nos, potem w policzek. Rozszarpuje kawałki skóry i dosłownie zrywa jej płat z twarzy ofiary. Następnie wgryza się w usta, w szyję i w ramiona. Nigdy nie widziałem, by pies potrafił tak błyskawicznie gryźć.

Tymczasem Ralf zajmuje się nogami chłopca. Wbija kły w jego łydki, a potem w uda. Wyrywa całe kawały mięsa oraz mięśni. Wokół zbiera się kałuża krwi i malec wreszcie przestaje wrzeszczeć. Nieruchomieje.

Jak oczarowany przyglądam się tej scenie. Obserwuję psy, które kawałek po kawałku pożerają swoją ofiarę. Ich pyski są całe czerwone, ścieka z nich krwawa piana zmieszana z kawałkami ciała. Jedzą z apetytem, już całkowicie spokojne, wiedząc, że ofiara nigdzie im nie ucieknie. Tryumfują.

– Dobre psy, dobre! – chwalę je, podchodząc do tego, co zostało ze zwłok.

Nagle odwracam się w stronę pobliskiego baraku i wkładam dłonie do kieszeni.

– Uprzątnijcie ten bałagan – nakazuję. – Bo skończycie jak ten cholerny bachor.

Według relacji ofiarami psów Kata z Płaszowa padło w obozie co najmniej kilkunastu więźniów.

76.

– Co tu się dzieje?

Wraz z Kempkem podchodzę w stronę zbiegowiska. Dwóch strażników bezlitośnie okłada leżącego na ziemi, zwiniętego w kłębek starca. Mężczyzna nawet się nie stara unikać ciosów. Po prostu leży całkowicie pogodzony ze swoim losem, od czasu do czasu wydając jedynie ciche jęknięcie.

– Chciał nas pouczać! – oznajmia zadyszany Oberschütze.

– Pouczać? – Kempke swoim zwyczajem uśmiecha się ironicznie i przekrzywia głowę. – On? A niby w jakiej sprawie?

– Zarzucił nam, że wymierzamy złą liczbę batów.

Dopiero teraz spostrzegam, że na placu, kilka metrów dalej, klęczy półnagi nastolatek z zakrwawionym grzbietem. Obok niego leży rzucony powróz do wymierzania chłosty.

– Panie oficerze… – Starzec odwraca się na bok i stara wyciągnąć ku mnie rękę. Ma zakrwawioną twarz i opuchnięte oczy, więc nie wie, z kim ma do czynienia. – Panie oficerze…

– Co się stało? – zwracam się do niego, stając obok Kempkego. – Dlaczego pouczałeś niemieckich żołnierzy?

– Bo…

Starzec odchrząkuje, po czym zamyka usta.

– Mów śmiało – zachęcam go. – Wyjaśnijmy tę sprawę.

– Zgodnie z regulaminem…

– Tak?

– Zgodnie z regulaminem – starzec z trudem oblizuje wargi – w przypadku pomylenia się przy wymierzaniu liczby batów należy karę wymierzać od początku, ale… Oni wymierzali ją po raz trzeci.

Natychmiast zdaję sobie sprawę, co tutaj zaszło. Oberschütze wymierzający chłostę jest jednym z tych nadgorliwych chłopaków, którzy lubią katować więźniów. Nie mam z tym problemu, a nawet zazwyczaj pochwalam takie zachowania, co rozzuchwala załogę obozu. Coraz częściej słyszę, że chłoszczący umyślnie udają, że pomylili się przy liczeniu batów, co rzeczywiście, zgodnie z regulaminem, ma skutkować rozpoczęciem wymierzania całej kary od nowa. Zazwyczaj mylą się tuż przed tym, jak chłosta miałaby zostać zakończona. Dlatego zamiast dwudziestu razy skazani dostają ich prawie czterdzieści lub sześćdziesiąt. A musicie wiedzieć, że mało kto jest w stanie tyle wytrzymać.

Zerkam na zakrwawionego nastolatka i na starca. Potem przenoszę wzrok na Oberschütza, który wyczekuje na moją decyzję. To niespełna dwudziestoletni ochotnik SS, w którego sercu płonie płomień młodzieńczej nadgorliwości. Wciąż dyszy z wysiłku, a jego twarz jest pokryta potem. Podchodzę do niego i spoglądam mu prosto w oczy. Oberschütze nie robi choćby pół kroku w tył, stojąc regulaminowo na baczność i patrząc prosto przed siebie. Sięgam po pistolet, ale żaden mięsień na jego twarzy nawet nie drga.

Uśmiecham się, po czym klepię Oberschütza po ramieniu. Odwracam się w stronę starca i skatowanego nastolatka. Oddaję dwa strzały. Oba trafiają dokładnie tam, gdzie chciałem, przebijając czaszki więźniów.

– To kara za niesubordynację – oznajmiam w stronę niewielkiego tłumku, zgonionego, by obserwować wymierzanie chłosty.

Czasem chłosta zamienia się w karę śmierci. Tylko czasem. Zbyt rzadko.

77.

Wpadłem w furię. Słyszałem, jak ktoś tak o mnie mówi, ale nie zwracam na to uwagi. Może było to godzinę temu, może dwa dni, a może minął już tydzień. Rozszarpany przez psy chłopiec, zastrzeleni starzec oraz skazaniec na chłostę, musztrowana Susanna, zdaje się, że wszystko to wydaje się światu zbyt okrutne. Światu? To podszepty więźniów, którzy wciąż knują w zaułkach i w swoich cuchnących barakach.

Alkohol przestał mi smakować. Piję, bo tylko dzięki temu mogę przespać godzinę lub dwie. Wydaje mi się, że niemal wszyscy szepczą za moimi plecami, lecz to całkowicie mnie nie obchodzi. Życie pędzi siłą własnego rozpędu.

– Kempke, ty prowadź – nakazuję, gdy przechodzimy obok garażu.

Nigdzie się nie wybieraliśmy, ale przejażdżka zawsze jest dobra. Świst wiatru koi myśli równie dobrze, jak najlepszy koniak. Szkoda, że działa tak krótko. Często pozostaje po niej ból głowy mocniejszy niż po alkoholu.

– Dokąd chciałby pan jechać, komendancie?

Wzruszam ramionami.

– A czy to ważne? Czy musimy decydować „dokąd", zamiast jechać po prostu przed siebie?

– Jeżeli właśnie tego pan chce…

Czasem potulność oraz służbowość Kempkego sprawiają mi autentyczny ból. Kiedy go słyszę, kłuje mnie gdzieś w środku i mam ochotę krzyczeć, by oddał się cholernej chwili. Jednocześnie przychodzi myśl, że nie powinienem go psuć. Jest tak doskonały, tak idealnie wzorowy, że nie mam prawa czynić w jego obrazie najdrobniejszej rysy.

Przez ostatnie dni spędziliśmy razem naprawdę wiele czasu i zdaje mi się, że chciałbym, aby mój syn był właśnie taki jak Kempke. Gdyby tylko można było posiadać synów, którzy od razu mają dwanaście lub jeszcze lepiej, osiemnaście lat. Nie znoszę myśli, że moje dzieci przechodzą przez całe to niemowlęctwo, przez te wszystkie choroby, problemy… I że mogą umrzeć, nim ja umrę. W ogóle ostatnio wiele myślę o śmierci i sensie tego wszystkiego.

– Ktoś tam jest… – Kempke wskazuje na cień przesuwający się za oknem w garażu.

– Kto, u licha?

Skradamy się i obaj zaciskamy dłonie na pistoletach. W pewnym momencie rozpoznaję znajome rysy.

– To Sara albo Trudl… – szepczę. – Jedna z dziewczyn zatrudnionych do sprzątania podwórza willi.

– Pracuje. Choć…

Mrużę oczy. Spoglądam na Sarę, albo Trudl, obserwując, jak zamiast sprzątać, nachyla się i przegląda w lusterku mercedesa. Poprawia chustę, a potem unosi podbródek, jakby starała się wyobrazić sobie swój portret. Jakby pozowała.

– Cholerna pięknisia! – warczę, popychając drzwi.

Dziewczyna zrywa się na równe nogi i usiłuje udawać, że czyści samochód.

– Dziś nie będzie przejażdżki – zwracam się do Kempkego. – Widziałeś, jak się leniła? Zastrzel ją, tylko z dala od garażu. Nie chcę mieć bałaganu przy wozie.

Kempke marszczy czoło, jednak nic nie mówi. Podobny wyrok jest wbrew regulaminowi, lecz wbrew regulaminowi jest również podważanie decyzji przełożonego. Człowiek idealny znalazł się w kropce. Natomiast można by powiedzieć, że służąca-pięknisia jest już martwa. To tylko różnice filozoficzne.

78.

– Jestem okrutny? Tak?!

Spoglądam prosto w oczy Susanny, która głośno skomle. Słyszała o dziewczynie skazanej przeze mnie na śmierć za lenistwo w garażu. Zdaje się, że to jej przyjaciółka lub krewna, gdyż błaga mnie o litość. Musicie zdać sobie sprawę, że aby błagać mnie o litość, musiała przezwyciężyć naprawdę głęboki strach. Uśmiecham się kpiąco.

– Chciałabyś powiedzieć, że jestem okrutny, prawda?

Susanna kręci głową.

– Nie, nie, panie komendancie, ale…

– Ale co?

Dziewczyna spuszcza głowę i wierzchem dłoni ociera nos. Już wie, że niczego nie osiągnie, a ja czuję, że wreszcie odzyskuję humor. Tymczasem doskonale rozumiem, co jest dla mnie tak ważne.

– Masz szczęście – rzucam na odchodne.

Odwracam się i sztywnym krokiem wychodzę z willi. Kieruję się ku budynkom administracyjnym. Czeka mnie sporo pracy, której nie chciałem zabierać ze sobą do gabinetu. Już wspominałem, że staram się nie zostawiać zbyt wielu śladów swojej obecności w Płaszowie. Przynajmniej tych na papierach.

Gdy wchodzę do środka, od razu spostrzegam nowy raport leżący na wierzchu dokumentów. Właściwie to nie raport, a rodzaj donosu sformułowanego przez jednego z kapo.

Jedna z więźniarek w zespole administracyjnym przemyciła skądś słoninę. Znaleziono ją przy niej, choć nie wyklucza się, że ktoś podrzucił jej ten kawałek. Przynajmniej tak się broni…

– Co za bzdury! Co za pieprzone bzdury!

Zaciskam usta, aby powstrzymać potok przekleństw. Nie chcę, aby słyszano, że coraz częściej tracę nad sobą panowanie. W obecności

podwładnych staram się być zawsze schludny i elegancki. Czasem jedynie Kempke poznaje moje nowe, udręczone oblicze człowieka, który nie może spać, jeść ani pić. Człowieka pełnego wątpliwości filozoficznych i pytań o sens wszystkiego.

– Co za bzdury… – szepczę.

Rzucam raport na biurko i kieruję się do drugiego pomieszczenia. Otwieram drzwi powoli, ale stanowczo. Od razu skupiam na sobie spojrzenia kilku osób pracujących w środku. Rachunki, kalkulacje, obliczenia, zamówienia… Dla zaoszczędzenia pieniędzy nad wszystkim tym pracują więźniowie.

– Przy kim znaleziono ten kawałek słoniny? – pytam ostro.

Natychmiast podnosi się jedna z kobiet. Jest wysoka, postawna i ma żółtoszarą cerę. Splata dłonie, po czym prostuje się w pokracznej postawie na baczność. Nie może się wymigać, gdyż wie, że wzmiankowano o niej w raporcie.

Spoglądam na kapo – czterdziestolatkę stojącą w kącie. Kobieta potakująco kiwa głową, jakby starała się mi podlizać, że zna moje myśli. To cholerna przesada.

– Mało wam żarcia? – cedzę, patrząc po wszystkich więźniarkach. – Rozbierać się!

Nadzorczyni unosi krótki powróz i również zaczyna krzyczeć.

– Nie słyszałyście pana komendanta?! Rozbierać się!

Osiem kobiet pośpiesznie ściąga ubrania. Spoglądam na nie, przechodząc się w tę i we w tę.

– Wszystkie jesteście za grube. Rozumiecie?! – wrzeszczę. – Za grube!

– Panie komendancie…

Odwracam się i chwytam za ramię tę, która odważyła się odezwać. Niemal miażdżę jej kruche, długie kości. Przypomina ptaka gotowego do oskubania. Z odrazą spoglądam na jej zapadniętą klatkę piersiową i maleńkie, ledwie zarysowane piersi.

– Są cztery grubsze – cedzę do nadzorczyni. – Ta, ta, ta i ta.

Kolejno wskazuję palcem, a kobiety zaczynają panicznie drżeć. Jedna z nich zaczyna cicho chlipać, dwie kolejne przelotnie chwytają się za ręce.

– Mają zostać odprowadzone do fortu i stracone – rozkazuję. – Nie chcemy tu grubych.

Trzaskam drzwiami i wracam do pracy. Czuję się nieco lepiej.

Wszystkie opisane powyżej sytuacje są prawdziwe i bazują na relacjach świadków. Została przez nich zapamiętana przede wszystkim fraza „Wszystkie tutaj są za grube". W ciągu kilku dni gorszego humoru Amon Göth skazał na śmierć lub osobiście zabił kilkadziesiąt osób. Jednak to nie był koniec.

79.

Dziś nie ma głośnej muzyki, tańców ani pijatyk. Na kolacji zjawił się doktor Kurt Weiss, dwóch przemysłowców z żonami, których nazwiska ciągle mi umykają, dyrektor dużej składnicy kolejowej – Herman Lahm – oraz dwa małżeństwa zaprzyjaźnione bardziej z Ruth niż ze mną. Nikt nie odmówił zaproszenia. Poza tym ten drobny raut zorganizowaliśmy w ostatniej chwili, nie do końca przekonani, czy powinniśmy wznosić toasty wtedy, gdy komunikaty z frontu stają się coraz mniej radosne. Jednak nie musimy być przecież nazbyt zorientowani w sytuacji, a „kontrolowany odwrót" możemy rozumieć całkowicie literalnie, nie doszukując się w nim podtekstu. Kontrolowany odwrót może być zmianą pozycji na lepsze, okopaniem się, strategicznym manewrem bądź nieść tysiąc innych znaczeń o wydźwięku na wskroś pozytywnym.

– Żadnego defetyzmu – powtarzam, potrząsając palcem. – Chłopcy na froncie wschodnim potrzebują wiary w zwycięstwo.

– Nawet tysiąc kilometrów za ich plecami? – pyta Lahm. – Przez nasze składnice przetacza się mnóstwo towaru, ale widzę, jak bardzo jest on wybrakowany.

– To chwilowe przerwy – kwituje jeden z przemysłowców.

– Fabryki są przenoszone poza zasięg angielskich bombowców – dodaje drugi.

– Właśnie o takiej postawie mówię. Wiara w ostateczne zwycięstwo nie może się zachwiać. Nigdy!

Wstaję z miejsca i wznoszę kieliszek z burgundem. Za moment ma zostać podana zupa, lecz z korytarza dobiega mnie dźwięk obtupywanych butów. Wymieniam z Ruth porozumiewawcze spojrzenia, ale widzę, że ona również jest zaskoczona.

– Przepraszam…

Odstawiam kieliszek, po czym wychodzę z salonu. Jeden ze służących właśnie odnosi czyjś płaszcz wojskowy.

– Kempke!

Jego się nie spodziewałem. Mimo to jak zawsze widok tego wzorowego żołnierza sprawia mi radość.

– Oderwałeś się od dokumentów?

– Miałem ich całkowicie dość. Jeszcze pięć minut i bym zwariował.

– Chodź, chodź, dołącz do nas. Właśnie jemy obiad.

Zapraszającym gestem wskazuję ku salonowi. Kempke marszczy czoło i zatrzymuje się w pół kroku.

– Nie chciałem przeszkadzać. Myślałem, że wychylimy po szklaneczce koniaku – mówiąc to, potrząsa butelką – i wrócę do roboty.

– Chodź – nakazuję. – Moje drzwi są zawsze dla ciebie otwarte.

– Ale…

– Chodź – powtarzam z naciskiem i odwracam się ku pomieszczeniom służby. – Susanna!

Susanna vel Helen zjawia się niemal natychmiast.

– Dlaczego na stole brakuje jednego nakrycia?! – warczę. – Przecież wszystko było wyliczone.

– Rozłożyłam je zgodnie z dyspozycją…

– Tak?

Ciągnę pokojówkę do salonu i wskazuję na stół. Kempke, przywitawszy się z towarzystwem, siada na wolnym miejscu.

– A on? Twierdzisz, że się pomyliłem?

– Nie, nie… Ja tylko…

– Tak powiedziałaś!

Chwytam nóż leżący przy moim talerzu i ciskam nim w stronę Żydówki. Ostrze trafia ją w nogę, po czym stalowy przedmiot, brzęcząc, spada na podłogę. Susanna natychmiast kuca i oburącz stara się zatrzymać krwawienie. Cała drży.

– Dlaczego mnie pan dręczy?! – jęczy z wyrzutem. Krew przecieka między jej palcami, a ja czuję na sobie spojrzenie wszystkich gości. Chwytam pokojówkę za ramię i wyprowadzam ją na korytarz. – Dlaczego mnie pan nie zabije? Dlaczego…

Popycham ją w stronę kuchni, nie zważając na skapującą na podłogę krew.

– Bo cię potrzebuję – cedzę. – Obiad ma być podany o czasie.

Po tym wybuchu gniewu Amona Götha Helen Hirsch doznała trwałego uszkodzenia nerwów w lewej nodze. Kulała do końca życia.

80.

– Czy to było potrzebne? – pyta jeden z przedsiębiorców.

– Co ma pan na myśli?

– Zranienie tej kobiety.

Mężczyzna ociera usta serwetką i odchrząkuje. Wiem, że mówi to tylko dlatego, że tak kazała mu żona. Przed chwilą szeptem wymienili kilka pośpiesznych komentarzy. Reszta gości zdaje się bardziej rozbawiona niż zmieszana.

– Dostała to, na co zasługuje. Prawda, Kempke?

– Oczywiście, panie komendancie.

– Jeżeli nie odpowiadają panu moje metody… – Patrzę prosto w oczy przedsiębiorcy i zawieszam głos. To sześćdziesięciokilkuletni mężczyzna z łysiejącą siwizną oraz staroświeckimi okularami na nosie przypominającymi cwikier. Potrzebuje mnie znacznie bardziej niż ja jego.

– Ależ nie o to chodzi. – Spolegliwie unosi dłonie i się uśmiecha. – Uważam jedynie, że szkoda naszych niemieckich nerwów na to bydło.

– Zabrakło nakrycia – cedzę.

– Ale…

Przemysłowiec daje sobie spokój. Zdaje się, że pod stołem klepie żonę po kolanie, byle ta się nie odezwała. Srebrnowłosa matrona cicho wzdycha i przesuwa sztućcami resztki przekąski po talerzu.

– Nie możemy być słabi – peroruję. – Musimy w każdej sytuacji pokazywać naszą moc oraz niezłomną wolę. Nawet w domach.

– Zapewne ma pan rację – stwierdza przemysłowiec.

Doktor Weiss przewraca oczami i stuka palcem w kieliszek. Kempke dołącza się do niego, dając mi do zrozumienia, żebym nie tracił czasu na przekomarzanie się z tym ramolem. Ruth również ukradkiem mnie szturcha.

– Cieszę się – stwierdzam lodowato. – My, Niemcy, zawsze powinniśmy się zgadzać. Szczególnie w tych czasach.

Wznoszę toast, ale zupełnie na niego nie zwracam uwagi. Działam mechanicznie. Cała sytuacja wytrąciła mnie z równowagi.

Pośpiesznie pochłaniam przyniesioną przez drugą z pokojówek zupę i korzystam z byle pretekstu, by wymknąć się na zewnątrz. Szybkim krokiem przemierzam korytarze willi. Z impetem popycham drzwi do kuchni tak, że te uderzają o ścianę.

Dwie pomocnice wbijają we mnie przestraszone spojrzenia. Są nachylone nad wielkim wiadrem, do którego obierają ziemniaki. Na mój widok natychmiast się podnoszą i otrzepują fartuchy.

Zerkam na obierki, na dwa garnki kartofli, a potem na kobiety. Obiad powinien już być gotowy. Nie chcę spędzić z tymi pajacami całego popołudnia. To miało być całkowicie kurtuazyjne spotkanie, tymczasem skoro jeszcze nie nastawiono przeklętych ziemniaków…

– Gausch! – wołam jednego ze strażników strzegących wejścia do willi. – Gausch!

SS-man, głośno tupiąc, przybiega do kuchni. Salutuje.

– Zabierzcie je stąd i ukażcie za dywersję – nakazuję, wskazując głową ku kucharkom. – Ale najpierw mają dokończyć przyrządzanie obiadu.

Kara za dywersję oczywiście jest jedna. Śmierć.

81.

Przeczesuję palcami włosy i sięgam po szklankę, ale ta jest pusta. Nie mam ochoty iść po kolejną butelkę, lecz nie wyobrażam sobie również, bym już nic nie wypił. Mógłbym nakazać jej przyniesienie, tyle że… To wszystko jest cholernie skomplikowane. Znów dopada mnie ciężar myśli oraz ich natłok. Poza tym czeka mnie mnóstwo pracy. Naprawdę mnóstwo pracy.

Wstaję i nachylam się nad biurkiem. Przekładam kolejne papiery. Przy drugim biurku siedzi Pemper, dwudziestoletni Żyd, którego zagoniłem do roboty w charakterze sekretarza. Potrafi szybko pisać

na maszynie, nie popełnia błędów i ma ładny charakter pisma. To ostatnie jest szczególnie ważne, wziąwszy pod uwagę, że nie chcę, by w wielu dokumentach grafolodzy dopatrzyli się mojej bazgraniny. Chciałbym być przezorny.

– Napisz, że niestety ze względu na warunki techniczne nie mogę przyśpieszyć procesu budowy i cała operacja przeciągnie się o dwa lub trzy tygodnie – mówię powoli, by dokładnie zrozumiał. – Potem będziemy w stanie przyjąć więcej więźniów niż dotąd, jednak szczegóły uzgodnię w przyszłości. Dołącz do tego wyrazy szacunku, bla, bla, bla…

Stukot maszyny wżyna mi się w mózg, ale nie daję tego po sobie poznać. Pemper stara się pracować jak najciszej i choć brzydzę się nim jako Żydem, doceniam jego sprawność. Poza tym nie odzywa się niezapytany, nie prosi o powtórzenie przy dyktowaniu i w ogóle niemal nie dostrzegam jego obecności. Nie mógłbym trafić na lepszego sekretarza.

– Ubierz to we właściwe słowa… – nakazuję. – A potem stwórz zaproszenia na moje przyjęcie urodzinowe. Treść sam wymyśl, ale mają być eleganckie i subtelne. Datę znasz.

Choć jest już grudzień, nakazałem, by okno było otwarte. Pemper, zdaje się, nie rozumie dlaczego, lecz od dawna planowałem właściwe zmobilizowanie go do pracy. A raczej utrzymanie jego uwagi na odpowiednim poziomie. Nie chodzi przy tym o fakt, że musi pisać wyjątkowo szybko, by nie skostniały mu palce.

Odwrócony plecami do szyby przebieram w papierach. Co jakiś czas zerkam w lustro, obserwując, co dzieje się za mną. Mam widok na część podwórza oraz trasę kolejki do kamieniołomów. Kilku więźniów mozolnie porusza się właśnie pod górę.

– Przeczytaj mi, co napisałeś…

Pemper wyprostowuje się i zaczyna czytać. Ma przyjemny dla ucha niski, ciepły głos. Być może mógłby być śpiewakiem operowym lub

aktorem teatralnym. Jednak życie skierowało go do pracy u mojego boku.

– Czekaj… – Machnięciem dłoni nakazuję mu zamilknąć.

Rozpinam kaburę, wyciągam z niej pistolet i odwracam się do okna. Oddaję dwa strzały. Oba trafiają w mężczyznę, który, zamiast pracować, ociągał się, idąc za pustym wagonikiem. Żyd na moment zamiera w bezruchu, wreszcie pada na przyprószoną śniegiem ziemię. Jego towarzysze nie zwracają na niego żadnej uwagi, lecz jeszcze pilniej zabierają się do pracy. Po chwili znikają mi z oczu.

– Na czym skończyliśmy? – zwracam się do Pempera. – Ach, już wiem…

82.
11 grudnia 1943 r.

Część gości już się zjawiła. Kolejni mają przybyć lada moment. Obsługę zapewnia trzech więźniów robiących za oberów oraz dwie więźniarki. W kuchni pracuje kilka kolejnych osób. Po tym, jak zastrzeliłem kucharza[8], Susanna i reszta improwizują, lecz wiedzą, że powinni się przyłożyć. Wszystko musi wypaść perfekcyjnie.

Ukończenie trzydziestu pięciu lat jest okazją dobrą jak każda inna. Jestem młody i mam tego świadomość. Mam też świadomość, jak wiele osiągnąłem, że stałem się panem życia i śmierci, niemal bogiem. Rządzę kawałkiem wszechświata. Stwarzam swój świat, jak niegdyś stwarzał go żydowski Bóg, choć po mnie nie pozostanie księga czytana przez wszystkie narody. Nie potrzebuję tego. Nie interesuje mnie, co będzie jutro lub za sto lat, a już na pewno nie interesuje mnie, co będzie po mojej śmierci. Jednak na razie nie chciałbym umrzeć. Zostawię po sobie spuściznę rozkazów oraz wspomnień.

Sprowadziłem osiem skrzyń najlepszych win prosto z Prowansji oraz Gaskonii. Nie chciałem sztampy ani przeciętności. Ubrania, moje oraz przeznaczone dla służby, poleciłem uszyć w Paryżu. Przed kilkoma dniami jeden z żydowskich krawców osadzonych w obozie dokonał niezbędnych poprawek. Prezentuję się doskonale i wreszcie mogę odpocząć od munduru. Chcę pozować do fotografii nie jako żołnierz, ale jak elegancki władca.

Towarzystwo nie jest jeszcze pijane, rozmowy prowadzone są na wysokim poziomie, a wielu gości tłoczy się w bibliotece. Przechadzam się między nimi, wymieniam uściski rąk, wysłuchuję życzeń i odpowiadam serdecznościami. To przyjemne towarzystwo. Wiem, że do Berlina dotarły plotki o moim rzekomym okrucieństwie, więc chcę je zamienić na meldunki o żelaznej ręce. O dyscyplinie i o organizacji.

– Panie komendancie…

Kempke delikatnie szturcha mnie w ramię i skinieniem głowy daje znak, żebyśmy odeszli na bok. Unoszę kieliszek, odpowiadając na toast jednego z gości, po czym na modłę francuską wymieniam trzy pocałunki z dopiero przybyłą żoną doktora Weissa. Jej wielkie szafirowe oczy niezmiennie mnie urzekają. Nigdy nie widziałem podobnego odcienia.

– Przepraszam na moment. Wzywają mnie obowiązki… Cała willa jest do waszej dyspozycji.

Odpowiadając uśmiechem na kolejny toast, powoli wychodzę na korytarz. Gdy tłum się przerzedza, przyśpieszam kroku. Kempke maszeruje przede mną. Wbiega po schodach i kieruje się do mojego gabinetu. Po chwili zostajemy zupełnie sami, lecz jeszcze raz upewnia się, że nikogo nie ma na piętrze.

– Mów – nakazuję oschle. – Mam mnóstwo obowiązków i mało czasu. Do tego dziś chcę się zabawić.

– Pańska pokojówka, Susanna… – zaczyna oględnie, po czym przeciąga dłonią po twarzy. – W obozie jest jej siostra.

– Wiem, co z tego?

– Przed chwilą dostałem meldunek o tym, że przygotowywała się do ucieczki z Natalią Weissman.

Wzdycham. Za przygotowania do ucieczki jest przewidziana tylko jedna kara, choć wiem, że Susanna jest bardzo zżyta z siostrą. Mimo że to Żydówka i jedynie moja pokojówka, wykonuje swoje obowiązki na tyle dobrze, że nie chciałbym jej stracić. Potrzebuję jej.

– Ta Weissman to jakaś cholerna pianistka… – ciągnie Kempke. – Artyści mają obrzydliwą skłonność do buntu i chyba powinniśmy ich z góry separować…

– Pianistka… – Parskam. Wkładam dłonie do kieszeni i na moment zagryzam wargę. – Przyprowadźcie ją, mam pewien pomysł.

83.

– Nie musisz przedstawiać się numerem – rzucam, patrząc na niską, drobną kobietę o lśniących czarnych oczach. – Wiem, że nazywasz się Natalia Weissman i jesteś pianistką.

– Tak, panie komendancie.

– I planowałaś ucieczkę.

– Ja…

Kobieta milknie, uświadamiając sobie, że niepytana nie ma prawa się odzywać. Jednocześnie lekceważąco macham dłonią.

– Zdejmij chustę.

Weissman przez chwilę się waha, lecz zaraz wykonuje moje polecenie. Jej głowę pokrywa ledwie meszek włosów. Spuszcza oczy i zawstydzona cofa się o pół kroku, jakbym kazał jej się rozebrać.

– Nie bój się. Jestem władcą wymagającym, ale też miłosiernym. Jaki repertuar wykonywałaś?

– Każdy, panie komendancie. Każdy, za który zapłacono mi, bym mogła się utrzymać.

– Wy, Żydzi… – Wzdycham i spoglądam na jej ładne dłonie o długich palcach. Kobieta odruchowo chowa je za plecami. – Powiedziałem: nie bój się.

– Przepraszam, panie komendancie.

– Jaką muzykę lubisz szczególnie?

Wzrusza ramionami i przestępuje z nogi na nogę.

– Strauss, Wagner…

– A naprawdę? – Staję tuż przed nią i spoglądam na nią z góry. Jest niższa ode mnie o jakieś dwie głowy i wydaje się niemal dzieckiem. – Nie próbuj mnie okłamywać.

Waha się jedynie przez kilka sekund, po czym wymienia kolejno:

– Schubert, Chopin, Brahms, czasem Mahler…

– Dobrze. Doskonale. – Delikatnie popycham ją w stronę korytarza. – Za chwilę znajdziemy ci ubranie, a potem w salonie dasz najważniejszy koncert swojego życia.

Widzę, że jej ręce drżą, lecz będzie musiała nad tym zapanować. Chciałbym powiedzieć, że sztuka nie zna narodowości, jednak to nie jest prawda.

– Jeśli mnie zauroczysz, pozwolę ci żyć – dodaję, gdy wychodzimy z mojego gabinetu. – Dlatego musisz się naprawdę postarać.

84.

Ze splecionymi na piersi rękoma wsłuchuję się w tony nokturnu Chopina. Natalia Weissman zaimponowała mi, wybierając właśnie tę

kompozycję, którą znam i cenię. W ogóle uważam, że ludzie zbyt rzadko słuchają muzyki.

Nokturn cis-moll jest pełen zadumy, nastrojowy, a zarazem przebija w nim jakaś rozedrgana energia. Ów wzmiankowany przez teoretyków sztuki niemieckiej atawistyczny pierwiastek mocy. Kiedy człowiek się w niego wsłuchuje, ożywa w nim dziki instynkt i wszystko spłyca się do pierwotnej cząsteczki, jaką stanowi w maszynerii całego wszechświata.

Otwieram oczy, po czym wiodę wzrokiem po zebranych. Kempke, Laufner, doktorzy Berg i Willer, grupa wystrojonych kobiet, trzech wyprężonych niemal na baczność oficerów, wszyscy oni zdają się całkowicie urzeczeni muzyką. Marsze wojskowe potrafią być nudne i przewidywalne. Ba, zazwyczaj takie są. Tymczasem Chopin… Niegdyś na mnie nie działał tak mocno. Może to kwestia chwili i tego, że kończę kolejny rok życia? Może to kwestia miejsca albo tego, kto wykonuje ten utwór? Może to kwestia alkoholu…

Czuję naprawdę głębokie uniesienie. Zapewne ma na nie wpływ wypity koniak, lecz z każdym uderzeniem klawisza mój nastrój poprawia się. Jakby za oknem wychodziło słońce, a mój wewnętrzny niespokojny duch się uspokajał. Dziwne. Naprawdę dziwne.

Przypomina mi się kilka koncertów, na których bywałem naście lat temu i ożywają przyjemne wspomnienia. Zdaje się, że tego nokturnu słuchałem niegdyś w operze wiedeńskiej. Choć byłem wtedy zaledwie wyrostkiem, niesnującym nawet górnolotnych planów, wierzyłem w siebie. Wierzyłem, że znaczę coś w rytmie dziejów oraz historii.

A może tylko teraz tak mi się wydaje? Wzdycham i ponuro kiwam głową. Znów pojawia się przygnębienie oraz niezrozumiały gniew. Przecież to piękna muzyka, a jednak… To chyba największe jej piękno i dowód wielkości. Wywoływane emocje, ożywienie duszy oraz przyśpieszenie rytmu serca.

Bzdury. Bzdury. Bzdury.

To wszystko jest jedynie kwestią poplątanych myśli oraz autosugestii. Nie mogę sobie pozwolić na wzruszenie. Delikatnie odsuwam od siebie Ruth, która chciała włożyć dłoń pod moje ramię. Nie chcę, by teraz mnie dotykała.

Nokturn dobiega końca i zapada cisza. Przez chwilę zgromadzeni goście odwracają się, łypiąc, czy jestem ukontentowany. W końcu przy pianinie siedzi nie człowiek, lecz żydowska pokraka. Do tego teraz cała drży, wciąż wyprostowana i pochylona w stronę pianina.

– Brawo… – szepczę, po czym zaczynam klaskać. – Ona powinna żyć…[9] Ona powinna żyć – powtarzam.

I już wiem, że zostanie damą mojego dworu, że namaszczę ją na swoją przyboczną pianistkę, która występami będzie okraszać kolejne pijackie rauty. A jeśli ze swoich obowiązków nie wywiąże się należycie…

Kładę dłoń na jej ramieniu i powoli się nachylam do jej ucha.

– Jeśli kiedykolwiek zafałszujesz, trafisz do komory – szepczę, a po jej plecach przebiega dreszcz.

Napawam się jej pełnym artyzmu strachem.

85.

Kolejny dzień rozpoczynam od picia. Koniak, dwie butelki wina, nawet ta ohydna szkocka whisky. Jest koniec stycznia, słońce wstaje późno i wcześnie znika za horyzontem. Brakuje mi energii. Brakuje mi humoru.

Przekazane mi przez zaprzyjaźnionego sztabowca wieści z frontu są coraz gorsze. Właściwie już nie ma żadnej nadziei na zwycięstwo i musimy przede wszystkim myśleć o tym, jak przetrwać. Upadek Rzeszy jest zapewne jedynie kwestią czasu, Sowieci podnieśli łby i zatrzymać ich będzie bardzo trudno, o ile w ogóle jest to wykonalne.

Tymczasem Amerykanie oraz Anglicy odnoszą na południu zwycięstwa jedno po drugim. Kolejne niemieckie miasta są obracane w morza ruin, w których grzebane są tysiące lub dziesiątki tysięcy niewinnych cywilów.

To dobrze. Nic tak nie hartuje charakteru jak trudne sytuacje. Albo powstanie nowy naród i nowa Rzesza, albo pogrążymy się w odmętach historii. Jak zwykle niewiele mnie to obchodzi. Moim problemem jest krótki dzień, plucha za oknem i ohydny alkohol. Gdyby tylko móc się jakoś zabawić…

Lekko się zataczam, przemierzając korytarz willi. Nie wiem, co tu robię i po co szedłem. Wracałem się do sypialni, ale nie mam pojęcia, w jakim celu. Po książkę? Raport? Nie, niczego tam nie zostawiłem.

Flaszkę? Czy gdzieś w szafce nocnej albo w bieliźniarce mam schowaną butelkę czegoś zdatnego do picia? Nie pamiętam. Może chciałem to sprawdzić, a może…

Popycham drzwi i spoglądam na poprawiającą pościel Susannę. Przyglądam się, jak pochylona składa kołdrę. Pokojówka dopiero po chwili spostrzega moją obecność, prostuje się i potulnie cofa ku oknu.

– Jesteś tu… – rzucam bez sensu. – Nie przeszkadzaj sobie.

I w tym samym momencie myśli burzą mi się w głowie. Sztywnym krokiem podchodzę do Susanny, po czym przyciągam ją do siebie. Rozchylam poły jej fartucha i kładę dłonie na jej piersiach. Pokojówka nie wie, co zrobić. Cofa się, lecz boi się krzyczeć.

– Proszę… – skomli. – Panie komendancie…

Popycham ją na łóżko i rozpinam spodnie. Spoglądam prosto w jej pełne przerażenia ciemne oczy. Podniecają mnie. Podnieca mnie jej drobne, delikatne ciało. Podniecają mnie nawet jej sińce, których dorobiła się na prawym policzku przed kilkoma dniami.

Rzucam się na łóżko i obracam się twarzą w jej stronę. Podciągam jej suknię. Ręce mi drżą jak małolatowi.

Nagle słyszę trzaśnięcie drzwi. Zrywam się i przebiega mnie nieprzyjemny dreszcz. W progu stoi Ruth, z zaciśniętymi ustami oraz czerwonymi policzkami. Ktoś musiał jej donieść o tym, co się tu dzieje. Jesteśmy w sypialni we trójkę, lecz już wcześniej drzwi musiały być otwarte.

– Z więźniarką? – odzywa się z pogardą. – Z tą marną Żydówką?

Wydyma usta w uśmiechu, po czym kręci głową. Nie mówiąc nic więcej, wychodzi z pokoju, a ja natychmiast trzeźwieję.

– Ubieraj się – rzucam do pokojówki. – I znikaj mi z oczu.

Ponoć przez kolejnych kilka dni Göth nie tknął nawet kropli alkoholu.

86.

– To, co wydarzyło się wczoraj… – zaczynam, splatając dłonie na piersi. Spoglądam w oczy stojącej przede mną Susanny i odchylam się w fotelu. – Nigdy więcej nie wrócimy do tego tematu.

– Tak, panie komendancie.

– Zamilcz, teraz ja mówię.

Odczekuję dwie, trzy sekundy, aby moje słowa zrobiły należyte wrażenie i ciężko wzdycham.

– Mógłbym wysłać cię do komory, wiesz, o czym mówię? Teraz możesz odpowiedzieć.

– Wiem.

– I wiesz, że dzięki mojej łasce żyje twoja siostra?

– Wiem. – W oczach Susanny pojawiają się łzy. – Chciałam za to bardzo panu podziękować, to naprawdę…

– To zasługa tej semickiej nędznej pianistki. Nikogo innego.

– I tak dziękuję.

Mam dość tego wiecznego podlizywania się, a zarazem w zachowaniu tej kobiety nie ma żadnej przesady. Nie jest sztucznie służalcza ani uległa. Znosi swój los, lecz stara się to robić z choćby odrobiną godności. Starała się to robić również wczoraj…

– Jeżeli o tym, co zaszło, ktokolwiek się dowie, zginiesz nie tylko ty, ale i cała twoja rodzina. Wiem, że w obozie są również twoje dwie kuzynki i ciotka.

Zweryfikowanie tych danych wcale nie było łatwe, lecz zazwyczaj do Płaszowa nie trafia się samotnie. Z ulic, domów i miast znikają całe społeczności. Znikają bracia oraz siostry, rodzice i dzieci. Nie wiem, co mnie powstrzymuje przed skazaniem Susanny na śmierć. Codziennie wokół ginie wiele osób, nikt tego nigdy się nie doliczy. A jednak… Jeśli coś do niej czuję, brzydzę się tym i żal mi samego siebie. Jednak prawdziwe problemy kształtują mężczyznę, prawda? Z daleka od frontu mogę się zmierzyć przynajmniej sam ze sobą oraz ze swymi zwierzęcymi popędami.

– Dostaniesz ode mnie również nagrodę – oznajmiam, odpalając cygaretkę. Zaciągam się i wypuszczam kłąb dymu ku sufitowi. – Będziesz mogła chodzić w cywilnym ubraniu i bez gwiazdy Dawida na ramieniu.

Obserwuję jej reakcję, lecz na twarzy kobiety nie pojawia się choćby cień zadowolenia. Od dawna nosi maskę, wiem to. Nie jest już w stanie jej zdjąć i być może nigdy nie będzie.

– Możesz odejść – rzucam, odwracając się do okna.

87.

Muszę wyglądać doskonale. Każdego dnia powinienem się spodziewać delegacji z Berlina, która oceni sposób funkcjonowania obozu. To sprawia, że jestem nieustannie

podminowany. Właściwie nie mam powodów do zmartwień, ale wiem, że ludzie gadają. Jedne układy wypierają inne, a ja tkwię w tej mieszaninie poglądów oraz wpływów, starając się od lat po prostu milczeć. Wielka polityka w zasadzie mnie nie interesuje, od zawsze pociągała mnie co najwyżej idea. Jednak nie byłem również idealistą. Co to, to na pewno nie… Może przez kilka tygodni lub przez kilka miesięcy, nie dłużej. Do momentu, gdy oddano ku mnie pusty strzał lub kazano po prostu zmykać. Niemal już o tym nie pamiętam.

Zaciskam usta i zerkam na zegarek. Jest szósta osiem rano. Słońce wzeszło zaledwie kilka minut temu i dzień zapowiada się naprawdę pogodnie. Bladobłękitne niebo jest pozbawione jakichkolwiek chmur, powietrze przejrzyste, a uchylonym oknem nie przemyka najdrobniejszy przeciąg. Mamy już początek lutego i za kilka tygodni rozpoczną się wiosenne roztopy. Prace przy obozie znowu będą mogły ruszyć pełną parą. Nie będzie już miejsca na wymówki, że ziemia jest zamarznięta lub że niemożliwe jest transportowanie kamieni po oblodzonych torach. Wiosna to czas pracy.

– Wiosna to czas pracy, prawda?! – wyrażam głośno swoją ostatnią myśl.

Siedemdziesięcio- lub osiemdziesięcioletni mężczyzna, służący mi jako pucybut, spogląda na mnie małymi, kaprawymi oczkami. Ich białka są właściwie żółtobrązowe, a powieki zaczerwienione. Wydaje się, jakby starzec przez cały czas płakał. Kiwa głową i spogląda na owoc swojej pracy. W bladym świetle trudno ocenić, jak wywiązał się z zadania.

– Lśnią? – pytam ostro.

– Lśnią, panie komendancie – odpowiada.

Podchodzę do lustra i się przeglądam. Mundur jest doskonale wyprasowany, ale na butach dostrzegam matowe miejsca. Wściekły zaciskam pięści.

– Lśnią?! – wrzeszczę, wskazując na niewystarczająco wypolerowany kawał skóry. – Chciałeś, żebym tak wyszedł z domu?

– Panie komendancie…

Wymierzam starcowi kopniaka prosto w twarz. Gdy wali się na ziemię, chwytam go pod ramiona i wywlekam przez korytarz na dwór. Ciskam go w rozpuszczający się w pierwszych promieniach słońca śnieg.

– Od początku mi się nie podobałeś, bydlaku.

Wyciągam pistolet i oddaję kilka strzałów. W momencie, gdy zapinam kaburę, dostrzegam biegnącego w moją stronę Kempkego. Podoficer obojętnie zerka na zakrwawione zwłoki, po czym staje przede mną na baczność.

– Inspekcja z Berlina zjawi się lada godzina… – szepcze konspiracyjnym tonem.

Nie sądziłem, że kiedykolwiek zostanę spiskowcem we własnym obozie.

– Niech ktoś zabierze ciało – rzucam, po czym wracam do willi, by osobiście dokończyć polerowanie butów.

88.

– Mam dość mocne podejrzenia, że za tą inspekcją stoi pewien z pańskich ostatnich gości…

Kempke nachyla się i wymawia mi prosto do ucha nazwisko jednego z przedsiębiorców – tego, który zwrócił uwagę na mój stosunek do służby domowej. Cholerny sukinsyn. Gdyby mnie nie ostrzeżono, wizytacja byłaby dla mnie całkowitym zaskoczeniem. Czy ten drań nie spodziewał się, że moje znajomości wykraczają poza to odludzie? Może być już pewny, że żaden przedmiot dla jego fabryki nie zostanie już nigdy wyprodukowany przez moich więźniów. Już nie zyska

darmowych przestrzeni ani materiałów. Choćby przyszedł do mnie na kolanach.

– Czy księgi rachunkowe zostały odpowiednio uzupełnione? – pytam, patrząc w stronę bramy. Chłodny wiatr wieje mi prosto w twarz i wydaje mi się to nie najlepszą wróżbą. Nachodzą mnie wątpliwości. – Czy wszystko jest przygotowane tak, jak chciałem?

– Oczywiście, panie komendancie.

– A jednak nie wydajesz się w pełni przekonany?

Kempke wzdycha. Odwraca się do mnie, a jego twarz jest surowa i tak poważna, jak chyba nigdy dotąd. W oczach nie błyska nawet najdrobniejsza iskierka przekory lub charakterystycznej dla niego ironii.

– Ukrycie „wszystkiego" nie jest możliwe. Przede wszystkim, jeżeli mamy świadków.

– Większość z nich będzie milczała.

– Ale niektórzy się wyłamią. Na co mamy dowody.

Żałuję, że zastrzeliłem pucybuta. Żałuję, że dałem się kilkukrotnie ponieść emocjom w obecności osób, przy których powinienem być powściągliwy. Jednak teraz na to wszystko jest już zbyt późno.

W rozliczeniu rozmaitych interesów przyjąłem wiele luksusowych mebli, które powinny trafić do ewidencji własności Rzeszy. Kochankom oraz żonie wręczyłem kilkadziesiąt luksusowych futer podarowanych jako „prezenty" od więźniów lub przedsiębiorców. Ściany mojej willi pokrywają dzieła sztuki, za które nie zapłaciłem nawet marki i które kilka ciężarówek przywiozło tu prosto z likwidowanego getta w Krakowie. Wielu więźniów głoduje, gdyż zmniejszyłem racje żywnościowe, a to, co zostało w magazynie, sprzedałem za podwójną cenę. Na kilku kontach bankowych mam oszczędności, których zebranie oficerowi z moim uposażeniem zajęłoby kilkaset lat. Ja to wszystko zgromadziłem w kilka miesięcy.

– Znamy skład inspekcji? – pytam, dostrzegając na drodze czarną limuzynę. Powoli ruszam w stronę bramy.

Kempke wymienia kolejne nazwiska, ale znaczna część z nich nic mi nie mówi. Na szczęście zdaje się, że nie zjawią się czołowi przedstawiciele walki z „niedociągnięciami systemu". Czy to eufemizm? Przed sobą mogę wprost przyznać, że parałem się zakrojoną na szeroką skalę korupcją, ale Rzesza nie straciła przeze mnie niczego. Rozwinąłem produkcję, stworzyłem zakłady pracy, posłałem na front tysiące mundurów, butów i rozmaitych elementów ekwipunku wojskowego. Wszystko niemal za darmo…

– Musimy robić dobrą minę – rzuca Kempke. Zatrzymuje się tuż obok mnie i przygląda wjeżdżającym przez bramę autom.

– O nie, nie… Musimy pamiętać, że tym ludziom zależy dokładnie na tym samym, na czym zależy nam.

Uśmiecham się i ruszam w stronę pierwszego z samochodów. Wiem, że lada chwila mogę stracić wszystko, co zdobyłem. Nie zamierzam jednak tego oddać bez walki.

89.

– Mamy tu taką drobną tradycję. Ilekroć zjawia się ktoś, kogo nie znamy, wspominam, że znajdujemy się w miejscu, gdzie przed rokiem była błotnista polana. Każda deska, każdy kamień, który widzicie, to efekt naszej ciężkiej pracy. I za nieustanny postęp tej pracy pragnę wznieść kieliszek szampana. Za pracę na rzecz Rzeszy!

Strzelają korki, szkło brzęczy, następują uściski rąk i gratulacje. Na razie wszystko przebiega zgodnie z planem. Inspektorzy zamiast do budynków administracyjnych skierowali się do mojej willi. Poza alkoholami czekają na nich cztery wyborne kurwy oraz mnóstwo

dobrego jedzenia. Jeżeli Kempke się nie myli, to powinno być wystarczające, by członkowie tej delegacji nabrali wody w usta.

– Proszę się bawić i korzystać do woli. – Pańskim gestem pokazuję, że mój dom należy do nich. – Zapewniam, że niczego wam nie zabraknie.

Przed przybyciem inspektorów nakazałem zdjęcie niektórych obrazów i ukrycie kilku innych dzieł sztuki. Wolałem nie wyjść na zbytnio zainteresowanego drogocennymi przedmiotami. Jednak nie mogłem sobie odmówić jednego. W momencie, gdy wznoszony jest toast za Rzeszę, moja nadworna żydowska pianistka zaczyna grać hymn. Wszyscy, bez wyjątku, podejmują pieśń i po chwili dobywa się ona z kilkunastu gardeł.

– Podoba mi się pańska postawa – stwierdza Kurt Kohl, typowy partyjniak i szef delegacji. Jest to mężczyzna około pięćdziesięcioletni, szpakowaty, z binoklem w oku. Ściska mi dłoń, po czym przytrzymuje ją stanowczo zbyt długo. – Doceniam wszelkie przejawy patriotyzmu.

– To tylko drobny gest.

Klepię go po ramieniu, po czym zachęcam, by wrócił do towarzystwa kosztującego kolejnego szampana.

– Niemal nie pijam alkoholu – stwierdza, patrząc mi w oczy. – A już nigdy, gdy mam wsiąść do auta.

– Mogę zapewnić noclegi. To żaden problem.

– Ależ owszem. – Kohl robi smutną minę. – Jeszcze dziś po południu musimy być w Krakowie, a potem jedziemy do Bełżca. W międzyczasie muszę przesłać skrócony raport do przełożonych…

Mężczyzna wymownie mlaska i rozkłada dłonie. Chyba wiem, co ma na myśli. Skinieniem głowy daję mu znak, by podążył za mną, po czym powoli kierujemy się do mojego gabinetu. W korytarzu proszę Kempkego, aby zajął się gośćmi.

– Proszę usiąść. – Wskazuję Kohlowi fotel i częstuję go cygarem. – Tego pan chyba nie odmówi?

– Ależ nie. Chętnie się skuszę.

– To księga rachunkowa. – Podsuwam mu niedawno uzupełnione zeszyty. – Produkcja wzrasta z miesiąca na miesiąc i obóz staje się coraz bardziej wydajny.

– Nasze dane nie były aż tak optymistyczne.

Przebiega mnie nieprzyjemny dreszcz. Podchodzę do biurka i otwieram szufladę. Wyjmuję z niej przygotowaną uprzednio paczkę.

– Dane to kwestia interpretacji. Wiem, że musimy popracować nad kilkoma szczegółami, ale wszystko jest do zrobienia. Na razie nie musimy się niczym martwić.

– Czyżby? – Kohl wypuszcza dym i spogląda najpierw na paczkę, a potem na mnie. Delikatnie się uśmiecha. Po raz pierwszy od początku wizyty. – Przyznam, że pobieżnie zerkając na cyfry, sytuacja wygląda lepiej, niż się spodziewałem. Tylko ci więźniowie…

Pochylam się w jego stronę i podaję paczkę. Bierze ją ochoczo, po czym chowa do skórzanej teczki.

– Co z nimi? – dopytuję.

– Nie mogą znikać bez oficjalnych wyroków. Tych ewidencji nie da się zmodyfikować, gdyż porównujemy dane z wielu źródeł. Jeżeli zarządcy getta twierdzą, że wysłali wam pięć tysięcy osób, a wy kwitujecie odbiór czterech i pół tysiąca, to coś musi się nie zgadzać.

Ze zrozumieniem kiwam głową. Wracam do biurka i tym razem wyciągam z szuflady plik kartek.

– Zapamiętam to sobie – stwierdzam i podsuwam jeden z papierów w stronę Kohla. – Poza tym wszystko się zgadza, prawda?

Szef delegacji odkłada cygaro do popielniczki i bez słowa podpisuje kolejne dokumenty.

90.

Po wizycie inspektorów poczułem przypływ dobrego humoru. Właściwie wszystko powinno być całkowicie dobrze, o ile częściej okażę wyrozumiałość i łaskę. To niska cena za spokój oraz zezwolenie na kontynuowanie dotychczasowych procederów. Dzieła sztuki wróciły do willi, a ja mogę je podziwiać, przechadzając się w tę i we w tę. Nic innego nie ma znaczenia.

Nakazałem ponowne sprawdzenie ewidencji więźniów oraz zweryfikowanie stanu zakwaterowania w barakach. Zależy mi na tym, aby wszystko się teraz zgadzało. Kiedy jestem pod lupą Berlina, lepiej się wyciszyć. Braki osobowe można wytłumaczyć nieścisłością rachunków i szerzącymi się w obozie chorobami. Lekarze przyrzekli mi pomóc i wystawić odpowiednie świadectwa, ale wolę im nie ufać nazbyt przesadnie.

Jesteśmy na dobrej drodze. Po chwilowej zawierusze nastąpiła cisza. A potem… Tak, wiem, że niedługo wszystko może wywrócić się do góry nogami, więc powinienem czerpać z dzisiejszego dnia tyle, ile mogę. Liczy się tylko ta chwila i ta bezsenna noc. Nie ma znaczenia ani trwanie, ani przetrwanie. Chodzi o coś znacznie głębszego. Tracę poczucie bycia panem życia i śmierci, ale nie mam już z tym żadnego problemu. Mogę być jedynie zarządcą dusz i odpowiada mi to tak długo, dopóki nikt nie zabiera się za rozliczanie mojej.

Spoglądam w niebo i obserwuję przesuwające się szare chmury. Od kilku dni solidnie wieje. Niedługo nadejdzie marzec, a wraz z nim wiosna. Zawsze lubiłem czas, gdy cały świat zdaje się budzić do życia. To kwestia sugestii i przekonań. Człowiek powinien postępować wraz z rytmem natury. Są okresy, kiedy należy zebrać siły, a potem przejść do ataku.

Wsłuchuję się w odgłosy dobiegające z pracowni krawieckiej, w polecenia wydawane przez kapo i w cichy stukot kół popychanych

wagoników. Parę dni temu wznowiono pracę w kamieniołomie. Nie mogę sobie pozwolić na żadne przestoje, lecz muszę zweryfikować wszystkich przedsiębiorców, z którymi współpracuję. Nawet za cenę mniejszych zysków, powinienem być znacznie ostrożniejszy.

Spomiędzy baraków dobiega mnie odgłos szybkich żołnierskich kroków. Odwracam się i spoglądam na Kempkego, który podąża w moją stronę.

– Szukałem pana, panie komendancie.

Mruczę coś niezrozumiale. Nawet nie wiem, co chciałem mu powiedzieć. Kempke wyciąga dłoń, w której trzyma niewielką kopertę. Biorę ją od niego, po czym wyjmuję z niej kartkę papieru. Nowy rozkaz wysłany telegrafem prosto z Berlina. Zaczynam czytać i z każdym słowem czuję narastającą złość. Mimo to nie daję po sobie niczego poznać. Być może zdradzają mnie jedynie zaciśnięte wargi.

Spoglądam ponownie na Kempkego, który pręży się w służbowej postawie. Nie. Z jego twarzy nie potrafię wyczytać żadnych emocji. Nie sądzę, żeby znał treść tego cholernego pisma. Zastanawiam się, czy wokół mnie są zdrajcy, czy to pokłosie ostatniej inspekcji. Zmarnowałem kilka butelek dobrego szampana i tylko tego mi żal. Niczego więcej.

91.

Zostałem odwołany ze stanowiska. Obóz w Płaszowie ma podlegać bezpośrednio Berlinowi, a mnie, na pocieszenie, oddelegowano do zadań przy ostatecznej likwidacji obozu w Szebni. Może to i dobrze? Kiedyś musiał przyjść ten moment, a w dodatku, znając doniesienia z frontu, może nie wyjdzie mi to na złe.

Likwidacja Szebni, zatarcie śladów, a potem na zachód… W stronę domu. Tylko gdzie jest mój dom? Przez ostatnie lata straciłem

poczucie posiadania jakiegokolwiek miejsca na ziemi. Z pewnością nie jest nim już Wiedeń, nie jest nim też Płaszów ani Kraków. Kiedyś śniłem o kawiarniach Paryża lub rzymskich fontannach, ale teraz pozostała jedynie bezsenność…

Jestem sam w niewielkim budynku na tyłach obozu w Szebni. Obu pracującym tu urzędnikom nakazałem wyjść. Natychmiast wstali od pracy, zostawili na pół zapisane maszynopisy, otwarte zeszyty i rozrzucone na biurkach dokumenty. Te mnie nie interesują.

Przechadzam się wzdłuż metalowych regałów od podłogi po sufit zastawionych dokumentami. Staram się zrozumieć ich systematykę. Część ułożono chronologicznie, inne alfabetycznie, jeszcze inne uporządkowano zgodnie z charakterem spraw. Gdybym poprosił urzędników, zapewne wszystko by mi natychmiast wytłumaczyli. Jednak to zadanie muszę wykonać sam, bez względu na zaufanie, jakie mam dla tych dwóch gryzipiórków.

Wreszcie trafiam na zbiór dokumentów, które wyszły z mojej kancelarii. Zatwierdzenia rozkazów, meldunki oraz narzucone ramy działania. Plany, schematy, okólniki. Do tego kilka osobistych poleceń, służbowych notatek i pism obiegu wewnętrznego. Urzędowa korespondencja z jednym z oficerów oraz z kilkoma pracownikami administracji. To wszystko powinno zniknąć.

Głęboko wciągam zapach kurzu i papieru. Waham się tylko przez chwilę. Moi przełożeni dali mi do zrozumienia, że mogę robić wszystko, co uznam za słuszne. „Żadnych śladów” – brzmiało polecenie. A ja nie musiałem dopytywać, o jakie ślady chodzi i co powinienem z nimi czynić.

W archiwum pojawiłem się ze skórzaną walizką z utwardzanymi krawędziami. Kładę ją na podłodze, po czym zaczynam wypełniać kolejnymi dokumentami. Na początku staram się je segregować, wreszcie wrzucam, co i jak popadnie. Zamiast pojedynczych kartek chwytam całe teczki, zamiast teczek segregatory. Z tego zadania

wywiązuję się ze szczególną sumiennością. Kieruje mną gorliwość podobna do tej, z jaką opróżniałem kolejne polskie getta, z jaką oczyszczałem z Żydów ulice miast oraz miasteczek.

Po prawie trzech kwadransach intensywnej pracy biorę wypełnioną po brzegi walizkę i kieruję się do wyjścia. Na porozumiewawcze spojrzenia urzędników odpowiadam jedynie skinieniem głowy. Rozchodzimy się, nie mając wątpliwości, że nikt nie może się dowiedzieć o tym spotkaniu. Pozostawiamy je w niebycie tak, jak w niebycie pozostawiliśmy dziesiątki tysięcy dusz.

Z pochyloną głową, zadumany, kieruję się do swojej tymczasowej siedziby. Willa w Płaszowie wciąż jest moją główną kwaterą, lecz od kilku dni mieszkam na terenie Szebni.

W momencie, gdy dochodzę do niewielkiego ceglanego budynku, dostrzegam, że stoi przed nim samochód. Na mój widok wychodzi z niego oficer łącznikowy. Nie zdejmując rękawiczek, podaje mi list, po czym salutuje i milcząc, wraca do auta. W ostatnim czasie wypowiadanych jest coraz mniej słów, choć przecież są one o tyle bezpieczniejsze od dokumentów. Ponuro zerkam na walizkę, a następnie przenoszę wzrok na cienką kopertę. Zaadresowano ją w Berlinie…

Co przyniesie mi przyszłość?

92.

Awanse na Hauptscharführera, a potem na Obersturmführera przyszły jeden po drugim, jakby w uznaniu grzechów, które popełniono przeciwko mnie. A może tylko po to, aby kiedyś móc mnie uciszyć? Z każdym szczeblem pokonywanym w hierarchii rosną moje winy i odpowiedzialność. Wiem to. Szeregowy żołnierz, który zabił dziesięć tysięcy osób, będzie mniej potępiany od swojego dowódcy.

Jednak teraz… Teraz będzie też całkowicie zapomniany, a jego dowódca przetrwa w pamięci pokoleń.

Wraz z awansami znów czuję władzę. Po chwilowej niemocy wracają mi siły oraz gotowość do walki. Przetrwam albo zginę, na jedno wychodzi. Nic już nie może zmienić tego, kim jestem i kim byłem.

Spływają do mnie kolejne raporty. Na większość z nich nie odpisuję lub nakazuję prowadzenie korespondencji podwładnym. To jedna z zalet piastowania wyższych szarż.

Deficyty budżetowe.

Braki w kasie.

Niedostatek funduszy.

Trzy określenia tego samego i zarazem nieme nawoływania do wszczęcia śledztw. Teraz nie ma znaczenia, czy jakakolwiek część dawnych łupów wpadła w moje ręce. Nie mają znaczenia łapówki wręczone mi przez fabrykantów, skonfiskowane futra ani obrazy. Cała Rzesza chwieje się w posadach, więc pękają również najgłębiej wkopane fundamenty. Ja jestem jednym z nich.

Nakazałem pozbycie się blisko tysiąca Żydów ze Szczebrzeszyna. Przejęty majątek rozliczyłem z wręcz przesadną dbałością i przejrzystością. Wszystko wpłynęło na rachunki właściwych urzędów. Tyle że akcja okazała się kosztowna. Wypomina mi się koszty benzyny, sprzętu, dodatkowego uposażenia żołnierzy…

– Pieprzona buchalteria… – cedzę i prostuję się w fotelu. Zakładam dłonie za głowę. – Masz jakiś pomysł?

Kempke, mój wierny pies, wzrusza ramionami. Jego to nie dotyczy. Wiem, że nasze drogi zaczynają się powoli rozchodzić.

– Żydzi sami powinni za to płacić – rzuca od niechcenia. – To proste.

– Mów dalej…

– Chyba jeszcze mi się to nie wyklarowało.

Parskam ironicznie i biorę ołówek. Obracam nim między palcami, formułując myśl. Uśmiecham się, spoglądając na zafrasowanego Kempkego. Przez ostatnie tygodnie wychudł i zapadł się w sobie, jakby sytuacja nadto go przytłaczała.

– Wiesz co? Masz rację.

Odkładam ołówek i wstaję od biurka. Podchodzę do okna, otwieram je, po czym zaciągam się powietrzem. Czuć w nim swąd dymu.

– Zostaliśmy zmuszeni do wykonania egzekucji – odzywam się tonem, jakbym dyktował odezwę. – Wszystko przebiegało zgodnie z przepisami prawa, każdy strzał jednak kosztuje.

Zamykam okno i odwracam się do Kempkego. Słucha mnie z pełnym skupieniem.

– Niech tamtejsza rada żydowska zapłaci dwa tysiące marek i przekaże nam zapas kawy w wynagrodzeniu za amunicję zużytą w trakcie rozstrzelań. – Uśmiecham się cynicznie, dokładnie tak, jak niegdyś robił to Kempke. – W razie braku zapłaty w ciągu czterdziestu ośmiu godzin rozstrzelamy kolejnych Żydów z powodu malwersacji finansowych oraz niewywiązania się z zarządzeń administracyjnych.

Jestem dumny z tego pomysłu.

93.

W ciągu kilku dni od rady żydowskiej zebraliśmy tyle pieniędzy, ile byłoby potrzeba do utrzymania obozu przez tydzień. Ci rzekomo całkowicie biedni ludzie potrafili zaskakująco szybko zdobyć fundusze. Sądzę, że gdyby wskazana kwota była dwu- lub trzykrotnie wyższa, również nie byłoby problemu z jej zgromadzeniem. Jednak nie chcę być zachłanny. Na to być może jeszcze przyjdzie czas. Zachłanność zazwyczaj jest albo pierwszym stadium upadku, albo

przyczynkiem do ucieczki za morza i oceany. Zrobiłem się sentymentalny i polubiłem bon moty.

Od kilku minut obserwuję zabawę Ralfa i Rolfa beztrosko biegających po wybiegu. Oba psy są szczęśliwe, całkowicie nieświadome powagi wydarzeń zachodzących w świecie. To ich przekleństwo i łaska zarazem. Czy nic nieznaczące robaki, grzebiące w ziemi lub gnoju, mogą być spokojniejsze od ludzi? Czy w ogóle rozumieją, czym jest trawiący duszę niepokój? Nie, pewnie nie.

– Ralf! – przywołuję psa, który natychmiast przybiega do mojej nogi. Rolf trzyma się kilka metrów dalej, jakby czekał na swoją kolej.

Głaszczę doga po łbie, spoglądam mu w oczy i staram się uspokoić myśli. Towarzystwo tych wiernych, oddanych zwierząt zawsze wprawiało mnie w lepszy nastrój. Tymczasem teraz… W oczach Ralfa dostrzegam dziwną pustkę, a może odbicie własnego spojrzenia? Zaciskam usta i się wyprostowuję. Pies pokornie, nie rozumiejąc mojej nagłej zmiany humoru, nisko macha ogonem. Obserwuje mnie.

– Idźcie do kojca! – nakazuję.

W tym samym momencie coś łaskocze mnie w dłoń. Obracam ją i dostrzegam czarną pchłę przeskakującą na rękaw munduru.

– Niech to szlag – cedzę. – Do kojca!

Ralf i Rolf z podkulonymi ogonami posłusznie kierują się do zamkniętego ogrzewanego legowiska. Tymczasem ja strzepuję pchłę i wściekły ruszam ku budce tresera. Już kilkukrotnie darowałem mu różne przewinienia oraz zaniedbania. Byłem wyrozumiały, pozwalając na wypady do rodziny do Krakowa albo na swobodne poruszanie się po terenie całego obozu. Co za niewdzięczny gnój!

Otwieram drzwi i wchodzę po niskim stopniu. Budka ma ledwie kilka metrów kwadratowych, ale znajduje się w niej mała kuchnia, łóżko oraz dwie szafki. Przy jednej z nich na krześle siedzi treser – około sześćdziesięcioletni mężczyzna z owalną twarzą

i rozwichrzonymi włosami. Na mój widok natychmiast podrywa się z miejsca i odkłada do popielniczki długą fajkę. Dłonią stara się rozegnać gęsty dym. Pali tani, cuchnący tytoń, ale nie zwracam na to żadnej uwagi.

– Ralf miał pchłę… – oznajmiam lodowatym tonem. – Zaniedbujesz moje psy, żeby tylko uciec od pracy. Ty cholerny polski nierobie…

Chwytam długą skórzaną smycz i naprężam ją w dłoniach. Nim treser orientuje się, co zamierzam zrobić, zarzucam mu ją na szyję. Z całej siły zaciskam pętlę. Mężczyzna charcze, usiłuje wsunąć dłonie między smycz i swoją grdykę, lecz nie ma dość siły. Jest wątłym, wysuszonym wrakiem człowieka.

– Jak śmiałeś?!

Spoglądam na jego błyskawicznie siniejącą twarz. Patrzę wprost w wybałuszone, nabiegające krwią oczy i ani na moment nie poluzowuję pętli.

– Ty leniwy bydlaku!

Z nosa i ust tresera cieknie wydzielina, a jego wargi stają się fioletowe. Nie ma siły choćby charczeć, więc z jego gardła dobywa się odgłos przypominający stłumiony świst. Wlokę go w stronę łóżka, wchodzę na nie i przerzucam koniec smyczy przez ramię niewielkiego żyrandola. Zapieram się, po czym zeskakuję na podłogę. Treser unosi się w powietrze, jakby dyndał na szubienicy. Jeszcze przez chwilę się szamocze, nagle jego ręce bezwładnie opadają wzdłuż ciała. Wstrząsa nim śmiertelny dreszcz. Puszczam smycz, a zwłoki z hukiem spadają na podłogę.

Spluwam, po czym nabieram głęboko powierza. Spoglądam na poobcierane dłonie. Żałuję, że nie założyłem dziś rękawiczek. Elegancki mężczyzna powinien dbać o skórę dłoni, a otarcia szybko nie znikną.

Dysząc, odwracam się w stronę drzwi i spostrzegam dwóch strażników zaglądających do środka. To ukraińscy pomocnicy.

Spuszczają oczy i chcą odejść, lecz zatrzymuję ich.

– Zabierzcie ciało i zorientujcie się, czy w obozie jest jeszcze ktoś, kto potrafi szkolić psy. – Unoszę dłoń i potrząsam palcem. – Szkolić i dbać o nie.

Strażnicy posłusznie kiwają głowami, po czym wchodzą do budki. Mijam się z nimi i nie odwracając się, kieruję ku swojej willi. Jeszcze raz spoglądam na dłonie.

– Cholera…

Od razu po wejściu do gabinetu sięgam po skórzane rękawiczki. Białe i starannie garbowane, takie same, jakie przed laty widywałem u dżentelmenów w Wiedniu. W nich czuję się nieco lepiej. Muszę pamiętać, by zamówić kolejną parę.

Według niektórych relacji Amon po znalezieniu pchły powiesił około sześćdziesięcioletniego tresera jego psów. Według innych kara dosięgnęła piętnastoletniego ordynansa – niejakiego Poldeza. Być może chodzi o dwa pokrewne incydenty.

94.

Otrzymany przed kilkoma dniami rozkaz wprawił mnie w osłupienie. Przez „zaniepokojonych moim postępowaniem" berlińskich decydentów zostałem zobligowany do każdorazowego uzyskiwania zatwierdzenia wydawanych przeze mnie wyroków śmierci. Egzekucje wymagają akceptacji wyższych władz SS! To niedorzeczne.

Początkowy gniew przerodził się w niedowierzanie, a potem w rozczarowanie. Skoro chcą się tak bawić, dobrze. Zagram lub zatańczę, jak mi kazali. Zastanawia mnie tylko, co miało wpływ na wydanie takiego rozkazu? Albo raczej, kto miał taki wpływ? Najpierw

odwołanie ze stanowiska – co przecież było tylko wybiegiem czysto formalnym, potem podwójny awans, a teraz to…

Rzesza chwieje się w posadach. Nigdy wcześniej postępowanie zwierzchników nie wydawało mi się tak pełne sprzeczności. Nigdy wcześniej nie dostrzegałem w ich działaniach strachu i myśli o upadku. Bo przecież kogo może interesować los żydowskiego bydlęcia, które zostało umieszczone na drabinie ewolucji w takim miejscu, by jedynie wiernie służyć oraz wykonywać swój los? Kogo interesuje los kurcząt lub wołów przeznaczonych na rzeź?

Rozczarowanie powoli przekształciło się w rozbawienie. Dobrze! Macie, czego chcecie. Ja jeden wam pokażę, że się nie boję.

Przed dwoma dniami wysłałem prośbę o zgodę na powieszenie dwójki uciekinierów. Sytuacja jest całkowicie klarowna. Przytoczyłem ogólne okoliczności, po czym uznałem, że nie powinienem dodawać niczego więcej. Ucieczka to ucieczka, a jedyną właściwą karą jest przykładne ukaranie.

Rozparty w fotelu trzymam odpowiedź. Odkładam chwilę, kiedy zajrzę do koperty i odczytam zapewne krótki telegram. Dopijam nędzny koniak, a następnie sięgam ku mosiężnemu przybornikowi. Nożykiem do papieru rozkładam zakładki koperty. Jeszcze raz odrywam wzrok i zerkam za okno. Jest przyjemne, słoneczne popołudnie. Po niebie suną pojedyncze żółtawe chmury, delikatny wiatr porusza zasłoną, a z oddali dobiegają dźwięki marsza. Zapewne z robót poza obozem powraca kolumna więźniów, w końcu nic mi nie wiadomo o nowych transportach. Chyba że…

Czując narastającą irytację, rozkładam kartonik i zaczynam czytać. Zgoda na egzekucję została wyrażona, ale podpis pod nią złożył sam Obergruppenführer Ernst Kaltenbrunner – szef Głównego Urzędu Bezpieczeństwa Rzeszy. Nie podoba mi się to. Czuwają nade mną najwyżsi urzędnicy i mam dziwne wrażenie, że jedynie

czekają na moje potknięcie. A przecież zawsze im wiernie służyłem… Coś się nie zgadza.

95.

– Ponoć alianci lada dzień otworzą front na zachodzie. – Kempke z ekscytacją przekazuje mi najnowsze wieści, jakie zasłyszał w Krakowie, gdzie był na spotkaniu między innymi z Hansem Frankiem. – Szykują się do desantu i zakrojonej na szeroką skalę inwazji na kontynent.

Niedbale macham ręką. Zaciągam się papierosem, po czym wypuszczam dym w niebo, z niemą pretensją ku Opatrzności.

– Słyszę o tym od dawna. To puste mrzonki nastawione na to, by trzymać nas w szachu. Przesuwamy dywizje z miejsca w miejsce, przemodelowujemy plany…

– Tym razem wywiad ma wieści z pierwszej ręki.

– I informacja o tym poniosła się po świecie? – Uśmiecham się z niedowierzaniem. – Bzdury.

Kempke przygląda się strażnikowi prowadzącemu owczarka niemieckiego. Pies jest nastroszony i cicho powarkuje, ale żołnierz ściąga go, jakby się bał, że lada moment na kogoś się rzuci. Nigdy wcześniej nie widziałem podobnej obawy. Bez słów odgadujemy z Kempkem swoje myśli.

– Będą chcieli nas rozliczać? – pytam niedbałym tonem.

– Jeżeli się nie dogadamy… A na to jest już chyba za późno.

Wzdycham i ponownie głęboko się zaciągam. Wypuszczam dym, a następnie w jego miejsce wdycham świeże wiosenne powietrze. W nocy delikatnie padało i ziemia oddaje przyjemny, wilgotny zapach. Drzewa już się zazieleniły, a lada dzień rozkwitną kwiaty. Lubię tę porę roku. Lubię przejażdżki konne po wiosennym lesie,

bezdrożami, wśród budzącej się do życia przyrody. I ta miła myśl przywodzi mi wspomnienie masowych grobów wykopanych nieopodal austriackiego fortu.

– Niech pan posłucha.

Przez chwilę nie wiem, co Kempke ma na myśli, jednak nagle słyszę, że z jednego z baraków dobiega stłumiony śpiew dobywający się z kilku gardeł. To surowo zabronione. Nie znam tej pieśni ani melodii i w pierwszym odruchu natychmiast kieruję się do baraku.

– Panie komendancie…

Ton głosu Kempkego wyraża więcej niż słowa. Zatrzymuję się w pół kroku i wkładam dłonie do kieszeni. Kątem oka, przelotnie, zerkam na kaburę. Następnie przenoszę wzrok na żołnierza, który nadal szarpie się z owczarkiem. Na nieodległej wieżyczce strażniczej ktoś pali papierosa, a maszerująca przy ogrodzeniu kolumna żołnierzy jest dziwnie cicha. Nawet równy, zgrany krok nie ma w sobie zwykłej pewności. Twarze idących są pozbawione wyrazu, puste i martwe, zupełnie jak twarze więźniów.

– Trzeba coś z tym wszystkim zrobić – stwierdzam oględnie.

– Co ma pan na myśli?

Wzruszam ramionami.

– Wiesz, znacznie mniej obchodzi mnie front na zachodzie albo na południu. Gdzieś tam – kiwam głową, wskazując na wschód – wróg jest naprawdę blisko. Czasem zdaje mi się, że słyszę dudnienie dział.

– Front rozciąga się prawie sto kilometrów na wschód od Lwowa. Nasze wojska mają zająć tam stanowiska i ostatecznie utrzymać pozycje. Ponoć warunki terenowe pozwolą na całkowite powstrzymanie ofensywy sowieckiej, a następnie przejście do…

– Daj spokój. – Z sarkastycznym uśmiechem przerywam Kempkemu. – Wierzysz w to? Musimy zająć się sobą i przygotować na nadejście rozkazów. Sam wiesz, co dzieje się z kolejnymi obozami.

– Wiem.

Po raz kolejny wymieniamy porozumiewawcze spojrzenia.

96.
7 maja 1944 r.

Na środku placu apelowego stoją trzy stoły. Przy każdym z nich zasiada lekarz oraz asystent, którzy bacznie obserwują widowisko. A jest co obserwować. Na moje polecenie wojskowa orkiestra wygrywa dzieła Straussa, a w ich rytmie kilkudziesięciu więźniów obiega plac. Są całkowicie nadzy i komisje lekarskie przypatrują się im, oceniając stan ich zdrowia. Słabi oraz schorowani proszeni są o podanie numerów i następnie odsyłani do swoich baraków. Po weryfikacji na plac wkracza kolejna grupa nagusów mających za zadanie w jak najszybszym tempie zataczać szerokie koła.

Siedzę przy środkowym stole między doktorem Weissem oraz jego asystentem. Mam ręce założone na piersi, a przede mną leży wyciągnięty z kabury pistolet. Gdybym chciał, mógłbym dokonywać natychmiastowej selekcji. Wbrew doktrynie ostatnich tygodni otrzymałem z Berlina pełne rozgrzeszenie. Znów wszystko zależy ode mnie, a zatwierdzenie ewentualnych egzekucji może odbywać się *post factum*. To wydajny system, ale wciąż zastanawiam się, czy nie nastawiony na dalsze sprawdzanie mojego zachowania. Czy znowu ktoś na mnie doniesie? Czy komuś mogą nie podobać się moje metody? Wszyscy oszukujemy i nie ma w tym nic niezwykłego.

– Te ich twarze… – odzywam się, szturchając Weissa w bok. Przypatruję się grupie nagich, drobnych kobiet. – Są nienaturalnie czerwone, jakby je czymś pomalowały.

– Zapewne. – Lekarz uśmiecha się i przeciąga. – Chcą uchodzić za zdrowsze, niż są w rzeczywistości. Wystarczą buraki albo czerwona

kapusta… Ponoć wczoraj część warzyw zniknęła z obozowego zaplecza.

– Cwane bestie.

Z uznaniem kiwam głową. Nieustannie dziwi mnie, że ci ludzie nadal chcą walczyć o życie. Zamiast pójść do komory gazowej, wolą głodować i pracować do upadłego. Wolą znosić razy strażników, szczucie psami i nieustanne upokorzenia. Nie, to z pewnością nie są ludzie. Patrząc na to, co się dzieje, mam już pewność. To najgorsze robactwo, którym kieruje bezwzględny instynkt przetrwania. Choćby nurzali się w swoich odchodach, choćby kazać im je zjadać, oni będą chcieli żyć. Nawet ci najbardziej bogobojni chłopcy, którzy kilka lat temu włóczyli się po ulicach w swoich ponurych szatach, z długimi pejsami i egzemplarzami świętych pism w dłoniach, nawet oni teraz boją się śmierci. A z drugiej strony szli do wagonów potulni niczym bydlęta…

– Każ im jeszcze trzykrotnie obiec plac – rzucam do stojącego obok żołnierza. – To pokaże nam prawdę.

Widzę, że coraz więcej z biegnących łapie zadyszkę, zatacza się i mimo piekielnej determinacji nie jest już w stanie poruszać się szybciej niż marszem. Potykają się przy tym, ciężko chwytają powietrze i rzężą, jakby w płucach mieli hektolitry wody. Niektórzy ukradkiem starają się odpluwać. Wiedzą, że przegrali walkę z samymi sobą, że ich ciała skazały ich dusze na śmierć. Lekarze jedynie sankcjonują wyroki Opatrzności.

Ta myśl rozbawia mnie i chcę się nią podzielić z Weissem, ale ten właśnie zapisuje numery kolejnych więźniów, którzy nie mogli dłużej biec.

– Zostaniecie odesłani do lecznicy – rzuca urzędowym tonem. – Musicie nabrać sił.

Wszyscy wiemy, że to nieprawda, i te żydowskie bydlęta również to wiedzą. W ich oczach dostrzegam przerażenie, lecz posłusznie

oddalają się ku barakom. Wloką się, niektórzy podtrzymując jedni drugich. Plątanina zgrzanych, nagich ciał.

– Ilu? – pytam, zaglądając w plik dokumentów leżących przed nami na stoliku.

– Dopiero pięciuset. – Weiss przeciąga palcem po stronie, sumując w myślach jakieś liczby. – Odesłaliśmy prawie dwustu.

– Za mało.

– Jeszcze?

– Mamy tu, do cholery, zbyt wielu zdrowych – stwierdzam rozdrażniony. – Albo jesteście zbyt wyrozumiali – rzucam w stronę lekarzy. – Słyszycie?

Weiss poprawia okulary i ponuro kiwa głową.

– Obawiam się, żeby nie wybuchł bunt – odzywa się potulnym tonem. – Ci ludzie wiedzą, co się z nimi stanie, i nie mają już nic do stracenia.

Wiodę spojrzeniem za więźniami znikającymi między barakami. Choć ledwie trzymają się na nogach, iskra buntu rzeczywiście może dodać im sił. Widziałem to wielokrotnie, w getcie Krakowa, w Katowicach, w Lublinie… Organizm ludzki jest zdolny do niesamowitej mobilizacji, a tej cechy wiążącej tę plugawą nację z ludzkością nie można Żydom odmówić.

– Masz rację. – Podnoszę się od stolika i otrzepuję ręce, jakbym miał je umorusane w jakimś pyle. – Przygotujcie wszystko do powtórzenia za kilka dni, tymczasem musimy sprawiać wrażenie, jakby nic się nie stało. Jakby to były jedynie nowe ćwiczenia.

– Tak jest, pani komendancie. – Weiss przyjmuje moje słowa z wyraźną ulgą.

On również się boi.

97.

– Ilu ludzi będzie pan potrzebował?

– Trzydziestu, może pięćdziesięciu. Pięćdziesięciu to będzie aż nadto, ale powinno zapewnić całkowity spokój.

– Czy otrzymał pan zgodę Oranienburga?

Zaciskam usta i na moment wstrzymuję powietrze. Staram się, aby mój rozmówca, pułkownik Wehrmachtu, nie poznał, jak bardzo zirytowało mnie to pytanie.

– Nie potrzebuję zgody, aby skontaktować się w sprawie porządnego wykonania powierzonych mi rozkazów.

– A ja nie chciałbym mieszać się w sprawy SS. Obozy pozostają pod waszą wyłączną dyspozycją.

– Potrzebuję pomocy „technicznej". Rozumie pan to słowo, pułkowniku? Zapewne nie padnie ani jeden strzał.

– A mimo to obawia się pan…

Mój rozmówca wymownie zawiesza głos. Nie chciałem i nie zamierzałem mu się tłumaczyć z moich poczynań. Ten urzędujący w Krakowie buc czuje wyraźny kompleks wobec SS, ale to nie mój problem. Zapewne usatysfakcjonowałaby go oficjalna prośba, lecz nic takiego nie powstanie. Od tygodni niezmiennie unikam tworzenia zbędnych dokumentów.

– Mogę się zwrócić do Berlina, panie pułkowniku – cedzę oschle. – To zajmie dzień lub dwa, ale zapewniam, że podkreślę, iż prośbę kieruję ze względu na pańską uprzednią odmowę. Domyśla się pan, że każdy unika teraz roboty, a czas nie działa na naszą korzyść. Niebawem pański garnizon może stać się garnizonem frontowym…

To ostatnie słowo wymawiam ze szczególnym naciskiem i wywołuje na pułkowniku właściwe wrażenie. Milczy jeszcze przez chwilę, lecz słyszę stłumione sapnięcie.

– Dobrze. Trzydziestu ludzi i ani jednego więcej – rzuca. – To moje ostatnie słowo.

Tak. Jego jest na wierzchu.

Uśmiecham się i z ulgą odkładam słuchawkę. Wszystko zostało załatwione dokładnie tak, jak chciałem. Najważniejsze, że w ewentualnej rzezi nie będą brali udziału moi ludzie. Wszystko zaplanowałem w najdrobniejszych szczegółach. Teraz pozostaje jedynie czekać.

98.

Selekcja odbywa się w identycznej scenerii jak przed tygodniem. Trzy stoły, trzy komisje lekarskie i ja przy jednej z nich. Dokoła nas plac apelowy, wokół którego biegają kolejne tury nagich więźniów. Ich twarze są sztucznie zabarwione czerwienią, byle tylko wyglądali na zdrowszych i silniejszych. Ich mięśnie są twarde, przypominają wciśnięte pod cienką skórę kamienie. Poruszają się, sprawiając wrażenie, jakby ocierały się o kruche, patykowate kości.

Tym razem udział w ćwiczeniach jest obowiązkowy również dla dzieci. Po kilku turach wymieniamy jednak uwagi, że szkoda na to czasu. Lepiej zastosować selekcję opartą choćby na wzroście lub wieku. Zostawiam to zadanie doktorowi Weissowi, a sam obserwuję grupę nagich kobiet obiegających plac. Są to więźniarki przybyłe zapewne ostatnim transportem, całkowicie wygolone i nie tak chude, jak ich poprzedniczki. Niektóre z nich wydają się wręcz tłuste. Biegnąc, z trudem łapią oddech, potykają się lub rezygnują w trakcie, jakby nie zależało im na walce o życie. Tak naprawdę nie wiedzą jeszcze, że to, co je otacza, jest rzeczywiste. Wmawiają sobie, że trafiły tu przez przypadek lub że zasłyszane o obozie historie są wyssane z palca. Mylą się.

– One będą pracowały z podwójnym zaangażowaniem – stwierdzam, dając znać, by kobiety zeszły z placu. – Na razie wymierzcie im

jednak po dwadzieścia batów za ociąganie się.

– Ale… – Weiss łypie na mnie zza okularów.

– To rozkaz.

– Oczywiście, panie komendancie.

Kolejne grupy więźniów wchodzą na plac, lecz w momencie, gdy znów pojawiają się dzieci, słyszę rozdzierający krzyk kilku kobiet. Po chwili dołączają do nich głosy mężczyzn. Tłum zaczyna się burzyć. Skąd ja to znam? Dlaczego rozdzielanie dzieci od matek zawsze powoduje tyle problemów? Który to już raz?

– Czy nie nakazałem, aby selekcji dokonać na podstawie wzrostu?

Koordynujący akcję podoficer pojawia się tuż przy mnie. Salutuje, po czym odzywa się przepraszającym tonem:

– I tak musieliśmy zgrupować je razem. Nie było innego wyjścia…

– Rozumiem.

Kilkanaście więźniarek wbrew komendom strażników wybiega na plac. Niektóre z nich trzymają dzieci na rękach, inne biegną w ich stronę. Zrywam się od stolika, uprzedzając rodzący się chaos.

– Utworzyć kordon! – nakazuję sierżantowi Wehrmachtu, który przybył na czele oddziału ochotników z krakowskiego garnizonu. – Natychmiast!

Sierżant wydaje się przytłoczony tym, co zaobserwował przez ostatnie minuty. Ociągając się, wydaje rozkazy stojącym w odwodzie żołnierzom. Ci po chwili wkraczają na plac apelowy i ruszają w stronę kobiet oraz dzieci. Mierzą do nich z odbezpieczonych karabinów.

– W razie oporu strzelać! – krzyczę tak, by słyszano mnie wokół.

– Tak jest. – Sierżant dziarsko podąża za swoimi ludźmi.

Wyciągam z kabury pistolet, po czym sztywnym krokiem również ruszam w stronę, skąd dobiegają odgłosy zamieszania. Płacz dzieci miesza się z błagalnymi krzykami kobiet. Mężczyźni stoją z tyłu, wyraźnie pogodzeni z losem. Być może przed buntem powstrzymuje

ich instynkt przetrwania, silniejszy od instynktu ojcostwa. A może to sprawa tego, że większość z nich nie widziała swoich dzieci już od wielu miesięcy? Powinniśmy rozważyć selekcjonowanie więźniów już przy pierwszym transporcie i lokowanie dzieci bez matek. Ale z drugiej strony… Wiem, że umieszczenie w obozie na Majdanku matek z dziećmi zapobiegło wielu problemom. Po pierwsze, z dzieckiem trudniej jest uciec, po drugie, zawsze pojawia się obawa o jego życie. Kalkulacja stanowi podstawowe narzędzie każdego postępowania.

– Rozdzielcie je! – wrzeszczę, potrząsając pistoletem. Dwukrotnie strzelam w powietrze, co wyraźnie tonuje nastroje. – Utworzyć kolumny marszowe.

To nie było w planie, ale właśnie wspomniana kalkulacja zdecydowała o tym, że wydaję taki rozkaz. Wiem, że pociągi są już gotowe, wobec czego szkoda tracić czas i energię na dwukrotne opanowywanie tłumu. Poza tym postanawiam wykorzystać żołnierzy Wehrmachtu do osłaniania przemarszu.

Mierzę wzrokiem kolejne przestraszone twarze. Nagle nawet te sztucznie zaczerwienione bledną i wszystkie pozostają trupio blade. Wytrzeszczone ciemne oczy szukają zrozumienia. Wznoszą spojrzenia ku niebu, jakby stamtąd mogła nadejść pomoc, lecz jedynym bogiem na tym skrawku Ziemi jestem ja. Oddaję kolejne strzały w powietrze i z satysfakcją obserwuję tworzące się kolumny. Staram się pośpiesznie przeliczyć, ile osób się w nich znalazło. Lekarze raz za razem odczytują listy, a ja gubię się w obliczeniach.

Tego dnia, po selekcji, z Płaszowa do Auschwitz wysłano około półtora tysiąca dorosłych i trzysta dzieci. Po przybyciu do celu zostali natychmiast zgładzeni.

99.

– Co to ma znaczyć?

Spoglądam na Kempkego i wymieniamy spojrzenia. Jednocześnie zagryzamy usta, robiąc zaskoczone miny. Po okresie drobnych spięć na powrót dobrze się dogadujemy. Być może jednoczy nas wspólna przyszłość oraz ścisłe związanie przeszłości. Taki jest los większości żołnierzy. A przynajmniej tych, którzy służyli w SS.

Jeszcze raz zerkam na rozkaz, po czym odkładam go na biurko. Jest prawie północ, a centrala oznaczyła tę wiadomość jako pilną. Uznano, że jedynie Kempke odważy się dostarczyć mi ją o tej porze. Oczywiście doskonale wiedział, że jeszcze nie śpię, więc pewnie nawet z satysfakcją potraktował swoje zadanie jako pretekst do wproszenia się na szklaneczkę czegoś mocniejszego. Nim otworzyłem list, zaproponował, byśmy sobie wypili. „Na szczęście", jak to określił.

Teraz popijam zawartość ostatniego armagnacu z mojej piwniczki. Nie sądzę, aby dotarły tu jeszcze kolejne dostawy. Nie sądzę, bym napił się go jeszcze kiedykolwiek w życiu. To ponure myśli, lecz nie sprawiają, że alkohol smakuje lepiej. Smakuje dokładnie tak samo, jak zawsze, czyli po prostu znośnie.

Rozkaz nadszedł prosto z dowództwa SS w Oranienburgu. Nakazano w nim zlokalizowanie oraz ekshumowanie ciał wszystkich więźniów straconych w obozie oraz okolicach. Następnie zwłoki te mają zostać skremowane w taki sposób, by nie został po nich najdrobniejszy ślad.

– Zacieramy dowody naszej obecności? – Parskam, zakładając dłonie za głowę. – To niedorzeczne.

– Nie naszej obecności, ale obecności w obozie osób, których już nikt nie znajdzie…

Doskonale rozumiem to pokrętne tłumaczenie Kempkego. Od wielu tygodni nie podpisałem osobiście żadnego zbędnego rozkazu ani

dokumentu i wszystkie nasze działania sprowadzają się do jednego. Do zacierania śladów mojej lub cudzej obecności. Do zacierania obecności w ogóle. Nie było tu ani nas, ani ich…

– Nie zrobiłem niczego niezgodnego z prawem lub regulaminem, nie przekroczyłem poleceń oraz…

Macham ręką, zdając sobie sprawę, że tłumaczenie się przed podwładnym to zła droga. Poza tym wiem, że najważniejszym przepisem regulaminu obozu w Płaszowie była niepisana reguła stanowiąca, że jestem w nim jedynym bogiem. I nikt nie mógł mieć innych bogów przede mną. Amen.

– Front zatrzymał się ledwie kilkadziesiąt kilometrów stąd. – Te słowa Kempke rzuca na odchodne. Dopija haustem zawartość swojej szklaneczki, po czym staje na baczność. – Czy się do czegoś jeszcze panu przydam, komendancie?

– Gdzie dokładnie jest linia frontu? – dopytuję.

– Teraz? – Kempke bezradnie rozkłada dłonie. – Tego nie wie nikt. Kilka godzin temu Rosjanie podchodzili pod Lublin.

Lublin – nazwa tego miasta przywodzi szereg wspomnień. Teraz wszystkie wydają się dziwnie nieprzyjemne.

– W porządku. Możecie odejść, Kempke.

Gdy zostaję sam, sięgam po butelkę armagnacu i piję wprost z niej. Trunku ubywa w szybkim tempie, lecz nie przejmuję się tym. Może nigdy nie byłem smakoszem, a może piłem tylko, by pić? Gdy skończy się armagnac, nadal będę miał kilkanaście butelek koniaku, kilkaset win oraz nalewek i destylatów. Prędzej będę musiał stąd wyjechać, niż wyczerpię te zapasy.

Wyjechać… Dokąd? Zetrę w proch ostatnie lata życia, jakbym ich wcale nie przeżył. Jakby mnie tu wcale nie było. Usuwam ślady swojej obecności znacznie mocniej, niż tylko nie składając kolejnych podpisów.

Odsuwam butelkę i szklankę, po czym przeciągam dłońmi po twarzy. Jest rozpalona, a zarost szorstki. Nie lubię się wieczorami. Nie lubię czuć się takim, jakim jestem. To pijacka myśl, ale wiem, że tkwi w niej jakaś istotna prawda. Może kiedyś się nad nią pochylę, lecz nie sądzę, bym o niej pamiętał choćby za kilka godzin.

Nerwowym ruchem mnę kartkę z rozkazem i rzucam ją do śmietnika. Przez chwilę wpatruję się w jego sześcienną bryłę, wreszcie podnoszę się z fotela. Zirytowany wyciągam rozkaz, po czym sięgam po leżące na biurku zapałki. Odpalam jedną i przysuwam płomień ku kartce. Ta niemal natychmiast zajmuje się ogniem. Trzymam ją w dłoni, dopóki rozkaz nie rozpada się całkowicie w proch.

100.

Wilhelm Chilowicz – tylko tyle wiem o tym około czterdziestoletnim niskim Żydzie. Jest jednym z nielicznych, którzy noszą nazwiska zamiast numerów. Wszystko dlatego, że przez całe miesiące jako krakowski kupiec był mi bardzo potrzebny. Dzięki jego kontaktom upłynniłem kilkaset kilogramów mąki oraz konserw przeznaczonych na wyżywienie więźniów. Zarobiłem na tym tysiące marek, a w zamian otoczyłem jego rodzinę szczególną opieką.

Wszystko się kończy. Obawiam się, że ten cwany Żyd jako pierwszy poświadczy o moich działaniach. Poinformuje o nich cały świat, byle tylko samemu się wybielić. Nie mam wątpliwości, że historia zaufa tym nędznym, rzekomo pokrzywdzonym przez los kreaturom. Świat wysłucha ich skomleń.

Spoglądam w małe, chytre oczy Chilowicza i mlaskam z niesmakiem. Wszystko obmyśliłem, lecz nadal nie jestem przekonany do swojego planu.

– Więźniowie wiedzą, że ty i twoja rodzina współpracowaliście ze mną – rzucam niedbałym tonem. – Oczywiście nieformalnie, ale… Wystarczy popatrzeć na wasze tłuste cielska.

Chilowicz się nie odzywa. Jest wystarczająco cwany, by nie mówić, niepytany, nawet gdyby miał do tego prawo. Marszczy czoło, zastanawiając się, dokąd zmierza ta rozmowa. Znajdujemy się w budynku administracyjnym, lecz poza nami nie ma w nim nikogo. Dochodzi już dziesiąta wieczorem i zapewne towarzysze kupca martwią się, że nigdy do nich nie wróci. A może raczej bardzo ich to cieszy? Niestety pozbycie się go nie jest takie proste. Po pierwsze, centralna SS roztoczyła nade mną klosz informatorów, którzy dbają o to, by nie wydarzyło się nic niezgodnego z regulaminem. Po drugie, Chilowicz ma zbyt wiele znajomości, by jego zniknięcie przeszło bez echa. Muszę działać znacznie delikatniej.

– Będziesz trzymać gębę na kłódkę, rozumiesz? Nikt nie może dowiedzieć się o sednie naszych kontaktów.

– Oczywiście.

– W zamian za to umożliwię tobie oraz twojej rodzinie opuszczenie obozu.

Wilhelm Chilowicz pochyla się w moją stronę, jakby sądził, że się przesłyszał. Mruży oczy i w samym zarodku hamuje rodzący się uśmiech.

– Wasza piątka… – Starannie sprawdziłem, ilu bliskich mężczyzny przebywa w Płaszowie – Wyjedzie na ciężarówce przewożącej drewno z lasu. Umieszczę was w niej, a za bramą obozu się pożegnamy. Rozumiesz?

– Co miałbym zrobić później?

– Wiem, że masz schowaną gotówkę oraz kosztowności.

Te słowa sprawiają, że Chilowicz całkowicie poważnieje. W milczeniu przygląda się mi przez kilka sekund, wreszcie kiwa głową.

– Czy mógłbym otrzymać pistolet? Na wszelki wypadek i aby poradzić sobie poza obozem…

Wzdycham. Żydzi zawsze myślą o odległej przyszłości. Muszą planować, jakby bez tego nie mogli zrobić pierwszego kroku. Nie poruszą się, o ile nie będą wiedzieli, dokąd zmierzają.

– Zgoda. Jeden pistolet dla ciebie i tyle. – Daję znać, że rozmowa została zakończona. – Bądź gotowy w niedzielę rano.

101.

Na całe szczęście przezorność kazała mi nanosić na mapy położenie bezimiennych grobów. Było ich kilkadziesiąt w okolicy dziewiętnastowiecznego austriackiego fortu, a przede wszystkim w pobliżu Hujowej Górki. Tak, dla Polaków był to językowy żart, choć nazwa pochodziła od nazwiska jednego z oficerów biorących udział przy pracach budowlanych. Pal diabli historię.

Przez lornetkę obserwuję, jak kilkunastu Żydów w maseczkach na twarzach przekopuje teren. Pilnują ich specjalnie przydzieleni do tego zadania niemieccy więźniowie kryminalni, najgorszy sort gwałcicieli, pederastów i morderców. Rozkopywane są kolejne groby, zdaje się, że wystarczy wbić łopatę na ślepo, by trafić na szczątki.

Żydzi, poza podstawowymi środkami ochrony, dostali dodatkowy przydział jedzenia oraz wódkę. Kryminalni natomiast, za moim przyzwoleniem, mogą poszukiwać przegapionych podczas poprzednich czynności kosztowności. Bez skrępowania, gołymi rękoma wyrywają trupom złote zęby, zdejmują obrączki i z gnijących trzewi wyciągają połknięte błyskotki. Jeszcze nie wiedzą, że zostaną z tego szczegółowo rozliczeni. Ale nie teraz…

Rozpadające się trupy wrzucane są na wielkie taczki, które zostają zakryte plandekami. Nie potrzebujemy zbędnych świadków. Jest wpół

do piątej rano, słońce dopiero podniosło się znad horyzontu, a świat pokrywa ciepła, letnia rosa. Zapowiada się piękny dzień. Wywołani więźniowie pod groźbą kary śmierci nie mogą opowiedzieć, jakie zadania wykonywali. Wiem, że będą milczeć. Wciąż trzymają się nadziei, że uda się im dociągnąć do dnia, gdy odzyskają swoją nędzną wolność. A wtedy… Bez względu na to, jak to wszystko się skończy, nie powinno mnie to frapować.

To już drugi tydzień akcji. Jak dotąd udało się zlokalizować osiem potężnych zbiorowych mogił, lecz zgodnie z moimi obliczeniami przed nami co najmniej drugie tyle. Po początkowej odrazie do wykonywanej roboty u więźniów nie ma już śladu. Część z nich pracuje gołymi rękoma. Wywlekają zwłoki, przerzucają odpadające od nich kończyny, zbierają resztki odzieży. Po cmentarzysku nie może pozostać nawet ślad. Nikt już nie wymiotuje i nie zwraca uwagi na unoszący się w powietrzu fetor. Ja czuję go, choć znajduję się dwieście metrów od wykopów.

Opuszczam lornetkę na pierś, spinam konia i gnam go w stronę lasu. To tam kierują się transporty taczek. Po pokonaniu wąskiej ścieżki zjeżdżam między rzadkie drzewa liściaste. Wkrótce dostrzegam przecinkę i stosy równo ułożonego drewna. Salutuje mi dwóch żołnierzy, ale nie odpowiadam im. Objeżdżam polanę, po czym zatrzymuję konia. Jakiś podoficer przytrzymuje go za uzdę, lecz nie odzywam się nawet słowem. Działam jak w transie.

Szybkim krokiem maszeruję w stronę niewielkiego dołu, w którym ułożono stos pogrzebowy. Konstrukcja ma kilkanaście metrów kwadratowych. Na podstawę zrzucono szczątki kilkudziesięciu lub kilkuset osób, czasem trudno oszacować, ile pozostało z człowieka po całych miesiącach leżenia w gołej ziemi. Na pierwszej warstwie zwłok ułożono kolejną konstrukcję drewnianą i na niej również znajdują się trupy. W tym miejscu poza ohydnym smrodem śmierci unosi się słodkawy zapach benzyny.

– Zaczynać!

Na mój znak jeden z żołnierzy unosi zapaloną pochodnię i podchodzi z nią do tego niezwykłego stosu pogrzebowego. Po chwili w powietrze buchają ogromne języki płomieni. Obłażące ze skóry trupy niechętnie zajmują się ogniem. Odruchowo zasłaniam nos rękawem, lecz to niczego nie zmienia. Nie zamierzam dawać złego przykładu, więc się wyprostowuję i z założonymi za plecami rękoma obserwuję widowisko. Mój koń nerwowo strzyże uszami, ale już nawet on jest przyzwyczajony. Tak, do wszystkiego można się przyzwyczaić. Nawet do smrodu palonych, wywleczonych z grobów zwłok.

Zgodnie z relacjami świadków z Hujowej Górki wywieziono kilkanaście ciężarówek z ludzkimi prochami.

102.

Wraz z Kempkem przechadzam się po obozie. Dokładnie o siódmej kieruję się w stronę głównej bramy, przez którą mają niebawem wyjechać ciężarówki po drewno opałowe. Dwóch strażników idących za nami trzyma na smyczach Ralfa i Rolfa. Psy są w dobrych humorach, nie ujadają, lecz zachęcają się wzajemnie do zabawy.

Zatrzymuję się, przyglądając się ciężarówce zatrzymanej w bramie przez żołnierzy. Co któryś z transportów jest rutynowo przeszukiwany w poszukiwaniu zbiegów. Tym razem to ja nakazałem inspekcję, choć zrobiłem to przez oficera łącznikowego tak, by z tą sprawą nic mnie nie łączyło.

Udaję zaskoczonego, widząc wywlekanego z luku transportowego Wilhelma Chilowicza. Za kupcem stają czterej członkowie jego rodziny, dwie stare kobiety, nastolatka oraz kilkuletni chłopiec.

– Zbiegowie… – rzucam, ruszając w ich stronę. – Przeszukać dokładnie cały pojazd!

Oczywiście w ciężarówce nie ma nikogo więcej, ale mój plan zostaje zakończony całkowitym powodzeniem. Przynajmniej pierwszy jego etap.

Wilhelm Chilowicz patrzy na mnie spode łba. Nie odzywa się, co sprawia mi ulgę, bo wolę uniknąć scen.

– Uważajcie, może być uzbrojony!

Strażnik pośpiesznie go przeszukuje i natrafia na wręczony mu przed paroma dniami pistolet z uszkodzoną iglicą oraz na zawiniątko z kosztownościami. Są w nim złoto oraz brylanty.

– Dobrze się ustawili… – Fuka, dumnie prezentując mi znalezisko. – Cwane żydowskie bydło.

– Ano.

Wzdycham, maskując zadowolenie.

– Kolejne papiery do wypełnienia… Na szczęście jest tu dość świadków, by pominąć moje zeznania dla Oranienburga. – Zerkam na Kempkego, a ten skinieniem głowy daje do zrozumienia, że zajmie się dalszym biegiem sprawy.

Chilowicz szarpie się, bełkocząc coś nieskładnie, ale trzymający go żołnierz ucisza go zadanym w plecy ciosem karabinowej kolby. Kobiety starają się opanować płacz. Jedynie chłopiec, około ośmioletni kuzyn kupca, jest całkowicie spokojny. Zachowuje się, jakby cała scena go nie dotyczyła. Rozgląda się wokół ciemnymi, bystrymi oczami. Najwyraźniej przyzwyczaił się już do krzyków wuja i łkania matki. To wszystko jest mu dobrze znane i wie, że jedyne, co może zrobić, to być posłuszny własnemu losowi.

– Odprowadźcie ich do karceru i zawiadomcie centralę – nakazuje Kempke. – Sprawa jest całkowicie jasna, ale musimy to załatwić zgodnie z procedurą.

Wymieniamy porozumiewawcze spojrzenia. Kempke wie o relacjach łączących mnie z Chilowiczem, lecz nie puści pary z gęby. Siedzi w tym tak samo głęboko jak ja. Łączy nas coś więcej niż braterstwo krwi i honor. Już wspominałem, że łączy nas wspólna przyszłość. Ta klaruje się coraz wyraźniej.

Na skutek przedstawionego raportu, z centrali SS nadszedł rozkaz zatwierdzający karę śmierci dla pięciorga Chilowiczów oraz kilkorga ich rzekomych wspólników. Egzekucję wykonano na płaszowieckim placu apelowym przez strzał w tył głowy. Przy skazańcach zawisła tabliczka: „TYCH, KTÓRZY GWAŁCĄ SPRAWIEDLIWE PRAWA, SPOTKA SPRAWIEDLIWA ŚMIERĆ”.

103.

– Ma pan gościa. – Mój adiutant uchyla drzwi i wkłada do gabinetu jedynie głowę. Przed godziną stanowczo zakazałem sobie przeszkadzać.

Odsuwam butelkę wina i przeczesuję palcami włosy. Odruchowo się krzywię. Od kilku dni gorzej się czuję. Niemal przez cały czas boli mnie wątroba i wydaje mi się, że moja skóra nabrała żółtawego koloru. Straciłem apetyt, a gdy zmusiłem się do zjedzenia śniadania, wszystko zwróciłem. Zaszyłem się w gabinecie z winem, lecz jego również nie tknąłem. Od trzech kwadransów wylegiwałem się w fotelu, usiłując zasnąć. Na wszystkie problemy sen powinien być najlepszym lekarstwem, jednak na mnie nie działa już od wielu lat.

– Gościa? – pytam, nie mając nawet dość siły, by się wściec.

– To jakiś ważniak z Berlina. Twierdzi, że jego wizyta była zapowiedziana…

– Pierwsze słyszę – warczę, po czym przygładzam dłonią mundur. – Niech wejdzie.

Mój adiutant znika za drzwiami i po chwili słyszę kroki dobiegające z korytarza. Ktoś zbliża się zdecydowanie nieżołnierskim tempem. Dopiero za nim rozlega się regularny stukot obcasów. Kilka sekund później ciche pukanie wrzyna mi się w mózg jak wybuch granatu.

– Wejść – nakazuję ostro.

– Inżynier Martin Richter – anonsuje mój adiutant, otwierając drzwi.

Do pokoju wchodzi wysoki, smukły urzędnik w dwurzędowym garniturze, kamizelce, okrągłych okularach na nosie i z hebanową laseczką w dłoni. Kłania mi się sztywno.

– Panie komendancie…

Wstaję i wskazuję na fotel stojący przy okrągłym stoliku kawowym.

– Co mogę panu zaproponować? – Zerkam na zegarek. Jest kwadrans po dziewiątej rano. – Spodziewam się, że o tej porze alkohol to zły towarzysz?

– Przyjechałem prosto z hotelu. Właściwie moja wizyta to tylko formalność.

Nie podoba mi się suchy, urzędowy ton głosu tego człowieka o nieokreślonym wieku i akcencie. Jest całkowicie nijaki, a zarazem budzi we mnie odrazę.

– Chciałem się tylko z panem zapoznać. – Podchodzi do mnie, wyciąga dłoń i wymieniamy nieco zbyt mocny uścisk. Niezmiennie spogląda mi przy tym prosto w oczy. Delikatnie się uśmiecha. – Proszę, to powinno panu wszystko wyjaśnić.

Martin Richter wyciąga ze skórzanej aktówki dokument opatrzony pieczęciami Rzeszy oraz jej najważniejszych instytucji. Zapewne jego umocowania sięgają samych szczytów władzy. Pobieżnie przeglądam treść pisma, po czym odkładam je na biurko. Nadal stoimy, co sprawia mi pewien dyskomfort ze względu na tępe kłucie w boku.

– Ma pan wybudować kolejne piece krematoryjne? – pytam, stwierdzając fakt. Uśmiecham się ironicznie i wymownie zerkam na zegarek. – Dopiero teraz? Jak długo to panu zajmie?

Inżynier wzrusza ramionami.

– Obawia się pan, że front nadejdzie zbyt szybko?

– To nie jest moje zmartwienie.

– Czyżby? Wydaje mi się, że jestem tu po to, aby pomóc przede wszystkim panu.

Mam ochotę wyrzucić tego człowieka za drzwi, lecz jednocześnie czuję z nim dziwną jedność. Taką, jaką zapewne czują oddalone od siebie bliźnięta. Tyle że my jesteśmy tu i teraz, razem, wspólnie i… Dość. Cholernie lawirujące, puste myśli.

– Budowa nie potrwa długo – ciągnie Richter. – To proste konstrukcje, do których potrzebuję wznieść tylko jeden barak i wmontować paleniska już zamówione na Śląsku.

– Proste i szybkie – kwituję, siadając przy biurku. Zakładam nogę na nogę, co wywołuje jeszcze mocniejszy ból, ale robię wszystko, by się nie skrzywić. – Mamy mało czasu… – stwierdzam oględnie.

– O tak, mamy bardzo mało czasu. A pan musi dostarczyć mi każdego trupa, którego zakopaliście w promieniu kilometra od obozu.

Najwidoczniej wreszcie odczytano mój raport i zrozumiano, że stosy pogrzebowe w lesie są zbyt mało wydajne, a praca przy nich wymaga niemożliwej do osiągnięcia dyskrecji…

Według szacunków z masowych mogił wokół Płaszowa wydobyto od 7 do nawet 10 tysięcy ciał więźniów obozu, które następnie skremowano. Akcja zacierania śladów nabierała tempa.

104.

Towarzyszy mi nieustanne przeczucie nadchodzącego końca. Epoki, życia, idei. Można wybierać, ale ja myślę, że wszystko zakończy się jednocześnie. To system naczyń połączonych, które nie mogą istnieć oddzielnie. Jeżeli ja odejdę pierwszy, idea i epoka nie będą miały znaczenia. Jeżeli pierwsza odejdzie epoka, znaczenie stracę ja sam oraz przyświecające mi idee. To nic złego. Nie powinienem się tego obawiać, ale zwyczajnie te myśli wprawiają mnie w gorszy nastrój. Do tego ten nieustanny ból brzucha i brak apetytu…

Przejażdżki mercedesem, zabawy z psami i rajdy konne nie mogą niczego zmienić. Nawet gdyby nie to cholerne kłucie w boku, nie czerpałbym z nich żadnej przyjemności. Czas nieustannie płynie, a ja mam poczucie, jakby jego upływ nie odbywał się z moim udziałem. Jestem gdzieś poza, na orbicie najważniejszych wydarzeń historii świata. Mojej historii.

Jestem pogodzony z tym, co się musi wydarzyć. Działałem zgodnie z własnym sumieniem i nieustannie dążąc do doskonałości. Tylko to się liczy. Nie możemy być nikim więcej ponad to, co zostaje nam pisane w chwili urodzenia. I to w chwili narodzin świata, a nie nas samych. Wszystkie wydarzenia, wszystkie plany i zaskoczenia tak naprawdę są jedynie refleksem boskości. Ktoś napisał, że boskość możemy odnaleźć jedynie w sobie samych. Wierzę w to. Ba, jestem o tym dogłębnie przekonany.

Zgodnie z rozkazami przez ostatnie tygodnie wysłałem ponad połowę więźniów Płaszowa do innych obozów na zachodzie. Wstrzymałem wykonywanie egzekucji, aby nie przeciążać pieców krematoryjnych wzniesionych przez Richtera. Więźniowie, którzy padną w trakcie transportu lub choćby o krok poza strefą moich wpływów, nie są już moim problemem. Czy są wobec tego problemem Rzeszy? To pytanie czasem wydaje mi się diabelnie istotne, lecz zaraz

uznaję je za śmieszne. Wszyscy mierzymy się jedynie z własnymi demonami.

Przez ostatnie dni pochłonąłem kilkanaście książek filozoficznych, z których część wydała oficyna mojego ojca. Podobały mi się tylko nieliczne z nich, a właściwie jedynie ich fragmenty. Reszta to bełkot nieprzynoszący żadnej odpowiedzi, lecz stawiający niezliczone pytania. Nie jestem głupim prostakiem, choćbyście mnie za takiego mieli.

Wiem jednak, i to wiem bardzo dobrze, że wszyscy bogowie umierają, choćby przez jakiś czas pozostawali nieśmiertelni. To wcale nie jest tak niedorzeczne, jak by się mogło wydawać. Nietzsche miał rację. Żaden kraj nie wydał tak doskonałych filozofów, jak Niemcy, i w żadnym kraju tak jasno nie wyrażono kwestii boskości. Problem w tym, że ja stałem się przeciętnym śmiertelnikiem znacznie szybciej, niż się spodziewałem. A niespodziewane upadki z wysoka bolą najbardziej. Wolałbym zginąć na miejscu, lecz nie pozwolono mi na to.

105.
13 września 1944 r.

Po wczorajszej zabawie nie mogę podnieść się z łóżka. Minęła szósta rano, w nocy nie zmrużyłem oka ani na chwilę i choć senność nie przychodzi, czuję ogromne zmęczenie. Mimo to mam niezły humor. Wypity w nadmiernej ilości merlot nie szkodzi, głowa jest wolna, lecz myśli lżejsze niż zwykle. Nawet ogólne wyczerpanie mi nie przeszkadza. Jeżeli nie pojawię się na porannej odprawie, nic się nie stanie. Tak samo nic się nie stanie, jeżeli zlekceważę apele, podpisanie kolejnego rozkazu lub w ogóle nie pojawię się w obozie.

Nikt by się tym nie przejął. Już dawno temu nastały czasy bezkrólewia…

Wyciągam rękę ku butelce wina, ale ukłucie w brzuchu powstrzymuje mnie przed tym. Nie może mnie jednak powstrzymać przed walką z sobą samym. Leżąc na plecach, unoszę dłonie i zaczynam dyrygować. Właściwie w związku z tym, że o dyrygowaniu nie mam najmniejszego pojęcia, wykonuję jedynie chaotyczne wymachy. Nucę jakiś marsz i uśmiecham się sam do siebie. Muzyka jest dobra na wszystko, powinienem częściej nakazywać grać obozowej orkiestrze.

Nie zważając na kolejne ukłucie w boku, sięgam po butelkę i wypijam duży łyk. Dziś zrobię sobie wolne. Niech się dzieje, co chce. W najgorszym wypadku rozkażę Kempkemu, aby przyniósł wszystkie dokumenty do mojego gabinetu i zajmę się nimi bliżej południa. Albo bliżej wieczoru. Ta ostatnia myśli sprawia, że wybucham głośnym śmiechem. Śmieję się głośno i szczerze, tak jak nie śmiałem się od bardzo dawna.

– Albo nie zajmę się wcale – mówię sam do siebie pijackim tonem. – I gówno!

Opieram głowę o poduszkę i rechocząc, obracam się na bok. Na szafce nocnej leży album poświęcony kampanii na froncie wschodnim, a obok niego rozprawka filozoficzna Schopenhauera. Co za cyniczny człowiek! Niemal spadając z łóżka, wyciągam dłoń po książkę, lecz w ostatnim momencie ją cofam. Mam wrażenie, że z korytarza dobiega mnie szmer kroków.

Podciągam się i nasłuchuję. Nie mam wątpliwości, że kilka osób weszło po schodach, po czym zmierza w stronę mojej sypialni.

Kto, do cholery… Podnoszę się i siadam na łóżku, gotów do zrugania każdego, kto miałby zamiar mnie najść. Dziś odpoczywam. Dziś jestem wolny.

Słyszę przyciszoną kłótnię i wśród głosów rozpoznaję głos mojego adiutanta, pozostałe dwa są mi nieznane. Nagle bez ostrzeżenia ktoś naciska klamkę i drzwi się otwierają. Pojawia się w nich dwóch oficerów SS, za którymi przystaje mój adiutant.

– Reichssicherheitshauptamt[10] – pada magiczne słowo.

– Hauptsturmführer Amon Göth? – pyta formalnie młodszy z przybyszów.

Podnoszę się z łóżka i spoglądam z góry na obu oficerów. Obaj są ode mnie o prawie głowę niżsi.

– Zgadza się – odpowiadam z ociąganiem.

– Jest pan aresztowany. Ma pan trzy minuty na spakowanie niezbędnych rzeczy i oddanie się do naszej dyspozycji.

Co za ironia losu.

106.

– W pańskim mieszkaniu znaleziono osiemdziesiąt tysięcy marek[11] oraz sporo kosztowności. Do tego rozpoczęliśmy dość wnikliwe badanie pańskich spraw finansowych, źródeł dochodów i kontaktów…

Sturmbannführer SS wymownie zawiesza głos. Ma niespełna czterdzieści lat, więc jest mniej więcej w moim wieku, ale zachowuje się, jakby znalazł się na samym szczycie hierarchii. Spogląda na mnie z nieukrywaną ironią, nawet jego kurtuazja jest podszyta kpiną. Ma krótkie, przerzedzone siwizną włosy, jego czapka leży na skraju biurka, obok rękawiczek oraz pustej kabury, która jest chyba jedynie symbolem.

Nieustannie kłuje mnie w boku i to jest moje główne zmartwienie. Staram się nie zdradzić choćby pojedynczym grymasem. Nie mam pojęcia, czego ten wojskowy urzędas się o mnie dowiedział, ale nawet mnie to przesadnie nie interesuje. Żałuję jedynie, że musiał mnie

zdradzić ktoś z bliskich. Chwilowo nie będę nawet dociekał kto. Pal ich wszystkich diabli. Niech ich szlag…

– Oczywiście, ma pan prawo nie odpowiadać na pytania… – Sturmbannführer odzywa się po dłuższym milczeniu. Zdaje się, że krępowało go mocniej niż mnie. – To pański wybór, ale proszę zrozumieć swoją sytuację.

– Rozumiem ją nazbyt dobrze – stwierdzam. – Stałem się kozłem ofiarnym w kolejnej sprawie ukutej przez tkwiących w strukturach władzy tchórzy. Przez aparatczyków, którzy niczego nie wiedzą o sytuacji za drzwiami gabinetu…

– Dlaczego tak pan sądzi? I kogo ma pan za tchórza?

– Dobrze pan wie, panie Sturmbannführer.

Oficer przygląda mi się spode łba, przez chwilę się nad czymś zastanawia, wreszcie kręci głową.

– Nie mam pojęcia. Naprawdę.

– W takim razie to również nie jest mój problem.

– Ależ jest… Mam tu dwie grube teczki pańskich problemów.

– Donosów? – Parskam. – Skarg złożonych przez ludzi zawistnych o moje stanowisko oraz osiągnięcia, którymi przysłużyłem się Rzeszy?

– Gdyby chciał pan odpowiadać na pytania, być może ja odpowiedziałbym na część pańskich.

– Nie będę brał udziału w tej farsie.

Spoglądam prosto w oczy Sturmbannführera i przez chwilę mierzymy się wzrokiem. W końcu oficer odsuwa na bok dokumenty, po czym wymownie wzdycha.

– Podjął pan decyzję, więc mam ograniczone pole działania. – Bębni palcami o biurko, nie patrząc mi więcej w oczy. – Zostanie pan skierowany do więzienia w Breslau i tam przesłuchany. Jeśli będzie pan odmawiał odpowiedzi na pytania, obraz sprawy zostanie stworzony wyłącznie w oparciu na zeznaniach świadków.

– Proszę wezwać na nich moich towarzyszy z SS.

– Tak zrobimy, panie Göth. Dokładnie tak zrobimy.

Nie wymienia mojego stopnia i na tym kończy rozmowę. Na znak dany dzwonkiem dwóch strażników wchodzi do pomieszczenia, po czym daje znać, bym za nimi podążył. Przynajmniej nikt mnie nie wyprowadza.

107.

W ciągu dwóch tygodni schudłem osiem kilo. Z wielkiego, majestatycznego boga staję się nędznym człowieczkiem. Jednocześnie nieustannie tracę siły i śpię. Śpię, jakbym odsypiał te wszystkie lata bezsenności. Co za ironia, że panując nad tysiącami żyć, u szczytu władzy, nie mogłem spać, a teraz, jako więzień, wystarczy, że zamknę oczy i rozpływam się w niebycie. Jestem spokojny. Jestem całkowicie pogodzony z losem, więc może właśnie to stanowi klucz do harmonii.

Wiele myślę o filozofii, o roli człowieka w świecie i o tym, czego dokonałem przez ostatnie lata. Niczego się nie wstydzę. Wykonywałem rozkazy przełożonych, a przy okazji robiłem to, co każdy powinien robić – walczyłem o przetrwanie. Takie jest życie i naturalna kolej rzeczy. Malwersacje na niekorzyść Rzeszy? Korupcja? Nadużycia władzy? To pojęcia funkcjonujące tylko w teorii, w praktyce sprowadzające się do codziennej walki o własne szczęście.

Przed dwoma dniami poprosiłem, aby przyniesiono mi egzemplarz Biblii, co zrobiono z nieukrywaną niechęcią. Stałem się przekorny. Przeczytałem kilka kartek, kilkanaście przerzuciłem, nie potrafiąc skupić się nad treścią, lecz dobrze mi ze wspomnieniem księgi, która zawsze towarzyszyła matce. Czy to starość?

Nie zamierzam się nad sobą użalać. Przechadzam się w tę i we w tę po niewielkiej celi, z trudem wykonuję podstawowe ćwiczenia

i czekam. Pozostało mi już tylko czekanie. Być może wyczerpałem przysługujący mi na tym świecie limit szczęścia. A może coś takiego jak pula zasług, rachunek zysków i strat, w ogóle nie istnieje? Wszystko jest całkowitym przypadkiem. Wobec tego nie ma również dobra ani zła, życia wiecznego ani wiecznej pamięci.

Siadam na łóżku i staram się nie myśleć o bólu. Więzienny lekarz zbadał mnie, lecz nie zdradził mi swojej diagnozy. Sądzę, że moja choroba może nie posiadać ani nazwy, ani fizycznych objawów. Chudnięcie oraz utrata sił to tylko refleks tego, co dzieje się w mojej duszy.

Wiem, że muszę zebrać siły. Wbrew temu, co sobie wmawiam, trzymam się nadziei, że jeszcze wrócę na szczyt. Taka jest prawda. Nie powinienem okłamywać sam siebie, lecz robię to coraz częściej. Dlaczego? Czy to kwestia wyrzutu sumienia? Słabości?

Ach, mamo…

Opieram głowę o zimną ścianę i przymykam oczy.

– Uda ci się – szepczę. – Uda…

Wiem, że świadkowie z SS nie składają zeznań, a więźniowie utrzymują, że nie wiedzą nic w kwestiach, o które są pytani. Oni wciąż czują strach. Czują strach i mają przeczucie, że wrócę do Płaszowa. Myśl o tym dodaje mi sił.

Zasuwa w drzwiach szczęka, więc otwieram oczy. Do mojej celi wchodzi jeden ze śledczych – siwowłosy, lekko przygarbiony mężczyzna przed sześćdziesiątką. Ponoć przez ostatnie trzy lata był sędzią polowym, a wydana przez niego liczba wyroków śmierci sięga tysięcy. W jego oczach nie widzę jednak żadnego ciężaru wspomnień oraz podjętych decyzji. Moje oczy pewnie są takie same.

Podnoszę się z łóżka i zgodnie z regulaminem staję na baczność. Godność osobista jest wszystkim, co mi pozostało. Spoglądam śledczemu prosto w oczy. Z ciekawością i bez krztyny strachu.

– Dziś rano otrzymałem raport lekarza – rzuca mężczyzna, po czym przez chwilę świdruje mnie spojrzeniem. Nie uginam się przed nim, pamiętając o tysiącach spojrzeń odwracanych ode mnie. – Jako oskarżonemu, ale nie skazanemu, przysługują panu wszelkie prawa oficera SS.

Te słowa brzmią, jakby śledczy wiedział, że nikt już nie zdąży wydać wyroku w mojej sprawie. Przynajmniej nie tutaj, na Ziemi. Jego twarz jest surowa, jednak ton głosu łagodniejszy niż zwykle. To wzbudza moje zaniepokojenie, choć nie daję tego po sobie poznać.

– Co ma pan na myśli? – pytam, maskując emocje.

Śledczy cofa się w stronę korytarza, jakby to ostatnie zdanie miało mieć moc eksplozji granatu. Nie chce stać w pobliżu pola rażenia.

– Opuści pan Breslau – oznajmia. – Na razie mogę powiedzieć tylko tyle.

Drzwi zamykają się z przeciągłym jęknięciem i ponownie szczęka zasuwa. Zostaję sam z tysiącem domysłów.

108.

W styczniu 1945 r., w momencie gdy Amon Göth przebywał w więzieniu we Wrocławiu, żołnierze sowieccy zbliżali się do Płaszowa. Z obozu urządzono marsze śmierci do Auschwitz, gdzie zabijano tych, którzy dotarli do celu. Jednocześnie trwały pośpieszna rozbiórka pustoszejących zabudowań, ekshumacja zwłok oraz ich palenie. Rozkładające się ciała transportowano do krematoriów, gdzie jako podpałki używano dokumentów z obozowego archiwum. Pozbywano się wszelkich śladów zbrodniczej działalności. Zgodnie z relacjami świadków gryzący dym z kominów zasnuwał okolicę dniem i nocą. Wydawało się, że panuje gęsta mgła.

Sowieci wkroczyli do Płaszowa 20 stycznia 1945 r. Na miejscu zastali niemal pusty, bezludny teren. Nie ocalili nikogo. Natychmiast rozpoczęli usilne poszukiwania dowodów zbrodniczej działalności Niemców. Dla dowództwa miało to znaczenie przede wszystkim wizerunkowe. Nadal nie liczył się człowiek.

109.

Nikt już nie ma wątpliwości, że Rzesza upadnie. Wojska cofają się na wszystkich frontach, a zimowa kontrofensywa zakończyła się fiaskiem. Wiedzą o tym wszyscy, choćby utrzymywano, że nastąpił jedynie szereg strategicznych manewrów. Bzdury. Nie powstanie ani cudowna broń, ani nie zamkniemy żadnych wojsk w okrążeniu.

Jednak to już nie ma znaczenia. Ponad dachami niezniszczonych, bawarskich domów spoglądam na Alpy. Umieszczono mnie w uzdrowisku w Bad Tolz, skąd nie mam prawa się ruszyć nawet o krok. Mimo to mogę korzystać z term oraz basenów. Znów poczułem się lepiej i chyba przestałem chudnąć.

Trzymam nogę założoną na nogę, otulam się kocem i staram się nie myśleć o niczym. To trudne. Obcując sam ze sobą, człowiek nabawia się naprawdę dziwnych obserwacji.

Czekam na przybycie Georga Morgena, który zgodził się przesłuchać mnie na tarasie uzdrowiska. Skoro dopuszcza to regulamin, on nie widział w tym problemu. Ten gryzipiórek stanowi ohydny wyłom w braterskiej strukturze SS, jest nędznym idealistą, który nie rozumie jedności i współodpowiedzialności. Wciąż wszczyna śledztwa przeciw tym, którzy kradli jedynie to, co było im dane. Nie rozumie, że bogów nikt nie ma prawa rozliczać, choćby nawet ktoś o tym marzył.

Morgen, zgodnie z zapowiedzią, pojawia się punktualnie o jedenastej. To spotkanie półformalne, mające przygotować dalszy proces. Widząc go nie podnoszę się z miejsca. Poprawiam koc i odwracam się w stronę Alp. Słońce przyjemnie pada mi na twarz. Poza nami na tarasie sanatorium jest tylko dwóch starszych mężczyzn, z których jeden kuśtyka wsparty na drewnianej protezie nogi. Czy jest bohaterem frontowym, czy jedynie inwalidą wojennym? To pytanie na moment skupia całą moją uwagę.

– Panie Göth… – Morgen przysuwa do mnie drewniany fotel obłażący z białej farby. – Nie musimy zaczynać jako wrogowie.

– Nie miałem takiego zamiaru.

– Wobec tego niech się pan zgodzi odpowiedzieć na moje pytania.

Uśmiecham się. Delikatny powiew wiatru sprawia, że przebiega mnie dreszcz. Poprawiam koc i spoglądam prosto w oczy Morgena.

– O co na przykład chciałby pan zapytać?

Śledczy wydaje się zadowolony. Natychmiast rozkłada na stoliku obok nas plik kartek, po czym wyciąga jedną z nich.

– To potwierdzenie nabycia przez pana dzieł sztuki z kolekcji jednego z żydowskich więźniów obozu.

Nie wyjmując rąk spod koca, spoglądam na dokument.

– Owszem, nabyłem je za własne pieniądze – rzucam, tracąc zainteresowanie rozmową. – Podobały mi się, choć nie znałem ich wartości.

– Zapłacił pan za nie mniej niż jeden procent wyceny.

Wzdycham i odchylam głowę do tyłu. Ciągle to samo. Wałkowali to już w Breslau, a wcześniej w Krakowie.

– Doprawdy? – Uśmiecham się krzywo. – Czyli zrobiłem dobry interes.

Zamykam oczy i udaję, że śpię. Mój wewnętrzny głos zagłusza kolejne pytania Morgena. Wreszcie słyszę, jak śledczy podnosi się z fotela i bez pożegnania odchodzi. Czekam jeszcze kilka sekund, po

czym odrzucam koc. Wstaję z leżanki i kieruję się ku sali z wodami termalnymi. Wiem, że zostało mi już niewiele kąpieli do zażycia, jednak myśl o tym sprawia, że smakują lepiej. Albo tylko to sobie wmawiam. Przed kilkoma miesiącami powinienem staranniej smakować armagnac, bo już niemal nie pamiętam jego smaku.

110.

Za kilka dni Trybunał SS ma wydać wyrok w mojej sprawie. Nie łudzę się, że zostanę uniewinniony. Nawet się o to nie starałem. Teraz już żadne wyroki nie mają znaczenia.

Nadal chudnę. Ważę prawie dwadzieścia kilogramów mniej niż przed rokiem. Nie rozpoznaję się w lustrze, a jednak wiem, że twarz, którą golę, należy do mnie. Tak samo jak do mnie należy cały bagaż doświadczeń i czynów. Nie wypieram się żadnego z nich.

– Czy potrzebuje pan czegoś?

Spoglądam na zatrudnionego w uzdrowisku chłopca. Ma dziesięć lub co najwyżej dwanaście lat, duże oczy i zawsze zarumienione policzki. Zachowuje się nerwowo, a zadane pytanie nie wynika z jego troski o mnie, lecz z obowiązku. Po raz pierwszy widzę to tak wyraźnie.

Gdy odpowiadam, że potrzebuję jedynie świętego spokoju, malec kiwa głową, życzy mi wszystkiego dobrego, po czym rzuca się biegiem w głąb korytarza. Kiedy jego kroki milkną, słyszę tupot kilku innych osób. Po chwili dołączają do niego rozmowy prowadzone przyciszonymi, podekscytowanymi głosami.

W pierwszej chwili chcę podnieść się z łóżka i zapytać, co się dzieje, lecz jakaś siła mnie zatrzymuje. Właściwie co mnie interesuje życie rozgrywające się poza moim maleńkim pokojem-celą? Mam tu wszystko, czego chcę. Donoszone jedzenie, wymienianą pościel oraz

ubrania. A mimo to, mimo że wciąż nie podnoszę się z łóżka, czuję narastający niepokój.

Podciągam się i opieram na łokciach. Przez szparę uchylnych drzwi dostrzegam dwie biegnące korytarzem pielęgniarki. Z którejś z sal dobiega brzęk tłuczonego szkła. Mam wrażenie, że w powietrzu wyczuwam swąd dymu, ale często tylko mi się wydaje, że go czuję. Przypomina mi się szpital opróżniany w krakowskim getcie… Otaczają mnie te same dźwięki, zapachy i duchy.

Spoglądam w stronę okna, lecz nie wstając z łóżka, widzę jedynie błękitne, całkowicie bezchmurne niebo. Może to najlepszy sposób, by nadal się oszukiwać? Z tej perspektywy i tak dostrzegłbym jedynie kontury domów oraz ewentualne zamieszanie na ulicach.

Czyżby zapowiedziano nalot? Nie słyszę warkotu bombowców ani odgłosu eksplozji. Po co zresztą alianci mieliby bombardować maleńkie uzdrowisko pozbawione jakiejkolwiek infrastruktury poza tą leczniczą?

Z zamyślenia wyrywa mnie energiczne pukanie. Drzwi otwierają się na pełną szerokość i pojawia się w nich jeden z lekarzy. Ma na sobie cywilne ubranie, kapelusz oraz buty do wędrówek górskich. Moją uwagę przykuwa to, co trzyma przerzucone przez ramię. To jakieś ubrania, ale nie sądzę, by kiedykolwiek doktor miał je na sobie.

– Amerykanie wchodzą do Bad Tolz – oznajmia rozedrganym tonem. – Niech pan się przebierze i natychmiast ucieka.

Lekarz rzuca na moje łóżko brudny, cuchnący strój chłopski. Nie wiem, czy zdjęto go ze zwłok, czy specjalnie przygotowano, ale spoglądam na niego z odrazą.

– Proszę się pośpieszyć – nakazuje. – Bo…

Nie mówi, co stanie się w przeciwnym razie. Przykłada dłoń do ronda kapelusza, kłania się i pośpiesznie opuszcza moją salę. Odgłos jego kroków miesza się z tumultem narastającym na korytarzu.

A więc to nie Morgen będzie mnie sądził, kwituję w myślach. Ciekawe, gdzie teraz jest ten obrzydliwy idealista…

111.
Kilka dni później

– Wszędzie cholerne punkty kontroli. Jakbyśmy byli na froncie albo co…

Niski, krępy staruszek ze złością kręci głową. Stoimy w długiej kolejce prowadzącej do pośpiesznie ustawionej budki strażniczej na jednej z dróg. Chodzenie bocznymi ścieżkami jest kategorycznie zabronione, podobnie jak poruszanie się na przyczepach ciężarówek lub bez dokumentów.

W tobołku podrzuconym przez lekarza znalazłem dowód z moim zdjęciem z sanatorium oraz fałszywymi danymi. Prezent od „braci z SS" – jak zanotowano na dołączonym do niego bileciku. Nie wahałem się ani chwili, żeby go przyjąć. Od tamtej pory nazywam się Kurt Schull i pochodzę z Bambergu. Mam czterdzieści dwa lata, więc o pięć więcej niż w rzeczywistości. Zapewne też na takiego wyglądam, o ile nie ma w tym kurtuazji, która uchroniła mnie przed dodaniem jeszcze kolejnej dekady.

Ból brzucha raz się nasila, raz niemal całkowicie zanika. Mimo to nawet w tych lepszych momentach przyłapuję się na tym, że go wyglądam. Oczekuję go niczym niechcianego gościa, który musi się zjawić. Może nawet za nim w jakiś sposób tęsknię, niepokojąc się, gdy nie zjawia się zbyt długo. Boję się, że nadejdzie niespodziewanie i z siłą większą niż dotychczas. Boję się powalenia na ziemię, wstydu, upokorzenia i śmierci pośród obrzydzonego tłumu. Tylko czy teraz ktokolwiek zwraca uwagę na umieranie?

– Następny!

Jestem coraz bliżej punktu kontrolnego. Krępy staruszek pokazuje dokumenty i przechodzi dalej. Żołnierze działają szybko, niemal mechanicznie, jak to bywa zazwyczaj, gdy się wykonuje rozkazy. Odbierają dokument, zerkają na zdjęcie, a potem oględnie porównują je z twarzą okaziciela. Roztrząsanie, czy to aby na pewno on, trwałoby zbyt długo. Ich uwagę zwracają dokumenty uszkodzone, bez zdjęć lub noszące wyraźne ślady przeróbek. Zatrzymują wtedy przechodzącego i kierują go na bok. Następnie ukradkiem przejmuje go żandarmeria, która odprowadza zatrzymanego do punktu przesłuchań. Ukradkiem przypatruję się, jak to wszystko wygląda, i nie mam obaw. Moje dokumenty są wykonane w sposób perfekcyjny, jakby zrobiła je prawdziwa wytwórnia papierów wartościowych. Tak zresztą mogło być, bo doszły mnie słuchy, że od kilku tygodni drukowano fałszywe dowody, weksle oraz paszporty.

– Szybciej, szybciej!

Amerykański żołnierz ponagla mnie ruchem ręki. Zerka na moje dokumenty i na moment zatrzymuje wzrok na fotografii. Stoję nieruchomo, całkowicie opanowany, nie zdradzając żadnych emocji. Wiem, że mi się uda. Udało się już tyle razy, że nabrałem doświadczenia.

– Proszę, panie Schull. – Żołnierz oddaje mi dowód i popędza, bym szedł dalej.

Uśmiecham się jedynie w duchu i to tylko przez moment. Czuję delikatną ulgę. Wtedy za plecami słyszę jakieś zamieszanie, a kiedy odwracam się, dostrzegam dwudziestokilkulatkę pokazującą na mnie palcem.

– To Amon Göth! – krzyczy. – Komendant obozu w Płaszowie!

Krzywię się i wykonuję zaprzeczający gest rękoma. Nie znam tej cholernej dziewczyny. Nigdy jej nie widziałem. Choć w identyfikacji może przeszkadzać mi to, że nie nosi obozowego mundurka, a spod chusty wypadają jej pukle kręconych włosów.

112.

Dachau. Wyobrażacie sobie, że Amerykanie przekształcili niemiecki obóz koncentracyjny w więzienie dla oficjeli Rzeszy? Tylko ktoś o przegniłym zachodnim myśleniu może upatrywać w tym przytyku albo wyrazu naiwnej zemsty. Szczególnie jeśli baraki przebudowuje się na wzór koszar, zdejmuje całe fragmenty drutu kolczastego i wpuszcza do środka dziesiątki polityków, dziennikarzy oraz jurystów. To cyrk. Obóz koncentracyjny, zamiast symbolem, stał się jedynie cyrkiem i niczym więcej. To zasługa jankesów.

– Amon Göth? – po raz kolejny pyta mnie amerykański pułkownik.

Z ociąganiem rozpieram się na krześle i zaciągam podanym mi papierosem. Powoli wypuszczam kłąb dymu.

– Zgadza się. Już powiedziałem, kim jestem.

– Kim byłeś.

Zawsze raziła mnie amerykańska bezpośredniość i to zwyczajowe mówienie do każdego per „ty". Zaobserwowałem, że robią to nawet względem własnych żołnierzy, pomijając ich stopnie. To niegodne.

– Czy wiesz, o co możesz być oskarżony? – dopytuje grubawy, postawny oficer.

Wzruszam ramionami i ponownie zaciągam się papierosem. Odkasłuję.

– Czy zatrzymani powinni domyślać się lub w ogóle snuć takie przypuszczenia? Oskarżcie mnie, a będę miał jasność. Albo wypuśćcie.

– To już nie będzie nasza sprawa.

– Czyżby?

Mrużę oczy i przez chwilę przyglądam się pułkownikowi. Ten uparcie milczy, napawając się moim zaciekawieniem. Wie, że

pociągnął właściwą strunę, która rezonuje w najgłębszych zakamarkach mojej duszy. Tak, ciekawość potrafi być męcząca.

– Co miał pan na myśli? – pytam. – Uważam, że powinienem zostać natychmiast zwolniony do domu. Nie macie żadnych dowodów mojej nielegalnej działalności.

– Nielegalnej działalności? – Amerykanin parska ze śmiechu. – Spodziewasz się, że oskarżymy cię o malwersacje? Tak, tak. Wiemy o tym. Większość dokumentów z twojego procesu przed trybunałem SS znalazło się w naszych aktach.

– W takim razie…

Amerykanin nie pozwala mi skończyć. Wyprostowuje się i sięga po leżącą obok niego teczkę. Przez chwilę w niej grzebie, wreszcie wyciąga plik kartek. Pośpiesznie go przegląda.

– Dostaliśmy wniosek od władz polskich, abyśmy cię wydali. Wszystko wskazuje, że niebawem trafisz w ich ręce. Co ty na to?

Nie okazuję zainteresowania tym tematem. Wbijam wzrok w dogasający papieros i cicho wzdycham.

– Ponoć zapamiętali cię z Krakowa i Lublina. – Jankes zerka w dokumenty, by upewnić się, że dobrze wymówił nazwy tych miast. – No i oczywiście, z obozu koncentracyjnego w Płaszowie. Dziesiątki tysięcy ofiar – wymawia z emfazą. – Dziesiątki tysięcy!

Zamykam oczy i przestaję go słuchać. Byłem na to gotowy. Wiedziałem, że wreszcie znajdę się w tym miejscu, naprzeciw człowieka podobnego do tego pułkownika, który i tak jest bardziej wyrozumiały od tego z moich wyobrażeń. Chcielibyście pewnie usłyszeć, że się bałem, że przeszył mnie lęk i sparaliżował strach, ale nic takiego się nie stało. Nie bałem się Polaków, a to, co się ze mną stanie, nie obchodziło mnie. Było mi zupełnie obojętne, bo śmierć tkwiła już we mnie od dawna.

Otwieram oczy i wzruszam ramionami. Patrzę na ciebie, ciebie i ciebie… Wbijam wzrok w wasze twarze.

113.
Kraków, sierpień 1946 r.

– Czy oskarżony przyznaje, że jako komendant obozu w Płaszowie wydawał wyroki śmierci?

– To się zdarzyło. Takie było moje prawo i taki miałem obowiązek.

– Czy oskarżony wydał wyrok śmierci przeciw pucybutowi Izaakowi Werke za niezbyt staranne wypolerowanie butów?

– Nie przypominam sobie. Może rzuciłem coś takiego w żartach.

– A wobec tresera psów za to, że na jednym z nich znaleziono pchły?

– Nie pamiętam tej sytuacji.

– Wobec tego ile osób oskarżony osobiście skazał na śmierć?

Spoglądam w oczy prokuratora i chwilę się zastanawiam. Czuję całkowitą obojętność. Chciałbym jak najszybciej usiąść, mając za sobą tę farsę.

– Kilka – odpowiadam znudzonym tonem. – Nie więcej niż dziesięć.

– A czy oskarżony przypomina sobie wyrok śmierci wydany na Joachima Haubenstocka, chłopca śpiewającego rosyjskie piosenki?

Kiwam głową. Tak, o tym pamiętam.

– Proszę powiedzieć to na głos.

– Pamiętam, że skazałem go za podburzanie jeńców do buntu.

– A wraz z nim oskarżony wymierzył karę śmierci inżynierowi Krautwirtowi. Inżynier podciął sobie żyły…

– Szczegółów nie potrafię sobie przypomnieć. Ale skoro podciął sobie żyły, to zdaje się, wyroku nie wykonano.

– Wcześniej go torturowano. Zeznania licznych świadków tworzą obraz…

Energicznie kręcę głową. Wyprostowuję się i nie pozwalam oskarżycielowi wygłosić tyrady, do której najwyraźniej się szykuje.

– W Płaszowie nikogo nie torturowano – zaprzeczam kategorycznie. – Działaliśmy jedynie zgodnie z regulaminem oraz przepisami.

– Czy kary pięćdziesięciu batów zadawanych kijem nie należy traktować jako tortur?

Uśmiecham się.

– Pan prokurator sam sobie zaprzecza. Kara ze swojej istoty nie może być torturą…

Na moment zapada cisza, po której odzywają się szepty wśród publiczności. Przewodniczący składu sędziowskiego musi uspokoić zebranych. Z szyderczym uśmiechem spoglądam to na niego, to na prokuratora. Są sowieckimi nieukami, potwierdzającymi, że walka z nimi była niemieckim obowiązkiem cywilizacyjnym. Ich prostackie gęby przyprawiają mnie o obrzydzenie.

Prokurator wymienia porozumiewawcze spojrzenie z sędzią, po czym sięga do dokumentów. Zaczyna odczytywać.

– Osiemnaście osób straconych w ramach zbiorowej odpowiedzialności za próbę ucieczki współwięźnia, dwieście „z okazji" żydowskiego Nowego Roku, kolejnych kilkadziesiąt w aktach przykładnego wymierzania kary mającej odstraszać lub mobilizować do pracy ponad siły…

– Jedynie wykonywałem rozkazy przełożonych. Te liczby nie mają żadnego oparcia w faktach i stanowią tylko figurę retoryczną. Wszystkie moje działania miały zatwierdzenie Berlina, proszę zobaczyć…

Tym razem to prokurator wchodzi mi w słowo.

– Tak, od połowy czterdziestego czwartego roku. To, co działo się wcześniej, nie podlegało niczyjej kontroli.

Zaciskam usta i niemo przysłuchuję się kolejnym oskarżeniom. Właściwie większość z nich puszczam mimo uszu. To brednie lub przesadzone, wyolbrzymione historie niemające nic wspólnego z rzeczywistością.

– Chciałbym powołać na świadka Helen Hirsch, moją pokojówkę – rzucam w odpowiedzi na pytanie sądu. – Ona potwierdzi, że na co dzień byłem porządnym człowiekiem i nie mam nic wspólnego z tymi zbrodniami.

Tak, ona z pewnością powinna dać mi właściwe świadectwo. Cieszyła się oczywistymi względami, ale miała pod moim dachem dobre, wygodne życie. Poza tym przetrwała, a przecież samo to już coś znaczy. Prawda?

Niniejszy rozdział stanowi kompilację relacji oraz dokumentów z kilku rozpraw w sprawie Kata z Płaszowa.

114.

Czekam na wydanie wyroku. W sali jest duszno i tłoczno. Kilkadziesiąt osób ciśnie się, byle tylko usłyszeć, co niebawem się ze mną stanie. Chyba są tego ciekawi znacznie bardziej niż ja. Byłem na szczycie i teraz liczy się dla mnie jedynie przeszłość, mój czas minął, ale to był dobry czas. Nie mógłbym chcieć od życia niczego więcej. Teraz mam już tylko dość bólu i jestem potwornie zmęczony. Mógłbym zasnąć w każdej chwili oraz w każdej pozycji. Staram się jednak trzymać prosto, by nie dać tym bydlętom powodu do najmniejszej satysfakcji.

– Ogłoszenie wyroku… – oznajmia zgarbiony, kruchy staruszek.

Na sali momentalnie nastaje cisza. Słychać tylko czyjeś odchrząknięcie oraz bzyczenie muchy tłukącej się o okno. Niegdyś w świecie, którego już chyba nie ma, a na pewno którego nie ma już dla mnie, właśnie tak czekano na rozpoczęcie przedstawień teatralnych lub na pierwsze takty oper. Kto jest głównym bohaterem?

Ja czy sąd? A może tysiące truposzy wywleczonych z bezimiennych mogił i puszczonych z dymem ku niebu?

Nie interesuje mnie odpowiedź na to pytanie. Pogrążam się w coraz większej apatii i zobojętnieniu. Mam dość. Po prostu mam dość… Jednak jakaś iskierka w głębi mojej duszy każe mi mieć nadzieję i przekonuje, że trwanie jest lepsze od nicości. Co za różnica?

– Proszę powstać…

Mój obrońca daje mi znak, bym się podniósł. Robię to powoli, celebrując każdy swój ruch. Choć nie czuję się na siłach, powstrzymuję się przed oparciem się o drewniany pulpit. To zostałoby źle odebrane. Chciałbym wysłać jeszcze dwa lub trzy listy do Ruth. Nasza korespondencja jest regularna, lecz pozbawiona głębi ze względu na cenzurę i świadomość, że każde słowo czytane jest przez dziesiątki osób. W tej chwili myślę właśnie o niej. Wspomnienie jej twarzy, jej uśmiechu i oczu sprawia mi przyjemność. Czy kiedykolwiek jej to powiedziałem? Nie… Ale w każdym z listów podkreślam, że niczego w swoim życiu nie żałuję. Niczego.

– Najwyższy Trybunał Narodowy…

Bla, bla, bla. Niemal tego nie słucham. Skupiam się na tym, by stać prosto i dumnie. Nie chcę, by spostrzeżono na mojej twarzy najmniejszy grymas. Wiem, że ta chwila zostanie zapamiętana na wiele lat i to przez jej pryzmat będzie się kształtowało wyobrażenie o mnie. A przecież ponoć wszyscy jesteśmy stworzeni na obraz i podobieństwo Boga… Ta myśl sprawia, że kąciki moich ust unoszą się w drobnym uśmiechu. Powstrzymuję go już w zarodku.

– …skazuje oskarżonego Amona Götha na karę śmierci. Wyrok zostanie wykonany przez powieszenie, przy czym…

– To nie jest żołnierska śmierć – wchodzę sędziemu w słowo. – Jedyna kara śmierci wobec żołnierza to rozstrzelanie.

Nikt mnie nie musi uspokajać ani uciszać. Nie zamierzam wygłaszać żadnych przemówień ani protestów. Tak naprawdę nie robi

mi również różnicy, jak mnie zabiją. Każda śmierć jest taka sama. Wiem o tym aż nazbyt dobrze.

115.
13 września 1946 r.

Moja prośba o łaskę została odrzucona. Nie miałem nadziei, że stanie się inaczej. Stoję na szafocie i spoglądam prosto przed siebie. Mam ręce związane za plecami. Pozwolono mi powiedzieć ostatnie słowo, lecz milczę.

– Wykonać! – słyszę polecenie oficera.

Kat zaciska dłoń na drewnianej dźwigni. Po raz ostatni spoglądam w niebo. Nie żałuję. Niczego nie żałuję. Przez moment byłem bogiem.

W rozmaitych opracowaniach często wzmiankuje się, że Amona Götha wieszano trzykrotnie. Dwukrotnie urywała się lina i Kat z Płaszowa bezwładnie wpadał do dołu pod szafotem. Istnieje nagranie filmowe z tej egzekucji, jednak podawane jest w wątpliwość. Widać na nim prószący śnieg (w pierwszej połowie września?), a także kwestionuje się lokalizację – jakoby nie był to szafot krakowski (gdzie zgodnie z dokumentami odbyła się egzekucja), lecz warszawski. Również Göth wydaje się niepodobny do siebie. Być może to egzekucja Ludwiga Fischera – gubernatora dystryktu warszawskiego Generalnego Gubernatorstwa. Ze względu na te wątpliwości powstrzymałem się od bardziej szczegółowego opisywania sceny. Wbrew wzmiankom nie potwierdziłem również, by jego ostatnie słowa brzmiały „Heil Hitler”. *Pewnym jest, że Göth do końca w listach oraz rozmowach zapewniał, że nie czuje żadnej winy i niczego nie żałuje. To najwymowniej dopełnia jego portretu.*

[4] SS- und Polizeiführer – stanowisko łączące dowództwo wojskowe oraz policyjne na danym obszarze.

[5] Przemowa Amona Götha do żołnierzy mających rozpocząć akcję likwidacji getta – odtworzona na podstawie dostępnych relacji.

[6] Cytat odnotowany w licznych źródłach.

[7] Przykładów zbiorowej odpowiedzialności na terenie obozu było co najmniej kilkanaście. Miały na celu podkręcenie spirali wzajemnych oskarżeń oraz donosów.

[8] Amon Göth zastrzelił kucharza podczas spotkania z przedsiębiorcą Raimundem Titschem, gdyż jego zdaniem podana zupa była zbyt gorąca. Należało dokonać selekcji podobnych scen, by książka nie stała się jedynie „wyliczanką" makabrycznych zbrodni.

[9] Słowa wzmiankowane przez świadków zdarzenia.

[10] Główny Urząd Bezpieczeństwa Rzeszy.

[11] Dziś około dwóch milionów euro.

Zwłoki Amona Götha spalono i wrzucono do Wisły.

Irene Ruth Kalder 23 października 1945 r. urodziła Amonowi córkę Monię (Monę – zdrobnienie podobne do tego używanego względem Götha w dzieciństwie). Popełniła samobójstwo 29 stycznia 1983 r. w Monachium.

Helene Hirsch wyemigrowała po wojnie do Izraela.

Helene Sternlicht wyemigrowała do Stanów Zjednoczonych. Zmarła 20 grudnia 2018 r.

Odilo Globocnik popełnił samobójstwo 31 maja 1945 r. w Paternion.

Ernst Kaltenbrunner został stracony na mocy wyroku Międzynarodowego Trybunału Wojskowego w Norymberdze 16 października 1946 r.

Georg Konrad Morgen był świadkiem w procesach norymberskich. Zmarł 4 lutego 1982 r.

Szacuje się, że przez obóz w Płaszowie przeszło około pięćdziesięciu tysięcy więźniów. Znaczna część z nich zginęła.

POSŁOWIE

Do znudzenia będę powtarzał, że rzeczywistość jest bardziej przerażająca od najwymyślniejszej fikcji. Życiorys Amona Götha dowodzi tego z całą mocą. Z zachowanych dziesiątek relacji, dokumentów, fotografii oraz nagrań starałem się jak najwierniej odtworzyć jego portret psychologiczny. Nie uatrakcyjniałem prawdy, nie czyniłem jej również bardziej wyrazistą, a wręcz przeciwnie, po raz pierwszy uznałem, że epatowanie przykładami okrucieństwa Kata z Płaszowa często jest zbędne. Właściwie na podstawie przykładów jego sadyzmu można by napisać książkę dwu- lub trzykrotnie dłuższą. Byłoby to jednak jedynie tworzeniem katalogu dewiacji. Wydaje mi się, że te przytoczone aż nadto świadczą o tym, jakim był człowiekiem. I w tym kontekście słowo „człowiek" obdzierane jest dla mnie z jakiegokolwiek nimbu pierwiastka boskości. Staje się nadużyciem.

Jednocześnie w trakcie tworzenia starałem się w żaden sposób nie oceniać postępowania Götha. Jestem przekonany, że on sam był całkowicie wyzbyty empatii oraz możności obiektywnego spojrzenia na własne czyny. Dobitnie świadczy o tym fakt, że na świadka swojej niewinności oraz godnej postawy moralnej chciał powołać Helen Hirsch (sic!).

Po raz kolejny utwierdzam się również w przekonaniu, że pojęcia „dobra" oraz „zła" niewiele znaczą. Stanowią osąd wydawany przez czasy oraz społeczeństwa. Göth wierzył, że postępuje słusznie. Wierzyło w to również wielu innych uczestników hitlerowskiej

machiny zagłady. Najbardziej jednak dręczy mnie myśl, że przez wiele lat swojego życia mogli czuć się jak bogowie. Czy pocieszeniem może być przy tym zakład Pascala, iż warto wierzyć w Boga oraz życie wieczne? W osąd oraz bezwzględną sprawiedliwość? Chciałbym, aby tak było, lecz sądzę, że stać na to jedynie nielicznych. Bo w takim wypadku jakąż moralnością kieruje się ów Bóg?

Na te pytania warto starać się odpowiedzieć. I żyć, stawiając je sobie każdego dnia.

Ukłony
Max Czornyj

PRAWDA OKAŻE SIĘ BARDZIEJ PRZERAŻAJĄCA OD FIKCJI.
Dzięki tym książkom wnikniesz wgłąb
umysłów seryjnych morderców.

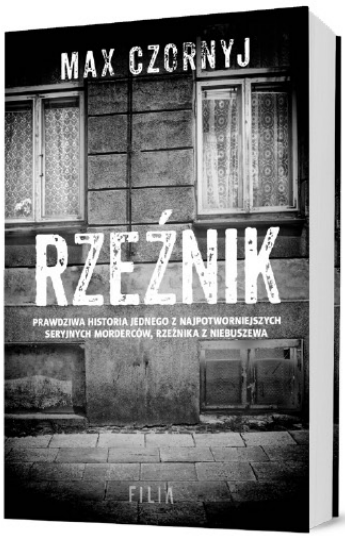

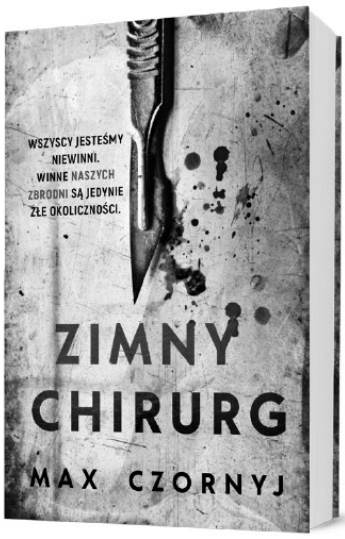

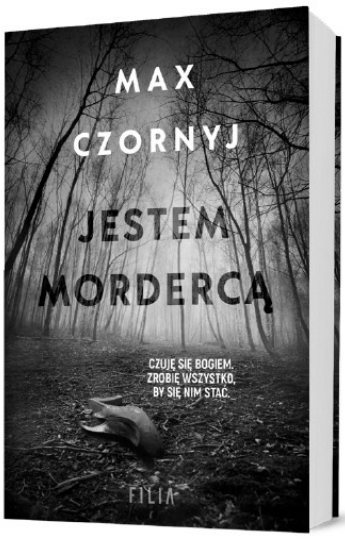

MAX CZORNYJ
HISTORIA ILSE KOCH, KOMENDANTOWEJ NAZISTOWSKIEGO OBOZU, KTÓREJ OKRUCIEŃSTWO STAŁO SIĘ LEGENDĄ
BESTIA Z BUCHENWALDU
FILIA

FILIA
NA FAKTACH

SPIS TREŚCI

Karta tytułowa
Dedykacja
Cytat
Wiersz
1.
2.
3.
4.
5.
6.
7.
8.
9.
10.
11.
12.
13.
14.
15.
16.
17.
18.

19.
20.
21.
22.
23.
24.
25.
26.
27.
28.
29.
30.
31.
32.
33.
34.
35.
36.
37.
38.
39.
40.
41.
42.
43.
44.
45.
46.

47.
48.
49.
50.
51.
52.
53.
54.
55.
56.
57.
58.
59.
60.
61.
62.
63.
64.
65.
66.
67.
68.
69.
70.
71.
72.
73.
74.

75.
76.
77.
78.
79.
80.
81.
82.
83.
84.
85.
86.
87.
88.
89.
90.
91.
92.
93.
94.
95.
96.
97.
98.
99.
100.
101.
102.

103.
104.
105.
106.
107.
108.
109.
110.
111.
112.
113.
114.
115.
* * *
POSŁOWIE
Reklama
Karta redakcyjna

Copyright © by Max Czornyj, 2021
Copyright © by Wydawnictwo FILIA, 2022

Wszelkie prawa zastrzeżone

Żaden z fragmentów tej książki nie może być publikowany w jakiejkolwiek formie bez wcześniejszej pisemnej zgody Wydawcy. Dotyczy to także fotokopii i mikrofilmów oraz rozpowszechniania za pośrednictwem nośników elektronicznych.

Wydanie I, Poznań 2022

Projekt okładki: Mariusz Banachowicz
Zdjęcie na okładce: © Julian Paolo Dayag/Unsplash

Redakcja: Marta Akuszewska
Korekta: RedKor Agnieszka Luberadzka, „DARKHART”
Skład i łamanie: „DARKHART”

Konwersja publikacji do wersji elektronicznej:
„DARKHART”
Dariusz Nowacki
darkhart@wp.pl

eISBN: 978-83-8195-901-8

FILIA

Wydawnictwo Filia
ul. Kleeberga 2
61-615 Poznań
wydawnictwofilia.pl
kontakt@wydawnictwofilia.pl

Seria: FILIA NA FAKTACH